- Kulisy afery egzaminacyjnej str. 14
- Komu potrzebna literatura współczesna str. 3
- Czy lekarzy trzeba traktować jak oszustów? str. 4
- Atrakcje dla pań i panów str. 5
- Nie ma kryzysu w najstarszym zawodzie str. 12

Uwaga!

Konkurs na całe lato

dla amatorów fotografowania!

Jeśli wybierasz się na wakacje w góry, nad morze, nad jeziora, jeśli jedziesz na zagraniczną wycieczkę i lubisz fotografować, to „ODGŁOSY" mają dla Ciebie ciekawą propozycję. Zajrzyj na str. 14 — znajdziesz tam szczegóły KONKURSU DLA CIEBIE!

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

3892-A

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 27 (1527) ROK XXX 4 LIPCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Peter Falk

Twórca manifestuje nienawiść do publiczności. Żart Marcello Mastroianniego. Czego bali się aktorzy w Cannes? Pantofle ze skóry krokodyla za 7 tysięcy franków. Kaprysy Liz Taylor. Książęta i aktorzy.

Gwiazdy w cieniu strachu

MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

Czego już festiwal filmowy w Cannes nie widział? Zdarzały się już — podczas ogłaszania werdyktu jury — krzyki i gwizdy. Ale tego, co zdarzyło się w tym roku, tego jeszcze nie było. Oto przewodniczący jury — Yves Montand ogłosił werdykt: — *„Złota Palma" za film „Pod słońcem szatana" dla Maurice Pialata!*

Była to pierwsza po 21 latach „Złota Palma" dla filmu francuskiego. I — jak wszyscy zgodnie przyznają — jak najbardziej niezasłużona. Było wiele innych, dużo lepszych filmów, którym tej nagrody odmówiono. Maurice Pialat powinien zatem cieszyć się, skakać z radości. A on?

On zademonstrował nie tylko pełne lekceważenie wobec festiwalowej publiczności, ale wyciągnął w jej kierunku zaciśniętą pięść, demonstrując tym gestem nienawiść do ludzi zgromadzonych w festiwalowym kinie. Tego jeszcze nie było!

A działo się tego roku w Cannes wiele interesujących rzeczy.

GWIAZDY CHOWAJĄ SIĘ W CIENIU

O filmach prezentowanych na festiwalu nie piszę, gdyż donosiła o tym prasa codzienna. Mogę tylko dodać do tych doniesień, że sensacją 40 Festiwalu Filmowego w Cannes był niewątpliwie Tengiz Abuładze i jego film „Pokuta". Ale sensacji innych, pozaekranowych w jubileuszowym, 40 festiwalu nie brakowało. Jak zwykle źródłem tych sensacji były gwiazdy, które w ubiegłych latach jakby trochę Cennes omijały, jakby o nim zapominały. W tym roku przybyły tłumnie, aby zdmuchnąć 40 świec na urodzinowym torcie festiwalu.

Powiedzieć, że gwiazdy nawiedziły Cannes w tym roku — to mało. Trzeba było je niekiedy wyśledzić. Gwiazdy filmowe wyraźnie unikały tłumu, fotoreporterów, chowały się w cieniu. Przez długi czas myślano, że Yves Montand ma nagrody „już z głowy", że przyznano je dużo wcześniej, a on — jako przewodniczący jury — nawet nie stwarza pozorów i nie pokazuje się — choć dla formy — na filmowych seansach. Ale szybko wyjaśniło się, że Yves Montand i jego młoda przyjaciółka Carole przychodzą chyłkiem na poranne projekcje dla prasy i chyłkiem przed ich zakończeniem wymykają się.

Marcello Mastroianni pojawiał się i znikał... helikopterem. Oficjalnie mieszkał w hotelu „Majestic", gdzie przed wejściem i w holu hotelowym cierpliwie czekał tłum reporterów i fotoreporterów, aby go spotkać. Gdy im się to wreszcie udało, ktoś zapytał, jak się aktorowi udało połączyć włoski charakter ze słowiańską duszą i tak świetnie zagrać w filmie Nikity Michałkowa „Oczy czarne".

Na to Marcello Mastroianni: — *Jak? Normalnie. Przecież jestem półkrwi Rosjaninem. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Mastrojanowicz!*

Marcello Mastroianni miał przynajmniej powód, aby znikać: realizuje film w Budapeszcie. Musiał wracać do pracy.

A inni? Co im kazało się chować przed ludźmi? Może ta sama obawa przed terroryzmem, która kazała im w poprzednich latach w ogóle zapominać o Cannes. Czyż nie jest to gratka dla terrorystów porwać Betty Davis, albo Frederico Felliniego, albo młodą przyjaciółkę Yves Montanda?

W każdym razie gwiazdy wyraźnie unikały tłoku i... popularności. Robert de Niro przyleciał

13

F. Fellini i G. Massina

40 lat temu powstał w Łodzi zespół jazzowy z prawdziwego zdarzenia.

Krótka historia zespołu „Melomani" czyli jak jazz wpływał na spożycie dorsza

Był najprawdopodobniej pierwszym — z prawdziwego zdarzenia — zespołem jazzowym w Polsce. Standardy jazzowe grały orkiestry taneczne, dancingowe już w latach dwudziestych. Zdarzali się improwizujący („hotujący" — jak wówczas mawiano) soliści. Nie było jazzu prawdziwego, stylowego. „Ten cały jazz" tak naprawdę zagrali dopiero oni: „Melomani". Ale najpierw była łódzka YMCA i grupka muzyków-amatorów.

WSPOMINA ANDRZEJ „IDON" WOJCIECHOWSKI:

— Po wojnie YMCA była instytucją charytatywną, schroniskiem dla dzieci z niezamożnych domów. Dawali tam czekoladę z UNRR-y i bułki z masłem. Jednocześnie była domem kultury, można się tam było spotkać, pogadać, posłuchać muzyki. Były kluby majsterkowiczów, kluby sportowe, muzyczne. I było dużo amerykańskich płyt... Chyba z jakiegoś powojennego demobilu. Do tego niesłychanie ekscytujący sprzęt, mianowicie adapter ze zmieniaczem na dziesięć płyt! A na tych płytach najlepsze amerykańskie orkiestry: Benny Goodman, Count Basie, Harry James, Woody Hermann, Duke Elington, Glenn Miller. To była wówczas awangarda, nie było jeszcze Parkera czy Petersona. Choć pamiętam z tych płyt bardziej nowoczesnego muzyka: był Chico Hamilton!

Słuchaliśmy i słuchaliśmy, z wypiekami na twarzy. A zespół (jeszcze nie „Melomani") powstał z powodów zupełnie utylitarnych — była sala kominkowa, można było robić wieczorki taneczne. Tylko trzeba było grać! No więc graliśmy. Na fortepianie grała Franciszka Leszczyńska — później radiowa akompaniatorka, Jurek Brodzki — znany jako dziennikarz sportowy, Marian Klecki — brat szwajcarskiego dyrygenta, Marek Szczerbiński, dziś znany jako Marek Start, Janusz Cegiełła, Henryk Czyż, Zenon Płoszaj. Był jeszcze pianista i kompozytor Frachowicz, autor tanga „Blada dziewczyna z Koluszek". Wszyscy oni przeważnie grali w knajpach, ale przychodzili też pograć na wieczorkach w YMCA-e. Grały wówczas w łódzkich knajpach doskonałe orkiestry: m.in. bracia Łopatowscy w ogródku „Tivoli", później w „Casanovie". Obok tych, często przedwojennych jeszcze klezmerów startowaliśmy my kilkunastoletni, jak dziś można powiedzieć „małolaty". A skąd umieliśmy grać? Nauczyli nas w szkole...

W pierwszych latach powojennych były w szkołach średnich orkiestry dęte. Była orkiestra w „Piłsudskim" (dziś III LO) — grałem w niej na trąbce, była orkiestra w Technikum Włókienniczym — Witek Sobociński grał w niej na saksofonie altowym. Zresztą także w szkołach próbowaliśmy grać do tańca, a nawet grać jazz — w mojej szkole był też mały big-band, graliśmy jazz na tych orkiestrowych trąbach... Mieliśmy jakieś poniemieckie orkiestrówki i sadziliśmy jakieś takie slow-foxy (mówiło się: szlofoksy). Kiepskie to było, ale i tak mieliśmy z tego kupę radości...

Pierwszy instrument, jaki kupiliśmy za składkowe pieniądze to był sax-baryton. Dlaczego akurat baryton? Bo był, gdzieś w zbiórnicy złomu, za tanie pieniądze. Tak więc mieliśmy saksofon, choć jakby taki mniej potrzebny — ani altu ani tenora nie mieliśmy...

A jakich znakomitych perkusistów mieliśmy: Janek Machulski, Andrzej Racławicki — nazwiska nie wymagają wyjaśnień? Znanych dziś nazwisk mogę wymienić całą masę: doktor Cezary Różycki — pianista, inny lekarz, dziś poważny profesor Akademii Medycznej, Anastazy Omulecki — klarnet... Kibicami jazzmanów, jak się później mówiło — „jazzfanami" byli obecni ambasadorzy: Włodzimierz Natorf i Jerzy Szope...

Jazzem interesowało się wielu filmowców, plastyków. Wśród wykładowców Wyższej Szkoły Filmowej jakieś siedemdziesiąt procent stanowili zwolennicy jazzu. Byli i zagorzali przeciwnicy, zarówno spośród profesury jak i studentów. Lubił jazz profesor Jerzy Toeplitz, Andrzej Munk, Jahoda, Janusz Majewski. Przeciwnicy? Reżyser Aleksandrowicz, Poręba. Kiedy już studiowaliśmy w szkole miewaliśmy kłopoty. Sobociński był parę razy „na dywaniku" i na zebraniach ZMP ostro karcono za to, że grał w „Halce", na kontrabasie. Musiał jakoś dorabiać, stypendia były mizerne. Mieli do nas pretensje nie tylko za jazz — także za... berety i żółte szaliki!

Utarło się, że jazz w tym okresie grało się w piwnicach, w jakichś katakumbach. Tymczasem my graliśmy w salonach! Proszę sobie wyobrazić — jazz był muzyką salonową! Rodzice Janka Skotnickiego mieli wielkie mieszkanie na Piotrkowskiej — graliśmy u Skotnickich. Graliśmy u Ekersdorfów (znana rodzina adwokacka). Takie jazzowe party miało posmak snobistyczny, wypadało tam „być". No i Skotnickiego też w ZMP stawiali na dywaniku, bo u niego w domu były jakieś „nielegalne imprezy".

TAKIE BYŁY CZASY.

Włodzimierz Sokorski, ówczesny minister kultury pisał, że „jazz jest imperialistyczną dywersją w kulturze socjalistycznej". A kiedy zamknęli YMCA-ę, to jeden z „likwidatorów" potłukł na proszek te wszystkie wspaniałe płyty...

YMCA uległa likwidacji. A młodzi muzycy akurat weszli w wiek studencki — był rok 1947. Nie było „Klubu Melomanów". Był za to studencki zespół „Melomani", nie używający —

13

Odgłosy

M.B. I-78648/88

19.01

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Strviski, Maciej Swierkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1953, H-2.

Łódzkiemu Wydawnictwu Prasowemu stuknęła czterdziestka!

W miniony poniedziałek, 29 czerwca 1987 r. w gościnnych salach Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyła się miła uroczystość z okazji 40-lecia Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch", w której wzięli między innymi udział: członek KC PZPR i sekretarz KŁ PZPR — **Józef Niewiadomski**, członek CKKR PZPR i sekretarz KW PZPR w Sieradzu — **Janusz Urbaniak**, przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych sąsiednich województw, delegacje zagraniczne z NRD i Jugosławii. Zarząd Główny RSW „Prasa — Książka — Ruch" reprezentowali: prezes — **Wiesław Rydygier** i wiceprezes — **Alina Tepli**.

Z okazji święta Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego wielu pracownikom przyznano wysokie odznaczenia państwowe i resortowe. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: **S. Gratkowski, J. Krajewski, K. Lesner, J. Misa, P. Sagan, S. Sebastiani.**

Miło nam donieść, że wśród wyróżnionych znaleźli się również nasi redakcyjni koledzy. Laureatem dorocznej nagrody dyrektora ŁWP za osiągnięcia w pracy twórczej został między innymi zastępca redaktora naczelnego — **Edmund Lewandowski.**

Wszystkim odznaczonym i wyróżnionym kolegom „Odgłosy" składają najserdeczniejsze gratulacje!

Prezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch" — **Wiesław Rydygier** zawiadomił zebranych, że dotychczasowy dyrektor ŁWP — **Piotr Sagan** przeszedł do pracy w Ośrodku Kultury Polskiej w Pradze na stanowisko dyrektora tej placówki. Na jego miejsce w ŁWP został powołany **Andrzej Mikołajczyk** — dotychczasowy zastępca dyrektora ŁWP. Redaktorzy naczelni łódzkich gazet i czasopism oraz goście zaproszeni podziękowali za dotychczasową pracę **Piotrowi Saganowi** oraz złożyli życzenia pomyślnego wykonywania obowiązków **Andrzejowi Mikołajczykowi.**

B. M.

Przegląd prasy

W katolickim piśmie społeczno-kulturalnym „TYGODNIK POWSZECHNY" (nr 25) Jacek Rakowiecki krytycznie ocenił przyjęcie papieża Jana Pawła II w Łodzi. Na tle sprawozdań reporterskich z innych miast Łódź wypadła zdecydowanie najgorzej. Oto charakterystyczny fragment:

„Miasto udekorowane jest bardzo skromnie. Tylko na trasie przejazdu papamobilu widać większe transparenty i symbole Kongresu Eucharystycznego. Mało jest dekoracji w oknach, choć w Łodzi trudno zorientować się w przeznaczeniu budynków. Podobny standard i wygląd mają częstokroć kamienice, fabryki, urzędy i sutereny. Właśnie na fabrykach poza nieśmiałymi symbolicznymi dekoracjami w brudnych okienkach, hal, nie ma nic, co świadczyłoby, że Ojciec Święty przyjeżdża przede wszystkim do Łodzi robotniczej. Na sąsiadujących z «Uniontexem» zakładach bawełnianych «Marco» nie ma żadnej dekoracji; całkowicie ich pozbawione są witryny sklepów. Natomiast całe miasto zalane jest plakatami i flagami rozpoczynających się 18 bm. Międzynarodowych Targów Wyrobów Włókienniczych i Odzieży «Interfashion». Łodzianie, z którymi rozmawiam przed przyjazdem Ojca Świętego, mówią o «uśpionym katolicyzmie»".

Jacek Rakowiecki podaje, że 13 czerwca o godzinie 10 zebrało się na Lublinku około 500 tysięcy wiernych. Było to mniej niż oczekiwano. W dodatku niewiele widziało się flag i transparentów.

Oceny te poprzedza krótki opis Łodzi, z którego wynika, że mamy do czynienia z niezwykle ponurym miastem. Jest tu ogromne zagęszczenie ludności, zapylenie powietrza, straszliwy hałas, najwyższy wskaźnik umieralności niemowląt, dużo zarejestrowanych alkoholików. Większość pracowników stanowią kobiety. Muszą one ciężko pracować, lecz mało zarabiają i przeważnie cierpią na przewlekłe choroby.

W ostatnim dniu Kongresu Eucharystycznego papież wygłosił ważne przemówienie do Konferencji Episkopatu Polski. Wskazał w nim na wyzwanie ze strony ideologii materializmu dialektycznego. Cytuję za tygodnikiem archidiecezji warszawskiej „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 25):

„Jest to wyzwanie bardzo głębokie. Religia ma być wedle obecnej antropologii materialistycznej czynnikiem, który pozbawia człowieka pełni jego człowieczeństwa. Człowiek przez religię sam się jej pozbawia, zrzekając się tego, co immanentne i integralnie «ludzkie», na rzecz Boga, który — w świetle założeń i przesłanek systemu materialistycznego — jest tylko «tworem» człowieka. Może to być wyzwanie destruktywne. Ale — na latach doświadczeń — nie możemy nie stwierdzić, że może to również być wyzwanie mobilizujące do podejmowania wysiłków, do szukania nowych rozwiązań, i w tym sensie poniekąd twórcze".

Papież wezwał biskupów polskich, żeby nie tracili z pola uwagi spraw związanych z podmiotowością społeczeństwa i przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Suwerenność państwowa wymaga, jego zdaniem, żeby społeczeństwo było autentycznym gospodarzem. O tej kwestii oraz propozycji nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską (propozycję zgłosiły władze PRL) Jan Paweł II będzie bardziej szczegółowo dyskutował z biskupami w ramach odwiedzin „ad limina Apostolorum" w Rzymie.

Nasuwa się pytanie, czy możliwe jest w Polsce współistnienie katolicyzmu z socjalizmem i współdziałanie Kościoła z partią marksistowsko-leninowską? Odpowiedź twierdzącą daje w miesięczniku „ODRA" (nr 6) prof. Jan Szczepański. Pisze on między innymi:

„Kto dziś pamięta, że liberalizm też niegdyś był przez Kościół wyklinany? Ateizm, jak już podkreślałem, nie jest dla socjalizmu sprawą zasadniczą i na ustrój polityczny czy gospodarczy nie ma wpływu. Tak samo jak nie ma wpływu religia. Wprawdzie etyka protestancka odegrała ważką rolę w rozwoju umysłowości kapitalistycznej, a więc pośrednio i kapitalizmu, ale wpływ katolicyzmu na gospodarkę dokonywał się raczej rzadko, wyjąwszy benedyktynów, którzy zmodernizowali rolnictwo w Europie i nauczyli Europę nie tylko się modlić, ale także pracować. Socjalizm może swoje cele polityczne i gospodarcze także realizować, a raczej mógłby, nie troszcząc się o religię, gdyby ateizm nie zidentyfikowano z istotną treścią społecznej doktryny marksizmu. Trzeba więc wyjaśnić sobie nieporozumienia, trzeba nawiązać dialog pokazujący, że możliwa jest tolerancja po obu stronach, że fanatyzm i zacietrzewienie jest szkodliwe dla obu stron. Podjęta próba przebudowy socjalizmu, dążenie do nadania socjalizmowi końca XX wieku innego kształtu niż na początku wieku, konieczność wyzwolenia nowych sił ustroju, skłania do przypuszczenia, że otwiera się nowy etap współistnienia socjalizmu i Kościoła".

Kilkanaście stron dalej Stanisław Bereś rozmawia z prof. Sante Graciottim, dyrektorem Instytutu Filologii Słowiańskiej w Rzymie. Wybitny slawista powiada, że dla Włocha Polska jest bardzo nietypowym krajem. Jego samego najbardziej pociąga „zwariowany element charakteru narodowego". Na czym więc polega nasza nietypowość i wariactwo?

„W Polakach— czytamy — wręcz uderzająca jest fantazyjność, brak racjonalizmu i namiętność w działaniu, które powodują, że często oddają wszystko za nic. Już romantycy zauważyli ich fascynację ideałami i elementami utopijnymi. Jakże to jest widoczne w polskiej kulturze!"

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Co komu warto

Zdumiałem się niepomiernie dowiedziawszy się, że bardzo niewielu ludzi — jak wynika z ankiet — opowiada się za wzrostem wynagrodzenia współmiernym do zwiększonego wkładu pracy. Pewną niewielką różnicę uważa się na ogół za uzasadnioną, i tak np. trzy czwarte ankietowanych pracowników uznało, że różnica w wynagrodzeniu pracy miernej i wydajnej powinna zamykać się w granicach dwudziestu pięciu procent, a tylko nieliczni wypowiedzieli się za rozpiętością wynagrodzenia przekraczającą pięćdziesiąt procent. Czyżby więc triumf filozofii „jednakowych żołądków"? Tak chyba muszą wypowiadać się ci, co nie widzą dla siebie miejsca w szeregach przodujących pracowników.

Specjaliści od socjologicznych analiz zapewne potrafią te zaskakujące postawy objaśnić bardziej racjonalnie, podbudować uzupełniającymi pytaniami, ja natomiast nie mogę wyjść ze zdumienia, że pomimo wysokich kosztów utrzymania i zwłaszcza mocno wyśrubowanych cen na niektóre dobra trwalszego użytku, tak wielu ludzi jak gdyby z góry wyrzeka się szansy zachowania czy podwyższania standardu życia. Dlaczego uważa się, że nie jest to warte wzmożonego wysiłku?

Odrzucam przypuszczenie, że w ankiecie (anonimowej przecież) można odczuwać pokusę przybierania pozy człowieka nieczułego na dobra materialne, co pozwalałoby się domyślać, że wyżej on sobie ceni dobra wyższego rzędu, np. moralne, pozostawałoby to bowiem w sprzeczności z dość pagminną nieuczciwością, z raczej powszechną wyrozumiałością na kradzież mienia publicznego (jeśli tylko nie jest ona popełniana przez kogoś z wyższego szczebla, co nie musi znaczyć, że lepiej zarabiającego).

W takim razie — w czym rzecz? Dlaczego tak wielu pracujących Polaków deklaruje niechęć do zwiększania zarobkowych wysiłków, a raczej nie udziela aprobaty premiowaniu pracowników najlepszych? Czy na myśl, że ktoś mógłby się mieć lepiej i to swoją zasługą, rodzi się od razu pospolita zawiść? Roztrząsam tak szczegółowo tę sprawę, ponieważ wydaje mi się ona symptomem postaw wyjątkowo niepokojących...

Otóż, być może jest to świadectwem braku aspiracji cywilizacyjno-bytowych u znacznej części współrodaków (czemu przeczyłby zresztą powszechny pęd do motoryzacji). Myślę, że w polskiej obyczajowości są nadal w wyjątkowo wysokiej cenie sprawy rodzinno-towarzyskie, polegające ogromnie często na wspólnym wychylaniu kielicha pod obfitą zakąskę i to nie w lokalu lecz w domowych pieleszach lub na zielonej trawce (co znacznie mniej kosztowne), na beztroskim weseleniu się przy „Góralu" i „Rybkach", które śpią w jeziorze. Dla wielu z nas warte to jest każdych pieniędzy, zwłaszcza w porównaniu z wyrzeczeniami i dyscypliną, jakiej wymaga walka o większy (legalny!) zarobek.

I m. in. dlatego wielu z nas nie widzi powodu, żeby ten co „robi jak głupi" miał się dużo lepiej niż my, którzy bądź co bądź też pracujemy i powinniśmy mieć płacone tyle, żebyśmy nie musieli się oglądać za dodatkowym zarobkiem. Te pozory słuszności są trudne do podważenia, choć są tylko pozorami, ponieważ żyje się zawsze w świecie realnych możliwości a nie mrzonek i złudne jest mniemanie, że człowiekowi „należy się" tyle, ile sam uzna za niezbędne do zaspokojenia swoich potrzeb. Bo właściwie od kogo się „należy"? Nie istnieje, niestety, takie abstrakcyjnie pojmowane państwo, w którym dóbr do podziału nie musi się zbiorowo wypracowywać (i to nawet jeśli rabowało się kolonie lub jeśli zmusza się słabszych partnerów do wymiany surowca za fabrykat pod osłoną „kanonierek").

Chyba nie mylę się w ocenie braku aspiracji rodaków, skoro ciągle brak jest chętnych do wielu nie najgorzej płatnych dodatkowych czynności, jak choćby porannego roznoszenia mleka za ok. dziesięć tys. zł miesięcznie. A widzę naokoło dziesiątki mężczyzn w sile wieku, narzekających na niskie zarobki, a także wielu tryskających zdrowiem i energią posiadaczy renty chorobowej, ale jednym i drugim „nie warto się zabijać za marne pieniądze".

Z pewnością za duże pieniądze byłby „mniejszy wstyd" — bo mamy gest i niełatwo wyzbywamy się wolnego czasu i przyjemności jak jacyś przyziemni ciułacze, pozbawieni towarzyskiego polotu.

Sądzę, że w kształtowaniu się tych postaw mogły też zawinić w przeszłości nasze oddziaływania wychowawcze, a mianowicie zbyt wysoko „wywindowany" socjalistyczny etos pracy, wymagający tego, by pracować nie dla wzbogacenia się i żyć bez obrastania w dobra, lecz z myślą o dostatku przyszłych pokoleń. I coś z tej abnegacji pozostało, przybrawszy karykaturalne formy...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Mają po szesnaście, siedemnaście lat. W domach mówią, że wychodzą na prywatkę lub do koleżanki. Można je spotkać w hotelach i akademikach. Polują na cudzoziemców... — reportaż ROMANA KUBIAKA.

— Ma na imię Carmen, płomienne oczy, roztańczone biodra i flamenco we krwi, jest ognista i mściwa. Taki jest stereotyp Hiszpanki. A jak jest naprawdę? Kobiety nie chcą zajmować się tylko domem. Dziewictwo przestaje być najwyższą wartością...

— Socjologowie wyodrębniają cztery orientacje polityczne w naszym społeczeństwie: zwolenników i przeciwników oraz centrowców i milczącą mniejszość. Która grupa jest najliczniejsza? Jakie instytucje i osobistości cieszą się największym zaufaniem? — odpowiedź w artykule EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO.

— Krótka historia wielkiego dramatu czternastoletniej Basi — ukazana na podstawie jej listów do matki i ciotek.

— W latach 1972—1982 kierował „Odgłosami", a przez ostatnie 5 lat Łódzkim Oddziałem Krajowej Agencji Wydawniczej. Rozmowa z JERZYM WAWRZAKIEM.

Jakie powinności ma literatura wobec rzeczywistości? Każda generacja ma obowiązki pisarskie wobec swej epoki. Współczesny czytelnik cierpi na niedosyt refleksji o współczesności. Dlaczego pisarze posługują się „tematami zastępczymi"?

Komu potrzebna jest literatura współczesna?

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Niedawno na jednym ze spotkań autorskich zostałem sprowokowany do wyrażenia swojego poglądu na literaturę współczesną. Wreszcie, ktoś zapytał wprost i brutalnie: **komu potrzebna jest literatura współczesna?** Czy nie wystarczy tej, która już powstała, czy nie jest ona na tyle uniwersalna, aby czytelnik mógł znaleźć w niej wszystko, co go do książki pociąga? I wreszcie — czy tej współczesności: szarej i trudnej, nie za dużo wokół, czy nie starczy to, co jest na co dzień?... Broniłem się twierdząc m. in., iż każda generacja pisarska winna pozostawić po sobie dojrzałą, literacką refleksję swojej epoki. Czy tak być musi? Sądzę, że powinno, że należy próbować.

1.

Zagadnienie postawy bohatera literackiego wobec współczesności, to w zasadzie nic innego jak stawianie pytania o relacje między literaturą współczesną a rzeczywistością — gałopującymi przemianami społecznymi, obyczajowymi i kulturowymi. Jest to, jak twierdzą niektórzy, stary dylemat pewnego „odstawania" literatury od życia. Czy tak jest w istocie? Czy z owym „odstawaniem" mieliśmy i mamy wciąż do czynienia? I zrazu nasuwa się kolejny problem do rozstrzygnięcia, a mianowicie pytanie o to, **czy literatura ma powinności tego samego typu co publicystyka, czyli natychmiastowego i każdorazowego reagowania na problemy, dylematy, całą dramaturgię życia społecznego, wszystko, co niesie z sobą wartki pełen zawirowań nurt współczesności i tej niedawnej, dopiero wczorajszej historii?**

W tej ostatniej kwestii napotykamy na dwa, krańcowe stanowiska. Zwolennicy pierwszego typu poglądu to ci, którzy uparcie obstają przy tezie o konieczności zachowania znacznego dystansu historycznego, a więc i dystansu literatry wobec współczesności, wobec życia. Inni zaś, zgoła o odmiennym poglądzie, ponaglani przez dość zgodny chór krytyków, podejmują ryzyko pisania jakby z dnia na dzień, dziś o wczoraj, żywiołowo, na gorąco reagując na rzeczywistość, z bagażem (a może balastem?) świeżych emocji i nie zweryfikowanych poglądów, refleksji i doświadczeń. Spór o to, kto ma rację, trwa nadal.

Tymczasem powstają książki będące coraz bardziej dojrzałymi przykładami intelektualnej konkluzji okresu międzywojennego. Książki te wytrzymują konfrontację ze sporządzanymi przez historyków komentarzami do dziejów najnowszych. Trudniej byłoby to samo powiedzieć o literackiej refleksji pierwszej dekady powojennej. Nie lepiej, jeśli nie gorzej jest z literackim obrazem następnych lat minionego czterdziestolecia. Dlatego upieram się przy swoim twierdząc, iż **każda generacja pisarska powinna podejmować trud pozostawienia po sobie dojrzałego, literackiego obrazu swojej epoki.** To najprostszy sposób zachowania ciągłości pokoleniowej narodu, jego kultury i myśli społecznej. To nic, że następne pokolenie może ten obraz odmitologizować, a nawet wykpić, wypełnić „białe plamy", wreszcie — zarzucić, jeśli dziedziczona wizja świata wyda się mu chybiona lub nadto zafałszowana (mityczna). Najważniejsze, aby było się do czego odnieść, z czym polemizować.

Ukazują się, choć aktualnie jakby jest ich mniej, książki, które na „gorąco" reagowały na wydarzenia i problemy, które niósł z sobą nurt posierpniowych konfrontacji postaw i poglądów. Były wśród nich propozycje bardzo kontrowersyjne, jak na przykład powieść **„Rok w trumnie"** Romana Bratnego, a były i takie, które przeminęły bez echa.

Są podstawy, aby twierdzić, iż duża część czytelników nadal odczuwa, skądinąd uzasadniony, **niedosyt nie wrażeń, lecz refleksji,** poszukując ich także we współczesnej powieści czy noweli. Mija czas, a pytań, wątpliwości i rozterek jakoś nie ubywa. Czy to wina literatury? Nie sądzę. Pisarze nie są prorokami. Jak my wszyscy tak i oni potrzebują czasu, aby dostatecznie ochłonąć z niedawnych emocji. Podobnie jak nie sposób dłużej zwlekać z uporządkowaniem rzeczywistości, ze zmianami społecznymi i to radykalnymi i głębokimi, tak nie można odkładać w nieskończoność powinności zmierzenia się pisarzy ze współczesnością, aby „nie przedreptać szansy", jak to określił w niedawnym wywiadzie telewizyjnym Wojciech Żukrowski.

Literatura, szczególnie zaś proza, zawsze musiała w miarę jednoznacznie określać się wobec dylematów współczesności, chociaż podobnie jak to czasami czyni dziś, tak i dawniej, próbowała czasami chronić się przed presją bieżących spraw w zakamarki historii lub sfery fantastyki. Generalnie jednak literatura była zawsze dość blisko życia. W przypadku nurtów postępowych bohater literacki prezentował postawę niezgody na ułomności i wynaturzenie w sferze stosunków społecznych, obowiązujących systemów wartości. Był to sprzeciw, bunt wobec zastanego świata i jego porządku, nierzadko zakończony porażką pisarza i jego bohatera, opłacony goryczą i niezrozumieniem. Wyrazem tego typu postawy artystyczno-programowej może być mniej lub bardziej konsekwentnie podejmowana próba kreowania nowej rzeczywistości społecznej, będącej literackim manifestem radykalnych ideologii.

2.

Proza, jak może żaden inny z gatunków literackich daje się dość jasno zdefiniować w swoich powinnościach społecznych. Kazimierz Wyka pisał:

„Proza jest gatunkiem najbardziej związanym z ciągłością życia społecznego. Związanym w tym rozumieniu, że proza nie dla swojej wartości czysto uczuciowej czy artystycznej staje się dostępna dla następnych pokoleń. Staje się ona dostępna przede wszystkim dla pewnych wartości poznawczych".

Sądzę, iż twierdzenie powyższe jest prawdziwe. Jednakże nie sposób ze sformułowania K. Wyki wnosić, że wartości artystyczne prozy społecznie zaangażowanej mogą być jakby niższych lotów. Wprost przeciwnie. To właśnie kunszt literacki, sprawność warsztatu pisarskiego, intelektualna i ideowa dojrzałość tego typu prozy, stanowi o jej atutach, a tym samym wzmacnia siłę oddziaływania owych wartości poznawczych.

Bywają okresy, w naszym czterdziestoleciu powojennym nader częste, że w momentach politycznych wstrząsów czytelnik sięga bez mała po wszystko, po każdą literaturę, która jego zdaniem stwarza szansę znalezienia odpowiedzi na trudne sprawy bieżące. W owym momencie przełomów, napięć oraz zaburzeń i towarzyszącym im przewartościowaniom czasami zamazuje się granica między literaturą a publicystyką. Jednakże po każdym mniej lub bardziej szczęśliwie wziętym „zakręcie historii", przychodzi czas na otrzeźwienie, pogłębioną refleksję, potrzebę ponownego zrozumienia siebie i innych. Wówczas pojawiać się winna literatura odpowiadająca społecznym wymaganiom. Literatura mądra i odpowiedzialna, odważna ale zarazem racjonalna, naprowadzająca na nowy szlak dziejowy.

3.

Proza nie jest i bardzo dobrze, że nie jest jedynym ze sposobów formułowania pytań o najważniejsze problemy współczesności oraz dociekliwego poszukiwania na nie odpowiedzi. Wraz z rozwojem środków społecznego komunikowania się, pojawiły się nowe metody opisu i interpretacji rzeczywistości. Bywa jednak, że kiedy zawodzą pozaliterackie sposoby intelektualnej refleksji nad rzeczywistością społeczną, wówczas dość natrętnie formułowane są postulaty o zaangażowaną literaturę. Stąd też zawsze aktualny pozostanie postulat ideowej, **realistycznej literatury współczesnej.** Sądzę, że potrzeba tego typu literatury będzie istniała dopóty, dopóki istnieć będzie społeczność ludzka. Jednakże żądanie wyłączności i tworzenia „rzeczywistości idealnej", do czego w przeszłości literaturę namawiano, zawsze okazać się musi destrukcyjne i ogromnie szkodliwe. Nie był to bynajmniej jedynie „grzech" okresu „błędów i wypaczeń", czyli stalinizmu. Z podobnymi błędami i wypaczeniami mieliśmy do czynienia nader często. Jeszcze sporo lat po październikowym przełomie kierownictwo polityczne na wiele zjawisk w literaturze reagowało nieprzyzwoicie nerwowo, administracyjnie, przede wszystkim przez wzrost liczby nieuzasadnionych ingerencji cenzury, które po czasie śmiesząc, wystawiają nie najlepsze świadectwo politycznej dojrzałości i mądrości władzy.

W tym miejscu naszych rozważań można przytoczyć pytanie, jakie w publikacji pt. **„Polityka kulturalna wczoraj i dziś" postawił Zbigniew Safjan:**

„Jakie mechanizmy powodują, że kierownictwo polityczne wyrzeka się tak ważnego instrumentu wiedzy o sytuacji w kraju, o nastrojach i opiniach społecznych, jakim jest literatura? Jakie zadufanie prowadzi do poszukiwania w niej tylko potwierdzeń skuteczności własnych działań? Jakie oderwanie od rzeczywistości każe rezygnować z nieustannej konfrontacji własnych wyobrażeń o sytuacji w kraju z opinią społeczną, wyrażaną także przez literaturę?".

Sądzę, że wstrząsy społeczne, które były udziałem minionego czterdziestolecia, szczególnie zaś ostatni, posierpniowy, powinny pozostać ostrzeżeniem dla zwolenników uproszczonej koncepcji realizmu socjalistycznego.

4.

Mieliśmy już sposobność zapoznania się z treścią rozmaitych raportów i publikacji profesjonalistów dotyczących przyczyn i źródeł naszych niepowodzeń w budownictwie socjalizmu. Mimo to, w odczuciu społecznym, istnieje wciąż spory **niedosyt refleksji literackiej nad najnowszymi dziejami Polaków.** Czy jest zatem prawdą jakoby pisarze świadomie uciekali od tej problematyki? Jedną z najbardziej surowych opinii w literaturze współczesnej wydał **Stanisław Stanuch,** który w **„Straconych szansach prozy polskiej w czterdziestoleciu"** pisze:

„Proza polska wypróbowała już wszystkie formy ucieczki od rzeczywistości: groteskę, powieść historyczną, powieść faktu, eseizowanie, dzienniki życia duchowego, złudne uroki edycji „poza zasięgiem cenzury". Czy nie czas byłby spróbować ucieczki do rzeczywistości? (...) Prozaicy starszego pokolenia wybrali albo zewnętrzną emigrację, albo luksusowe wspaniałe odosobnienie (...). Między emigracją, prasą podziemną a życiem literackim w kraju nie istnieje żadne napięcie twórcze, inspirujące powstawanie powieści czy opowiadań mówiących bodaj w przybliżeniu o tragedii pomyłek, rozczarowań, nadziei i zapamiętania, o zagubieniu, jakie przeżywa jeszcze znaczna część Polaków".

Jakkolwiek esej Stanisława Stanucha uważam za niezmiernie cenny, to przyznać muszę, iż wyżej przytoczona opinia nie w pełni pokrywa się z moimi ocenami i odczuciami.

Skoro jednak wciąż nie jest dobrze z prozą współczesną, to może w twórczości młodych upatrywać trzeba odrodzenia, szansy na spełnienie niespełnionego? Niedawno miałem okazję spotkać się z jedną z łódzkich grup młodoliterackich. Adepci sztuki pisarskiej bardzo krytycznie wypowiadali się na temat dorobku prozy polskiej ostatnich lat. Tyle tylko, że poza negacją tego, co stworzyła generacja poprzedników, ludzie ci prawie nic od siebie nie potrafili zaproponować. **Nie ma dziś młodych-gniewnych, jest za to sporo narzekania i nasuwające smutne refleksje przekonanie, że upłynąć musi jeszcze sporo lat nim ci młodzi ludzie dojrzeją do debiutanckiej powieści.**

A co z awangardą? Co z bohaterem kontestującym? Czyżby literackiego bohatera porywającego się na wywrócenie świata do góry nogami, miał zastąpić bohater-oportunista, który od najmłodszych lat wchodzi w nielatwą sztukę przystosowywania się do każdych okoliczności? Czyż jednak należy mieć pretensje do adepta sztuki pisarskiej, do młodego prozaika o to, że bohater jego książki jest nader często obojętny na sprawy dotykające w sposób zasadniczy bytu i losu jego narodu, skoro ów twórca wyznaje szczerze, że nie czuje się jeszcze dość dojrzały i kompetentny, aby zmierzyć się z tak trudną materią? Co wówczas należałoby powiedzieć o generacji starszej, o pisarzach dojrzałych, którzy nierzadko także wolą sięgać po „temat zastępczy"?...

5.

Literatura to szczególna forma dialogu, do którego obie strony, tj. pisarz i czytelnik muszą być przygotowane. O czytelnikach może przy innej okazji. Co zatem można powiedzieć o pisarzach?

Po pierwsze: — do pisarstwa przychodzi się różnymi drogami, a więc z rozmaitym bagażem wiedzy, doświadczenia, z rozmaitą filozofią i światopoglądem. To wszystko można odczytać w warstwie filozoficzno-światopoglądowej każdego z utworów literackich;

Po drugie: — rozmaity jest stopień świadomości i wiedzy społecznej pisarzy, szczególnie młodych, odmienne są ich opcje ideowe i polityczne, dominuje luksusowe niezaangażowanie. Nurt lewicowy od dawna nie ma przewagi;

Po trzecie: — niemałe piętno na współczesnej prozie polskiej wywiera zagubienie i rozterki ideowe pisarzy. Tak było bodaj po każdym z kilku wziętych już „zakrętach" polskiej drogi do socjalizmu. Jednych owe rozterki sprowadzały na ścieżkę emigracji lub do „drugiego obiegu", innych zaś w sfery odosobnienia;

Po czwarte: — lektura młodej prozy i najmłodszej generacji pisarskiej (ale nie tylko), dostarcza wielu argumentów do tezy o poważnym braku tożsamości ideowej tej literatury, o niedostatku wyraźnych opcji nie tylko politycznych, lecz i moralnych, o zagubieniu, niepewności czy wręcz ułomności intelektualnej. Osąd to nader surowy, zdaję sobie z tego sprawę, tylko czy naprawdę można mu zarzucić przesadę?

Optuję za poglądem, iż pisarstwo nie jest „darem niebios", ale umiejętnością, którą należy stale doskonalić, w tym również wzbogacając się o wiedzę pozwalającą coraz trafniej i wszechstronniej rozpoznawać stan świadomości narodu, aby móc z powodzeniem polemizować z czytelnikiem.

Bohater literacki będzie tym bliższy współczesności, im mniej pisarz będzie trwożył się i uciekał od rzeczywistości społecznej, a także wtedy, gdy stworzy mu się niezbędne do tego typu twórczości warunki (stabilna polityka kulturalna, rozumna cenzura, sensowny cykl wydawniczy).

6.

Nie można zapominać o tym, że w sensie intelektualnym, a więc w znaczeniu tego, co składa się na doświadczenie, wiedzę i zdolności umysłowe człowieka, pisarz jest nieodrodnym wytworem swojej epoki, wiernym towarzyszem swojej generacji z wszystkimi wartościami wielkimi i ułomnościami tejże epoki i tegoż pokolenia. Każdy z systemów politycznych oraz każda z wielkich ideologii, narzucają twórcom zamierzone ograniczenia. Ów determinizm narzucany sztuce jest jednocześnie prowokacją (szczególnego rodzaju) i powodem, dla którego pisarz, choć tak często liczy się z realiami społecznymi, jednocześnie niepokornie i nieposłusznie podejmuje ucieczkę w świat „iluzji", czyli nowych idei, stawiających aktualną rzeczywistość pod wielkim znakiem zapytania. Bowiem o żadnym z realnie istniejących systemów społecznych nie sposób powiedzieć, że jest doskonały i wieczny, najlepszy z możliwych.

Sztuka nie może być czymkolwiek odgradzana od wpływu wielkich ideologii i systemów politycznych. Wszakże jedną z funkcji literatury jest tworzenie warunków do komunikowania się ludzi w obrębie preferowanych systemów wartości. Jednakże konieczne jest niestrudzone optowanie twórców za jak największą autonomią sztuki, protestowanie przeciwko próbom ubezwłasnowolnienia sztuki przez politykę, ideologię czy religię. Dzieło literackie może nabrać wartości społecznej jedynie jako rzecz autonomiczna.

Wadą każdej rzeczywistości społecznej jest i to, że jest ona zawsze daleka od idei i ideałów, które ją zrodziły, czyli owej „utopii" wielkich ideologii. Powinnością literatury jest uzmysławiać to nam wszystkim w sposób permanentny i niestrudzony m. in. poprzez bohaterów, którzy nie przechodzą obojętnie nawet wobec najbardziej szarej i ułomnej rzeczywistości.

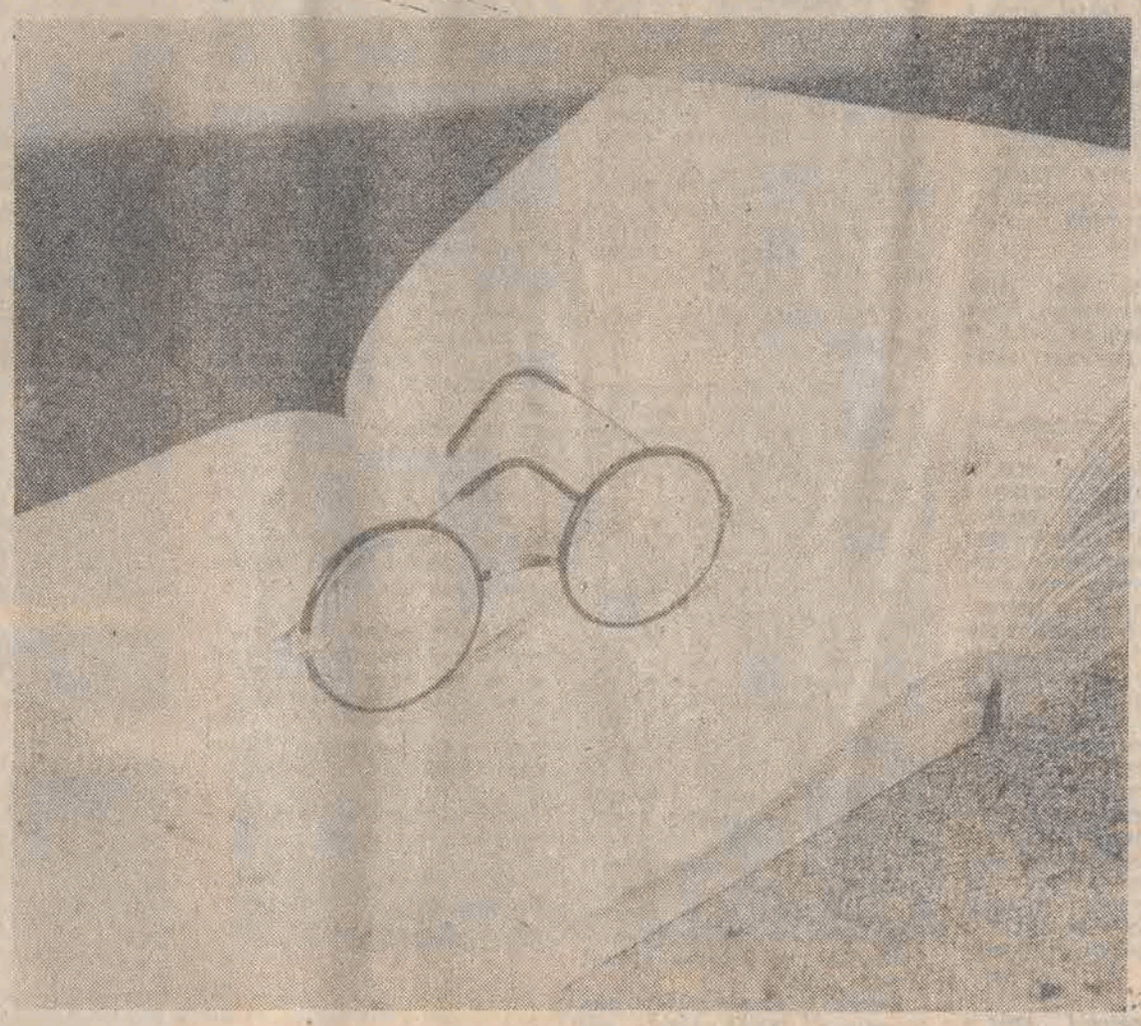

Fot. Grzegorz Galasiński

W „Koperniku" chcieli eksperymentować, ale oponenci im nie pozwolili. Czy lekarzy trzeba traktować jak oszustów? Nie wolno zniechęcać ludzi z inicjatywą!

Gorset z 30 paragrafów

Rozmowa z doc. dr PAWŁEM DYKTYŃSKIM — dyrektorem Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi.

„Kopernik" — jak się popularnie mówi o szpitalu — cieszy się dobrą opinią. Jak to się odbija na waszej pracy?

— Bardzo. W szpitalu mamy duży ruch. Pracuje tu kilka tysięcy osób. I każdy chciałby, aby jego krewni tu się leczyli. Trudno im tego odmówić. Również wielu chorych z innych rejonów też tego chce. Też trudno odmówić, choć często musimy. Wszystko to powoduje, że przekraczamy nałożone plany. Jeśli w Polsce przeciętnie jedno łóżko szpitalne jest wykorzystane przez około 280 dni w roku, w Łodzi około 290, to w naszym szpitalu od 320 do 330 dni.

— Zatem i zarobki powinny być wyższe niż w innych szpitalach?

— Ale nie są. I pracownicy pytają: — dlaczego u nas jest większy ruch, więcej pracy, a płaca taka sama jak w innych, mniej obciążonych szpitalach?

I zaraz drugie pytanie: — czy opłaca się dobrze i szybko pracować?

— Głosi się hasła, że płaca powinna być zależna od pracy.

— Powinna ale nie jest. Nasza działalność finansowa określa — albo krępuje, jak kto woli — aż 30 paragrafów.

— I nie próbowaliście tego zmienić?

— Owszem próbowaliśmy. Na początku 1985 roku na spotkaniu pracowników służby zdrowia z władzami politycznymi i państwowymi prezentowałem problemy szpitalnictwa i mówiłem o tym, że sposób finansowania szpitali stał się przestarzały, a płaca oderwała się od pracy. Po tej naradzie zaproponowano nam, abyśmy opracowali inny system finansowania szpitali i to miał być eksperyment. Jeśliby się udał, to inne szpitale też by z tego skorzystały.

— Na czym ten eksperyment polega?

— Szpital nie może się samofinansować. To oczywiste. Więc nie może być mowy o „trzech S". Ale może być samodzielny i samorządny. Mamy roczny plan hospitalizacji. Powinniśmy przyjąć w roku określoną liczbę chorych. Jak wspomniałem, my ją wysoko przekraczamy. Ten plan zatem dzielimy — mówiąc w uproszczeniu — pomiędzy oddziały. Z uwzględnieniem specyfiki — oczywiście. Na przykład na położnictwie może być duża rotacja, ale już na onkologii trzeba liczyć, że chory powinien średnio leżeć około 40 dni. Poza tym trzeba pamiętać, że łóżko — a już na zabiegowych oddziałach to konieczność — musi dobe odpoczywać. Mamy na przykład dwa oddziały chirurgiczne ze 100 łóżkami. W Łodzi rocznie na jedno łóżko na oddziale chirurgicznym przypada około 25 chorych, a u nas — około 40. A remonty? Oddziały trzeba remontować niejako w biegu.

— No dobrze, ale co to ma do eksperymentu?

— Otóż ma. Nasza propozycja szła bowiem w tym kierunku, żeby dać ludziom pieniądze na oddział w zależności od tego, jaka jest tam przewidziana obsada etatowa i od tego, ilu oni pacjentów w ciągu roku leczyli. I niech dzielą sobie te pieniądze tak, aby każdy dostał za pracę, ale — to jasne — aby nie było pogorszenia usług. Obliczyliśmy, że każdy chory pozostawia w funduszu płac szpitala 13 000 złotych. A więc liczbę chorych ponad plan trzeba pomnożyć przez 13 000. Nie musi nas też interesować, czy na oddziale pracowało tylu ludzi, ile jest tam przewidzianych etatów, czy też oni sami eliminowali źle pracujących, a ich pracę i płacę podzielili między siebie. To się tylko nie mogło ujemnie odbić na pacjentach.

— Nie we wszystkich oddziałach są łóżka, na przykład w diagnostyce. Co by z tego mieli ludzie tam zatrudnieni?

— Około 36 procent sumy za dodatkowo leczonych chorych przeznaczyliśmy dla nich.

— Byłaby to mała rewolucja w szpitalnictwie.

— Takie było założenie. Na przykład z 30 paragrafów teraz obowiązujących pozostałoby 6. Zmianie musiałby ulec system dyżurów, rozliczania godzin nadliczbowych. Lekarz i pracownicy szpitala czuliby się z nim bardziej związani. Gdyby to się powiodło, to w Polsce mogłoby przybyć kilka szpitali bez ich budowy. Po prostu łóżka byłyby bardziej prawidłowo wykorzystane.

— Chwileczkę! Pan ciągle mówi w trybie warunkowym. Czyżby ten eksperyment się nie udał?

— Zmarł nim się narodził.

— Dlaczego? Jakie były powody?

— Gdybym to ja mógł dokładnie wiedzieć. Gdybyśmy mogli stanąć w twarz z naszymi oponentami i podjąć z nimi dyskusję, to może bylibyśmy w stanie obronić nasz projekt. Ale rozmawiałem albo tylko z jednym urzędnikiem, który „znał się na wszystkim" lepiej od nas, albo czytałem pisemne opinie, z którymi nijak było dyskutować. Jak można dyskutować z papierem?

— Ale jakieś kontrargumenty musiały być? Jakieś punkty sporne?

— Owszem były cztery takie punkty. Pierwszy — to był sposób obliczania liczby chorych jako bazy wyjściowej. Drugi — to był fundusz płac. Trzeci — wysokość opłaty za chorego ponad normę. I czwarty — ruch między oddziałami.

— Wszystko to dla laika brzmi trochę tajemniczo. Może więc wyjaśni pan po kolei. O co chodziło w pierwszej sprawie?

— Plan liczby hospitalizowanych ustala się na początku roku. Liczbę dodatkowo przyjętych pacjentów namy dopiero na koniec roku. I właśnie chciano, aby dane z końca roku — czyli plan plus dodatkowo przyjętych — uznać jako bazę wyjściową dla obliczeń w następnym roku. Czyli musielibyśmy plan powiększyć o tych dodatkowo leczonych i starać się o nowych dodatkowych, aby coś na tym zyskać. Ale szpital ma ograniczoną bazę lecznicza. Na to nie można było się zgodzić, gdyż w ten sposób nie byłoby dodatkowej płacy za dodatkową pracę. W efekcie znaleźlibyśmy się w takiej samej sytuacji jak te zakłady pracy, które przez cały czas pracowały rytmicznie, nie obniżyły produkcji i w procesie reformy nic nie zyskały.

— Na czym polegał spór o fundusz płac?

— Proponowaliśmy, aby dano nam pieniądze zgodnie z planem na koniec roku. W służbie zdrowia przydziela się płace „średnio-rocznie". To znaczy, że jeśli mam mieć 100 pracowników pod koniec roku, to wiadomo, że ich nie mam na początku, bo jest rotacja. Dostaję więc na 90 ludzi, a mam — powiedzmy — 83. Zatrudnienie mi rośnie i dochodzi pod koniec roku do planowanego. Kiedy jednak chcieliśmy eksperymentować, to trzeba było oddziałom dać pieniądze według stanu na koniec roku — niech dzielą — a nie według systemu płacenia średniorocznego. I na to nie chciano się zgodzić.

— Kto? Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej?

— Przede wszystkim urzędnicy w Ministerstwie Finansów.

— O co natomiast chodziło w trzeciej sprawie?

— O owe 13 000 złotych za jednego chorego ponad plan. Nie chciano się zgodzić na taką kwotę, ale chciano płacić 0,6 procent od globalnego funduszu płac. Jak obliczyliśmy wychodziło to około 10 000 złotych. Na to my nie chcieliśmy się zgodzić. Ponoć później, gdy już nie braliśmy udziału w pertraktacjach, zgodzono się na 0,8 procent. To już miało jakiś sens i może rzeczywiście przy postępującej inflacji płacenie według procentu a nie sumy było lepszym rozwiązaniem.

— Jeśli „Kopernik" zrezygnował z pertraktacji, to kto w nich jeszcze brał udział?

— Taki eksperyment miał być również wprowadzony w Krakowie i Białymstoku.

— I co?

— Oficjalnie na razie nic się nie dzieje. Nie wiem dlaczego.

— A na czym polegał spór o ruch międzyoddziałowy?

— Jest to sprawa dość skomplikowana. Otóż chory może przyjść do szpitala z jedną chorobą, a może się okazać, że trzeba go leczyć również na inne. W małym szpitalu sprawa jest o tyle prosta, że jeśli tego wymaga leczenie, to chorego przenosi się do innego szpitala, gdzie jest dana specjalizacja. U nas — z oddziału na oddział. Przy przeniesieniu ze szpitala do szpitala ten sam chory jest w każdym liczony oddzielnie. A u nas?

— Chcieliście też go liczyć dwa razy?

— A czy na każdym oddziale nie był to inny pacjent? Jeśli okazało się już pierwszego dnia, że trzeba go przenieść na inny oddział — to nie było sprawy. Można to było uznać za mylne rozpoznanie w izbie przyjęć. Koniec. Ale jeśli leczył się na jednym oddziale — powiedzmy — 10 dni i poszedł się leczyć na innym drugie tyle, albo i więcej, to dlaczego ten drugi oddział ma być pokrzywdzony? Przecież to oddziały mają się rozliczać z liczby chorych, a nie szpital jako całość.

— Brzmi to dość logicznie. Jakie były zastrzeżenia?

— Że będziemy manipulować chorymi, aby powiększać sztucznie ich liczbę. Najbardziej oburzało nas to, że już w założeniu traktuje się nas niemal jak oszustów.

Zresztą cały nasz projekt traktowano na takiej właśnie zasadzie, abyśmy czasem za dobrze na tym nie wyszli. A przecież powinno się za dobrą pracę dobrze płacić. Tymczasem jest tak, że my się staramy, przyjmujemy i leczymy dodatkową liczbę pacjentów i nic za to nie mamy. Inni nie wysilają się i mają tyle samo, co my. Więc ludzie pytają: — po co? A gdy chcemy coś zmienić, coś usprawnić, to traktuje się nas z podejrzliwością. Wniosek z tego jest bardzo smutny.

Żeby jeszcze przeciwstawiono naszemu projektowi rzeczowe argumenty. Ale nie — często dyskusja sprowadzała się do tego, że urzędnik zamykał spór słowami: — „a jak moja ciocia leżała w szpitalu..." — Na szczęście nie byli to urzędnicy z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

— I nie już się nie da zmienić?

— Nie sądzę. Gdyby zmieniła się decyzja, to nie zmieni się już nastawienie ludzi do tej sprawy. Ludzie tym żyli, oczekiwali tego eksperymentu. To była ich szansa. Chcieli coś zmienić na lepsze, chcieli, aby to od nich zależało. I okazało się, że kilku urzędników może stanąć na przeszkodzie i na nic zda się cały zapał, pomysłowość, dobra wola. Z ludzi — jak to się mówi — uszło powietrze. Rozczarowali się. Czy zechcą drugi raz podjąć się czegoś, co im odebrano? Nie sądzę i nie dziwię się.

— A może rzeczywiście wasz pomysł dawał korzyść tylko wam, a nie chorym? Zastanawiał się pan nad tym?

— Były i takie zarzuty. Ale uważamy je za bezpodstawne. Jeżeli o płacy lekarzy i personelu pomocniczego decyduje liczba chorych, to oni się muszą o to starać. Nie będą stawiali bramek w izbie przyjęć i odsyłali do innego szpitala. Bo to im się nie opłaci. Czy to jest korzystne dla chorego? Jest. Po drugie — każde uchybienie ogranicza zarobki. Czyż zatem zespół, na którego płace ma to decydujący wpływ, nie będzie eliminował tych, którzy mu przeszkadzają? Oczywiście, że tak. Wreszcie — po trzecie — oddziały diagnostyczne. W wielu szpitalach skarżą się chorzy na przewlekłe diagnozowanie. Dlaczego? Bo nie wszystkim zależy na tym, aby było szybko, dobrze i sprawnie. Przecież dla nich im więcej pacjentów, tym więcej pracy, a korzyści z tego żadne. A tu oddziały naciskają, aby szybciej diagnozować. Czyli i tu korzyść.

— Wszystko to jednak teoria.

— Zgadzam się. Wszakże prawdziwość założeń teoretycznych należy sprawdzać w praktyce, a nie odrzucać je już z góry, bez praktycznego sprawdzania. Możemy się więc w nieskończoność spierać, czy nasze propozycje były słuszne, czy też zastrzeżenia urzędników uzasadnione. Z tego sporu kompletnie nic nie wyniknie. Tylko strata czasu.

— Pozostaje więc pan nadal w gorsecie 30 paragrafów.

— Tak. I na zakończenie powiem pani, jak to wygląda u nas troska o społeczne pieniądze. Na eksperyment ich nie było, bo wszyscy nagle poczęli troszczyć się o wspólny grosz. Aby przypadkiem nie trafił on do kieszeni pracowników za wydajną pracę. Natomiast nikt nie ma nic przeciwko temu, że pod koniec roku po Polsce jeżdżą tabuny zaopatrzeniowców i kupują wszystko, co się tylko da i co się może przydać szpitalowi, bo trzeba na siłę wydać pieniądze. Jeśli się ich nie wyda, to w przyszłym roku budżet przepada. A kto się na to zgodzi? Więc kupuje się, byle wydać pieniądze. A przecież te pieniądze, gdyby zostały na drugi rok, to mogłyby być wydane rozsądniej, z większym pożytkiem dla szpitala i chorych. Trzeba tylko zaufać dyrektorowi, a nie traktować go jako potencjalnego kanciarza.

— Sądzę jednak, że „Kopernik" nie poprzestanie na tym, co się nie udało i w najbliższym czasie znów z czymś pożytecznym „wyskoczy". Oby tym razem się udało. Tego wam życzę!

— Zobaczymy. Ale dziękujemy za dobre słowa.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Cepeliada

WITOLD WERNER

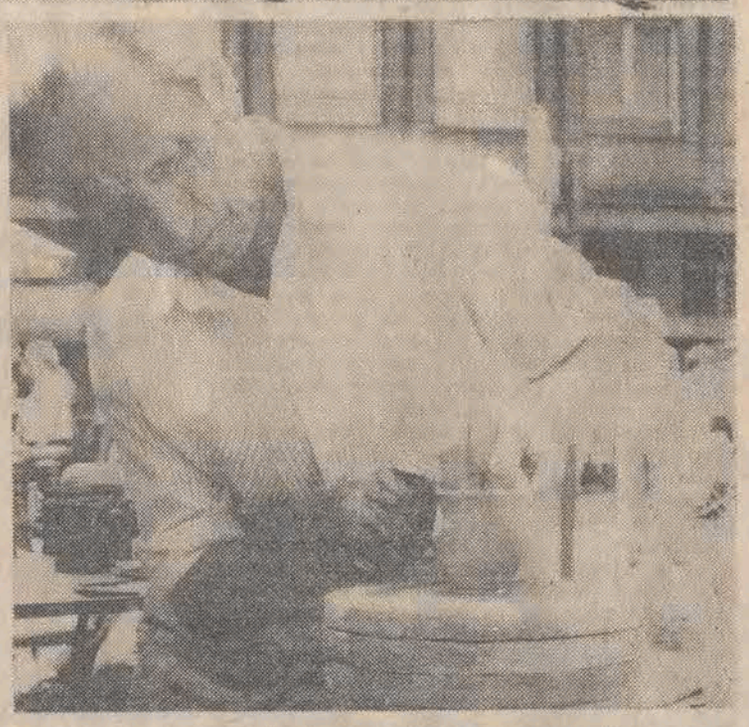

Są takie dziwne sklepy, gdzie drogo, a klientów nie brakuje. W herbie mają jaskółki. Sprzedali swetry po 48,5 tysiąca złotych. Mogliby więcej sprowadzać i to bez dewiz, gdyby nie przeszkadzały temu przepisy.

Jaskółki wysoko latają...

Dziwne to sklepy. Usytuowane zwykle przy reprezentacyjnych miejskich traktach, wyróżniające się efektownym wystrojem wnętrz i kulturą obsługi. Sklepy przyciągające tłumy klientów. Nawet w latach największej rynkowej zapaści, gdy w innych placówkach handlowych straszyły przysłowiowe gołe haki, puste półki okraszone pudełkami po makaronie — tu zawsze można było liczyć na coś ekstra, na okazję, jakieś „odrzuty"... Dziwne to sklepy, tak jak niezbadana jest natura ludzka. Bo ceny, wystawiane w tychże często, powinny raczej... odstraszać. Ale tuż przed otwarciem sklepów „Mody Polskiej" klienci formują kolejki, gdy „rzucą" coś atrakcyjnego — w środku rozgrywają się często dantejskie sceny, ale nikogo lub prawie nikogo nie odstraszają ceny... W wielu przypadkach raczej szokujące.

Tę i parę innych zagadek próbowałem rozwiązać w rozmowie z dyrektorem łódzkiego oddziału PP „Moda Polska" — ANDRZEJEM ORAWCEM.

— Dla kogo są placówki „Mody Polskiej"?

— Dobrze, nie bawmy się w kotka i mysz: dla klienteli zamożnej. Zna pan tę zasadę? „Biednego nie stać na kupowanie wyrobów tanich", czyli kiepskiej jakości?

— Znam. I zaraz mnie pan przekona, że nie brak u nas zamożnych klientów...

— Oczywiście, że nie brak! A o tym świadczą rosnące stale obroty firmy. Pięć lat temu uzyskaliśmy bodaj 950 milionów rocznego obrotu, obecnie bez trudu przekraczamy 4 700 milionów. No i przybyło w tym czasie siedem nowych salonów.

— Ale w Łodzi mamy tylko trzy. Gdzież ma pan te pozostałe?

— Widzę, że niezbędne są dwa słowa wyjaśnienia. Firma moja funkcjonuje w postaci trzech samodzielnych przedsiębiorstw: w Warszawie, Łodzi i Opolu, z „centralą" w stolicy. Łódzki oddział steruje pracą piętnastu salonów „Mody", między innymi w tak oddalonych od siebie miastach jak Sieradz i Lublin czy Poznań i Tarnobrzeg. Konin, Kalisz, Kielce, Radom i Płock uzupełniają tę listę. W 1988 roku uruchamiamy sklep we Włocławku, trwają w tej sprawie „pertraktacje" w Piotrkowie Trybunalskim, chciałby jeszcze jedną placówkę Poznań, a mnie się marzy kolejna w Łodzi, w podobnym jak ostatnio wyremontowana stylu, choć już może niekoniecznie przy ulicy Piotrkowskiej...

— Idziemy w osiedla.

— No, tak źle to jeszcze z nami nie jest. Myślę zdecydowanie o centrum miasta i powiem szczerze, że „trzyma mnie" wyłącznie brak lokalu.

— I dodajmy szczerze: towaru.

— Jest pan w błędzie. W chwili obecnej mógłbym śmiało zapełnić półki w trzech nowych salonach. Może nie w pełnym wyborze, może nie w pełnej gamie.

— Czego na przykład brak?

— Tego co też najszybciej znika z półek — między innymi dobrego obuwia, dobrych kosmetyków, nie mówiąc choćby o strojach wizytowych, których na dobrą sprawę nikt w kraju nie produkuje.

— Zawsze można pokusić się o import.

— Oczywiście i w wielu wypadkach się to robi. Ale znów podnosi się krzyk: za drogo! Pan też przecież od tego zaczął naszą rozmowę. Czy pan się orientuje, ile kosztuje para przyzwoitych męskich butów na Zachodzie, powiedzmy, sportowych mokasynów?

— Myślę, że poniżej 30 dolarów nic dobrego się nie kupi.

— Minimum 30 dolarów. Obuwie generalnie, nie tylko przeliczając naszym, czarnorynkowym kursem, jest tam bardzo drogie. No i ja mam kupić takie buty, dołożyć jeszcze swoją marżę handlową i próbować to sprzedać w naszych salonach? Po ile? Po 30—40 tysięcy złotych? To byłaby lekka przesada.

— Te ze słupskiej „Alki" są jednak sporo tańsze.

— Jasne! Te piękne, skórzane buciki po 5,5 tysiąca faktycznie idą jak woda. Prawdę mówiąc ściągnęliśmy ostatnio trochę damskich lakierków z Włoch. Naprawdę atrakcyjne modele.

— Panie oszaleją ze szczęścia, rzućmy tylko cenę.

— Powyżej 20 tysięcy złotych, co nie jest kwotą wygórowaną biorąc pod uwagę ich cenę na Zachodzie, a także w... Rembertowie.

— O, widzę, że pan dyrektor kontroluje propozycje cen nie tylko produkcyjnych gigantów Europy, ale także zmanierowanego ryneczku podwarszawskiego.

— Muszę. Muszę mieć na oku propozycje „Pewexu", aby być dla nich konkurencyjnym (oni też zresztą „MP" mają pod lupą), muszę też wiedzieć „co jest grane" w najdroższym krajowym komisie, czyli w Rembertowie. Jest to rzeczywiście propozycja dla bardzo zamożnej klienteli, ale mam mieszane uczucia, co do uczciwości niektórych ofert. Biorąc pod uwagę cenę tych atrakcji nawet w Turcji nie mówiąc o Włoszech czy Francji i kurs czarnorynkowy dolara — sporo towarów powinno być... jeszcze droższych. Mnie, jako handlowca, interesuje tam jeszcze inny aspekt: ja widzę, czego ludzie szukają, o co się najczęściej dopytują.

— Sprzedawca z Rembertowa ma nad panem i tę przewagę (pomijając cenę...), że jego towar to oferta jednostkowa, w najgorszym wypadku — to zaledwie kilka sztuk podobnych bluzek czy swetrów. A większość pań szalenie sobie ceni tę cechę zakupionego „ciucha".

— I my do tego dążymy. Dotyczy to zwłaszcza wyrobów najdroższych, jak choćby damskich swetrów po 48,5 tysiąca złotych.

— To ładny wynik, faktycznie.

— Wynik jak wynik, swetry zniknęły w kilka dni, ale też do 15 sklepów trafiło ich raptem około 50 sztuk. A uprzedzając kolejne pytanie: najdroższe nasze propozycje, niemal wyłącznie z importu, nigdy nie zalegały półek, zawsze znikają szybko, choć marzyłoby się, aby sprzedawać je „na luzie", w normalnych warunkach, a nie w ścisku, tłoku, czyli — z kolejki.

— Czy w krajowych wyrobach też preferujecie ceny drenujące rynek?

— Tu my, jako handlowcy, nie mamy nic do powiedzenia w sprawie ceny. Około 70 procent naszej oferty to wyroby krajowych producentów i jeżeli bierzemy dla przykładu garnitury z Bytomia to jest to identyczna cena i dla „Mody Polskiej" i dla „Centralu" czy „Otexu". Co innego, jeśli tenże Bytom robi dla mnie jakiś model na wyłączność. Oznacza to że w żadnej innej placówce handlowej w kraju takiego wyszukanego egzemplarza się nie dostanie. Wtedy cena może być wyższa. Ale tego typu oferta to zaledwie niecałe dziesięć procent naszych obrotów.

— Jeśli najbardziej ekskluzywne propozycje „Mody Polskiej" — i jednocześnie najdroższe — sprzedają się jak świeże bułki, to znaczy, że mogłyby być jeszcze droższe?

— Tak. I też by się te ciuchy — bo o nie głównie chodzi — sprzedało bez kłopotów, Mieliśmy nie tak dawno kurtki z lisów, chyba po 830 tysięcy. Wisiały dwa dni... „Moda Polska" — to drogie, ekskluzywne sklepy i nie ma się co wstydzić tego określenia, ani cen.

— Towar „Made in Tajwan", Hong-Kong i tym podobne was nie interesują? Może wasza oferta byłaby wówczas bogatsza?

— Nie interesują nas tacy producenci, nie chcemy zejść z naszymi ofertami poniżej pewnego poziomu. A poza tym, wie pan, Tajwan daleko, koszty transportu wysokie, problemy z reklamacjami, a klienta się zraża i później trudno go znów odzyskać.

— Ale kłopotów zaopatrzeniowych z pewnością wam nie brakuje. Import dzieli centrala, realizacji krajowych umów też pilnuje. Gdzie tu miejsce na samodzielność, przedsiębiorczość kierownika sklepu?

— Spokojnie, jest miejsce dla wykazania się aktywnością dla wszystkich: dla moich służb handlowych, które niezależnie od centrali zawierają umowy choćby z firmami prywatnymi czy polonijnymi...

— Przepraszam, że przerwę: a cóż prywatny producent może zaoferować tak ekskluzywnemu odbiorcy?

— Teoretycznie wszystko, praktycznie z sektora prywatnego bierzemy dość często między innymi atrakcyjne kurtki, trochę butów, paski. Nie jest to pozycja decydująca o naszym obrocie, tym niemniej poszerza gamę naszych propozycji. W kosmetykach na przykład często „podpieramy się" właśnie firmami polonijnymi, bo oferta państwowa jest w tej dziedzinie wyjątkowo uboga.

— Natomiast przedsiębiorczy kierownik, wykorzystując własny spryt, „układy" i „sytuacje" co może załatwić? Wiązkę papieru toaletowego? Tańsze wczasy dla załogi?

— Też, ale przede wszystkim może swoimi ścieżkami wydeptać dostawę atrakcyjnych wyrobów z państwowego czy spółdzielczego zakładu. I bardzo dobrze, bo to zwykle o krótkie serie chodzi. Ja, jako firma, nie pojadę do spółdzielni po 100 par spodni czy 200 kiecek, a jemu się opłaci. I taką samodzielność preferujemy. I niektóre salony „robią" 450—500 milionów złotych rocznego obrotu. Jest to już potencjał małego przedsiębiorstwa.

— Wiem, że i wy korzystacie z dość już rozpowszechnionej formy zdobycia niezbędnych dewiz jaką jest tak zwany przerób, czyli szycie dla zagranicznego kontrahenta, który daje materiał, dodatki, wzory, czyli wszystko oprócz robocizny. Ale żeby tak szacowna firma, od 27 lat sterująca krajowym rynkiem mody szyła jakieś fatałaszki pod dyktando innych?

— Odpowiem krótko: muszę, bo dziś nikt mi dewiz nie da. A ja muszę je zdobyć choćby na części do maszyn. Zresztą wykorzystujemy do „przerobu" niewielką część naszego rynkowego potencjału. Trzeba także pamiętać, że oprócz zdobywania niezbędnych marek czy dolarów, jest to również pewne obejście niektórych barier surowcowych, projektowe podglądanie co w światowej modzie piszczy, a i zyskuje na tym nasz rynek, bo pracujące na eksport zespoły pracowników mają później minimalną ilość reklamacji.

— Jest pan, o ile mi wiadomo, zwolennikiem wymian kompensacyjnych, czyli dość specyficznej formy handlu, bowiem w grę nie wchodzi pieniądz.

— Forma to stara jak świat: towar za towar i nieprawdą jest, że obecnie, gdy znaleźliśmy się w gospodarczo-płatniczym „dołku" nie możemy z niej korzystać. Właśnie teraz jest czas! I ja, jako przedsiębiorstwo handlowe, z doskonałymi kontaktami zagranicznymi (z pomocą central handlu zagranicznego) jestem w stanie bez użycia dolara czy marki ściągnąć na nasz rynek sporo atrakcyjnych towarów. To prosta kalkulacja: jeśli nie mogę na przykład w Tajlandii sprzedać jabłek za dewizy, to niechże próbuję korzystnie wymienić je na cytrusy...

— Sprowadźmy nieco bardziej na ziemię tę bujającą w obłokach ideę. Przecież u nas wciąż patrzy się krzywo na takie przedsiębiorstwa dobijające się o elastyczne, samodzielne w każdym calu działanie. Krytykuje, podcina skrzydła, a przynajmniej — nie głaszcze.

— Niestety, to prawda, Trąbi się o reformie, jej etapach, w praktyce zaś utrąca tak przecież korzystne handlowo rozwiązania. Ja na przykład mógłbym w tej chwili poszerzyć gamę towarów w sklepach „Mody Polskiej" o importowane dziewiarstwo, odzież dżinsową, poszukiwane kosmetyki...

— Zaraz, zaraz, w zamian za co?

— To błyskawicznie można ustalić, co by ich interesowało. Tylko jeden podstawowy wymóg: ja muszę działać szybko i wiedzieć jakimi towarami mogę handlować, czyli jakie towary aktualnie nie są na rynku deficytowe.

— Niewiele pewnie by się takich znalazło?

— Ależ jest pan w błędzie. Może się zdarzyć, że ja korzystnie zamienię ich partie swetrów na... drewniane palety choćby. Ja mam towar, a dla niego te palety mogą być więcej warte niż swetry. Miałem już propozycję, by płaszcze z „Próchnika" wymienić na modne szetlandy, w relacji jeden płaszcz za trzy swetry. Przepadło. Zanim zakończyła się korespondencja w tej sprawie, próbowałem bowiem uzyskać zgodę na transakcję — była ona już nieaktualna, inni byli szybsi. I nie musieli nic tygodniami uzgadniać.

— Ale może rzeczywiście te płaszcze akurat były towarem deficytowym; myślę, że nadal są?

— Zgoda, ale wystarczy, że ja dysponuję aktualną listą towarów, których mi nie wolno ruszyć lub na które muszę mieć ekstra zgodę. Zaś w pozostałych przypadkach — działam, mam wolną rękę. I ręczę, że wiele atrakcyjnych wyrobów pojawiłoby się w salonach „Mody Polskiej". Bez wydania choćby jednej marki...

— Zmieńmy nieco temat. Firma pańska oprócz handlu, z którego się utrzymuje, oprócz niewielkiej produkcji własnej, zajmuje się prezentacją światowej mody. Czy te pokazy, to ma być łyk wielkiego świata, zabawa z cyklu „sobie a muzom"?

— Niezupełnie. Owszem, staramy się przestrzegać światowych trendów, utrzymać pewne fasony, linie, styl, ale to wszystko musi być przetransponowane na nasze możliwości. Innymi słowy: nie zdarza się nam prezentować kolekcji z materiałów, które nie byłyby dostępne w sklepach lub kreacji, które nigdy nie mają szans zawisnąć na wieszakach w salonach „Mody Polskiej".

— I mały zarzut: dopiero od niedawna polscy dyktatorzy mody zainteresowali się mężczyzną.

— Nieprawda, propozycje dla panów od początku istnienia firmy miały swoje miejsce, choć rzeczywiście jeszcze niedawno jako powiedzmy, duży margines. Dziś uległo to radykalnej zmianie; propozycje dla pań jeszcze przeważają, ale już na przykład w konfekcji chyba tyle samo ofert mamy dla przedstawicieli brzydszej połowy ludzkości.

— Panowie zaczęli o siebie bardziej dbać, czy modny stał się ubrany modnie mężczyzna?

— Myślę, że jedno i drugie. W każdym bądź razie coraz rzadziej zdarza się, że pytają pana o rozmiar w klatce piersiowej, bo chce kupić marynarkę, słyszę odpowiedź: — „Zapytam żony".

— Słyszałem, że chcecie nawiązać bliższą współpracę z „Milanówkiem"?

— W postaci spółki produkcyjnej. Bardzo nam na tym zależy, a efektem byłoby więcej wyrobów gotowych i tkanin dla „MP".

— A ten duży zakład produkcyjny pod Warszawą?

— O tym za wcześnie w ogóle wspominać, trwają dopiero rozmowy z miejscowymi władzami.

— Zna pan doskonale swoje najdroższe oferty dla klientów: futra, swetry, suknie wieczorowe. A cóż pan proponuje najtańszego?

— Czy ja wiem? Trudno mi odpowiedzieć dokładnie, ale pewnie jakiś kosmetyk, może kredka? Może skarpetki?

— Największe marzenie dyrektora?

— Wybudować centralny magazyn dla „Mody Polskiej", najlepiej w okolicy Łodzi. Finansowo jesteśmy gotowi, ale potrzebna jest powierzchnia około 10 tysięcy metrów kwadratowych.

— A zawodowym sukcesem byłoby?

— Uruchomić jeszcze parę salonów i doprowadzić do sytuacji, gdy nasze placówki będą pracowały jak butiki na Zachodzie: bez ścisku, wyrywania sobie towaru, deptania po rękach i nogach. To wciąż nie jest normalny handel.

— Ale zdaje pan sobie sprawę, że wyłącznie poszerzaniem gamy towarów celu tego się nie osiągnie?

— Oczywiście i byłbym nieszczery twierdząc, że nie interesuje nas rozwiązanie w postaci podnoszenia ceny.

— Zgoda — dbałość o zyski firmy zrozumiała. Ale przecież pan nie kupuje dolara czy marki po cenie obowiązującej przed sklepami „Pewexu". Skąd więc te przeliczniki niemal czarnorynkowej wysokości?

— Pośrednikiem we wszystkich niemal transakcjach importowych jest centrala handlowa „DAL". I oni dyktują cenę dolara lub marki może obowiązującą. Mieści się w niej oczywiście także podatek, marża centrali i parę innych składników. Tak czy inaczej mnie ten dolar kosztuje często nawet do... 1200 złotych. Mając alternatywę: brać lub nie brać wcale, decydujemy się brać po cenie, jaką nam dyktują. I to cała zagadka wysokich cen na importowane towary w naszych salonach.

Fot. Grzegorz Gałasiński

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

Urodzony w Łodzi, gdzie nadal ma kolegów z „budy". Trudna sztuka przekładu. Szanse literatury polskiej w RFN. Przyszłość Instytutu w Darmstadt. Praca jest jego pasją.

Ponad granicami i barierami

Rozmowa z KARLEM DEDECIUSEM, tłumaczem literatury polskiej, dyrektorem Deutsches Polen-Institut w w Darmstadt.

Przede wszystkim pragnę pogratulować nadania panu tytułu doktora honoris causa przez Katolicki Uniwersytet Lubelski. Jeśli wiem, nie jest to pański pierwszy doktorat honorowy?

— Drugi. Pierwszy otrzymałem od Wydziału Filozofii Uniwersytetu Albertusa Magnusa w Kolonii w 1976 r.

— Powiedział pan kiedyś, że książka jest prawdziwym pomostem ponad pieniącymi się czasem nurtami ludzkich uprzedzeń i waśni. Czy uważa się więc pan — jako tłumacz — za budowniczego w dziele pojednania między Niemcami i Polakami? Jaka jest rola humanisty w dzisiejszym, tak zróżnicowanym świecie?

— Rola humanisty w dzisiejszym świecie jest prosta: zróżnicowanie świata (które było, jest i zawsze będzie, bo to jest jego naturą) wykorzystać pozytywnie, na energię wspólną całej ludzkości, nie tylko Polaków i Niemców, ale właśnie od nich zaczynając, jako od spraw nam — Niemcom i Polakom — najbliższym.

— Urodził się pan w Łodzi, w mieście, gdzie wielonarodowość i dobrosąsiedzkie stosunki, zwłaszcza przed rokiem 1933, były chlebem powszednim...

— Z osobistego doświadczenia czerpię właśnie moje przekonanie. Różnorodność to bogactwo — powtarzam — ale różnorodność zjednoczona pomostami, a nie różnorodność poważniona, destruktywna.

— Opuścił pan Łódź w latach czterdziestych, w jakich to odbyło się okolicznościach?

— Do Łodzi — po maturze i po Junackich Hufcach Pracy — wróciłem ze Lwowa dopiero pod koniec 1939 r., a opuściłem Łódź już w roku 1940 powołany do niemieckiej służby pracy. Następnie zostałem powołany do Wehrmachtu (Frankfurt nad Odrą), znalazłem się w roku 1942 na froncie pod Stalingradem. Z niewoli wróciłem w roku 1950 i już wprost do rodziny w Weimarze.

— Gdyby nie wojna?

— Nigdy nie wiadomo, dokąd nas historia i własne losy popędzą. Interesowała mnie dramaturgia i miałem zamiar jesienią 1939 roku zacząć studia w Instytucie Sztuki Dramatycznej w Warszawie u profesora Tymona Terleckiego.

— Chodził pan do Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, miał pan polskich przyjaciół i znajomych, nauczył się pan znakomicie mówić w naszym języku. Czy niektóre kontakty i przyjaźnie z tamtych lat przetrwały?

— Oczywiście. Z moimi kolegami z „budy" łączą mnie serdeczne więzi: wspomnienia, przygody, utrapienia, radości. Widuję się z nimi czasami (niestety rzadko), w Łodzi, czasami w Niemczech.

— Jest pan w naszym mieście tylko z krótką, kilkugodzinną wizytą. Jestem jednak ciekaw pana wrażeń. Jak widzi pan Łódź?

— Program mój nie przewidywał przyjazdu do Łodzi w ogóle. Udało mi się jednak wpaść na kilka chwil. Były to tylko dwa krótkie spotkania: w Bibliotece Uniwersyteckiej i w gronie polonistów i germanistów — już ostatkiem sił i niepełnym głosem. Widziałem z auta, którym mnie wieziono, dżdżystą, szarą, wieczornie ciemnawą ulicę, widziałem budynek Biblioteki i gabinet dyrektora, widziałem korytarze Uniwersytetu i małą salkę pełną sympatycznych ludzi — i nic więcej. Łodzi — miasta — teraz i przed laty, kiedy dwa razy tutaj bywałem — nie widziałem prawie wcale. A może i lepiej? Może lepiej zachować wspomnienia młodości bez irytujących porównań?

— Czy miał pan czas podczas pobytu w Polsce na spotkania i rozmowy z polskimi autorami.

— Oczywiście. Ale znów krótko. Za krótko widziałem się z niektórymi autorami, np. naszej „Polnische Bibliothek" z profesorem Liberą, który opracował dla nas antologię Oświecenia. Podobnie z Kornelem Filipowiczem (jego opowiadania są w druku), Wisławą Szymborską, Ewą Lipską, których wiersze ostatnio tłumaczyłem. No i z wieloma innymi. Dlatego właśnie przyjeżdżam, żeby dowiedzieć się o literackich nowościach, porozmawiać o projektach, popatrzeć na wydawnictwa.

— Ile lat zajmuje się pan literaturą polską?

— Dorywczo od 1952 roku. Systematycznie od 1958 roku.

— Jak określiłby pan tendencję w czytelniczych kręgach oraz szanse literatury polskiej nad Renem?

— Dobra literatura ma zawsze dużą szansę, polska nie mniej niż każda inna. Ale wymaga ona większego trudu przygotowania czytelnika do jej lektury — większego niż każda inna i staranniejszych tłumaczeń, wydań. Jej specyficzna tematyka i aura zmuszają do tego.

— A jacy nasi autorzy są znani w Republice Federalnej?

— Jest ich wielu, więc wszystkich chyba nie wyliczę: Iwaszkiewicz, Przyboś, Miłosz, Szymborska, Gałczyński, Szaniawski, Kruczkowski, Andrzejewski, Brandys, Hłasko, Konwicki, trochę Dąbrowska, trochę Berent, więcej Korczak, Kołakowski, Bruno Schulz, Gombrowicz, Mrożek — z tych ważniejszych sporo, ale i innych niemało. Nie mówiąc już o takich autorach jak Sienkiewicz i Reymont, Żeromski i Przybyszewski.

— W TV prezentowano interesujący program o Polsce widzianej oczyma obywateli zachodnioniemieckich, brał pan tam także udział. Czy miał pan okazję oglądać ten program choćby z videokasety?

— W programie tym nie „brałem udziału", a byłem po prostu, nie znając programu, doń „wciśnięty". Videokasetę dostałem po kilku i długomiesięcznych reklamacjach. TV obiecała mi ją, ale dopiero ostateczna interwencja ambasady polskiej w Kolonii zdołała panów z warszawskiej telewizji skłonić do spełnienia obietnicy. Wrażenie nie było najlepsze. Rzecz była nie w moim guście, grubym szydłem szyta...

— Jak pan ocenia rolę Instytutu i jego dorobek?

— Rola Insytutu? Zbliżyć Niemcom obraz Polski, polskiej literatury i kultury, takim jakim on jest ,możliwie wielostronnie, nawet kontrowersyjnie. Polska ma swoją Warszawę i swój Kraków, ale i swój Londyn i swój Paryż, ma Kruczkowskiego i Kołakowskiego, ma — jak wszystkie inne kraje i narody — swoje konflikty i problemy. Pokazywać tylko jedną stronę medalu znaczyłoby pokazywać pół prawdy. Od tego zawsze zaczynają się dezinformacja, uprzedzenia, mylne wnioski i złe konsekwencje. Ale można wszystko, całą prawdę — co Polacy zresztą robią i słusznie — pokazać nie przekraczając granic sumienności i zrozumienia, nie wyrzekając się sympatii.

Nasz dorobek? Ilustrują go nasze założenia i ambicje. Spis autorów naszych pierwszych 25 tomów „Polnische Bibliothek", liczne dokumentacje i bibliografie odpowiadają temu, co sobie postawiliśmy za cel. Instytut rozwija się normalnie, rośnie grono jego pracowników (teraz już 8), rośnie program, stabilizuje się baza finansowa, rośnie grono przyjaciół.

— Czy jest to nadal jedyna wyspecjalizowana instytucja w RFN zajmująca się kulturą, a zwłaszcza literaturą polską?

— Kulturą, literaturą polską zajmują się oczywiście od dawna także i uniwersytety, ale raczej marginesowo, nie wyłącznie.

— A co słychać z pierwszą, mającą powstać, katedrą literatury polskiej w RFN?

— Sprawa jest w toku. Zgłosiło się bodajże 8 kandydatów na katedrę polonistyki, którą przygotowuje się na uniwersytecie w Moguncji — myślę, że wkrótce zapadnie decyzja.

— W RFN nie ma zbyt wielu polonistów. Dominacja rusycystyki jest bardzo wyraźna. Co mógłby pan powiedzieć o szkoleniu przyszłych tłumaczy oraz historyków literatury polskiej?

— Tłumaczenie jako zawód (mam na myśli tłumaczenie literatury pięknej) nie gwarantuje normalnej sytuacji materialnej, więc niewielu kwapi się na takie studia. Ale, jednak, od czasu do czasu zjawi się na slawistyce tu czy ówdzie ktoś, kto zapała ochotą i objawi zdolności. Instytut nasz swój narybek czerpał przecież również z czystych wód uniwersytetów. Ale tam „hoduje" się naukowców, marzących o karierze uniwersyteckiej, a mniej tłumaczy. To samo z historykami literatury polskiej. Mało ich u nas. Są specjaliści od poszczególnych autorów.

— Czy oprócz uznanych i zasłużonych translatorów, jak Klaus Staemmler, Heinrich Kunstmann czy Renate i Peter Lachmannowie, oprócz współpracy translatorów z NRD, istnieje dopływ młodych, uzdolnionych adeptów trudnej sztuki przekładu?

— Istnieje, ale nie masowy. To znaczy chętnych byłoby wielu, sprawdziliśmy już chyba próbne tłumaczenia 100 zgłaszających się u nas kandydatów, ale więcej niż 5, z którymi chcielibyśmy współpracować, nie mogliśmy znaleźć. Wybór autorów obarcza nas dużą odpowiedzialnością: Kochanowskiego, Mickiewicza i Norwida nie sposób powierzyć komuś, kto by się „na nich" dopiero uczył tłumaczenia. Takim sposobem można łatwo „załatwić" każdego autora. Jeśli pan zajrzy w spis naszych tłumaczy, to jednak odkryje pan nazwiska dotąd mniej albo wcale nieznane. Kuhl (Berenta „Ozimina") na przykład, albo Hoelscher-Obermaier, który nam świetnie przetłumaczył szereg tekstów średniowiecznych poczynając od Bogurodzicy. Tak więc z dopływem łatwo, z uzdolnieniami trudniej.

— Śledząc pozycje polskie publikowane w RFN, niemal nie widać tłumaczy naszej poezji.

— Jeśli chodzi o młodych, o następną generację, to pokładam dużą nadzieję np. w dwóch moich młodych współpracownikach. We wspomnianym już Hoelscherze-Obermaierze, asystencie slawistyki uniwersytetu w Bambergu, który po obronie pracy doktorskiej przenosi się do nas, i w naszej bibliotekarce, Renacie Schmidgall, która już zupełnie nieźle przetłumaczyła jedną z książek Witolda Gombrowicza i zupełnie dobrze radzi sobie z młodszą polską liryką. Myślę, że po moim „odejściu" Instytut będzie funkcjonował dalej, być może inaczej, z innymi akcentami, ale nie gorzej.

— Pozostańmy przy serii „Polnische Bibliothek". Jakie pozycje ukażą się w 1987 roku, jakie zaś w przyszłym?

— W bieżącym roku ukazały się tomy (wybór dzieł) Zbigniewa Herberta, Bruna Schulza, Leszka Kołakowskiego — ukażą się jeszcze na jesieni opowiadania Kornela Filipowicza i antologia polskiej literatury średniowiecznej, od Bogurodzicy włącznie.

Na rok 1988 przygotowujemy opowiadania J. J. Szczepańskiego, „Dzienniki" Marii Dąbrowskiej, nowele Władysława Reymonta, antologię polskiego Oświecenia (w opracowaniu profesora Libery), jedną z powieści Teodora Parnickiego i antologię pism polskiego wychodźstwa.

— Przed objęciem dyrektorstwa Deutsches Polen — Institut w Darmstadt był pan szefem reklamy w jednej z wielkich firm ubezpieczeniowych. Czy tamte doświadczenia przydają się panu w pracy w Darmstadt?

— Wszystko, co kiedykolwiek robiliśmy albo robimy odbija się, przyczynia się do dalszego rozwoju naszej osobowości. 25 lat pracy organizacyjnej, zawodowej — planowanie, dysponowanie, kierowanie grupą współpracowników, operowanie statystykami itp. nauczyły mnie ekonomii, szanowania czasu i energii, punktualności, sumienności — bo z natury miałem trochę skłonności do bałaganiarstwa — artysty i do lenistwa — marzyciela.

— Zdobył pan dla Instytutu potężnych sponsorów, jak fundacja Boscha czy Volkswagena. Chyba mocne podstawy finansowe pozwalają na długofalowe planowanie...

— Planujemy nasze projekty na pięć lat. Tzn., że sponsor może po pięciu latach wycofać dalszą pomoc, jeśli wyniki naszej pracy okażą się mierne, kompromitujące „firmę", albo jeśli współpraca okazuje się męcząca.

— Jakie pozycje opracowane na zlecenie Instytutu, prowadzone pod kierunkiem polskich fachowców, jak np. profesora Huberta Orłowskiego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, ukażą się w najbliższym czasie?

— Profesor Hubert Orłowski opracował książkę zbiorową z materiałami o recepcji niemieckiej literatury w Polsce, która ukaże się wkrótce, to samo pańska praca, bibliografia tłumaczeń literatury polskiej na niemiecki. Antologie literatury polskiej określonych epok opracowali dla nas polscy uczeni: profesor Libera (Oświecenie), profesor Hernas (Barok), p. Jedlicz („Polskie średniowiecze"). W planie są jeszcze inne temu podobne kooperacje.

— Czy jest prawdą, iż zrąb biblioteki Instytutu został stworzony dzięki temu, iż zdeponował pan tam swoje, od wielu lat kompletowane książki?

— Tak, mniej więcej 5.000 tomów podstawowej literatury podarowałem Instytutowi na początku jego istnienia. To, co jeszcze mam i ciągle zbieram, przejdzie oczywiście również na własność Instytutu.

— Pana Instytut przy Alexandraweg ma jeden mankament, a mianowicie szczupłość pomieszczeń. Czy istnieją szanse na poprawę sytuacji?

— Na początku myślano, że willa (14 pokoi) będzie dla nas za duża. Teraz, po siedmiu latach, stała się ciasna. Książki nie mieszczą się już na półkach, a i współpracownikom „brak powietrza". Nadburmistrz miasta, nasz kurator, obiecał nam połowę sąsiedniej willi, którą miasto ma zamiar na ten cel kupić.

— Pański kunszt przekładu miał okazję poznać także odbiorca polski, m. in. dzięki dwujęzycznym edycjom „Wydawnictwa Literackiego". Czy przygotowuje pan może dalsze pozycje na polski rynek?

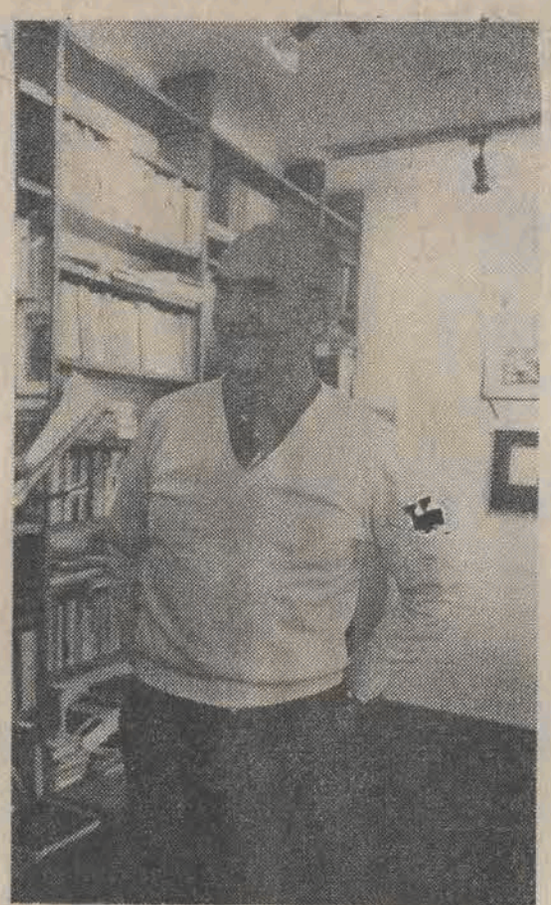

— W tych dniach ukaże się kolejny tomik wierszy polskich w wersji oryginalnej i niemieckiej (równolegle): „Kwartet żeński" — „Damenquartett". 60 wierszy Iłłakowiczównej, Pawlikowskiej, Szymborskiej i Lipskiej, razem 164 strony. W Wydawnictwie Poznańskim. W „Correspondance des Arts II, Łódź 1987" ukazał się właśnie imponujący, pięknie wydany album z wierszami Czesława Miłosza, równolegle z moimi tłumaczeniami na niemiecki i grafikami Stasysa Eindrigevcusa. W ekskluzywnym opracowaniu graficznym Pawła Tryzno. Nakład wynosi 100 egz.

— Tłumaczy pan głównie literaturę, w tym przede wszystkim poezję, XX wieku. Czy to rzeczywista miłość do współczesności?

— Motywacji jest zwykle więcej niż tylko jedna. Jestem po prostu lepiej przygotowany do czytania poezji. Mam osobiste przywiązanie do tego gatunku literackiego. O moich wyborach decyduje również fakt, że poezja jest najbardziej treściwą i wymowną częścią polskiej literatury, jej wartością najlepszą. A jeśli chodzi o koniunkturę — to poezja chyba nigdy takowej nie miewa. Jej szanse są zawsze najgorsze. Każda poezja stwarza sobie swoją szansę, swoją koniunkturę sama, a posteriori, nie posiada jej natomiast a priori.

— Jak pan widzi literaturę polską lat osiemdziesiątych, co z niej ma szansę na rynku zachodnioniemieckim?

— Mam niestety zaległości w moich lekturach. Paramy się opracowaniem chrestomatii literatury polskiej XX wieku, będzie tego kilka tomów — od Kasprowicza, a więc siedzimy aktualnie w czasach trochę starszych. Równocześnie wydajemy, tłumaczymy, opracowujemy literaturę jeszcze starszą dla naszej „Polnische Bibliothek" — od średniowiecza poprzez renesans, barok itd. — a więc znów niewiele mamy czasu na nowości. Ale co się odwlecze... Niech dojrzewają.

— Miał pan w ręku coś z twórczości pisarzy tworzących w Łodzi?

— Niedużo, ale miałem. To, co autorzy mi sami przysyłają. Pełnej orientacji mi raczej brak. Przypominam, że pierwszym prawdziwym sukcesem poezji polskiej po niemiecku była antologia „Lektion der Stille" (1959), która zawierała wiersz Jerzego Waleńczyka „Do młodego Niemca na zachodzie". Wiersz ten wywarł u czytelników silne i długie wrażenie i był bodajże najczęściej dyskutowany.

— Czy popiera pan tezę o nieprzetłumaczalności niektórych poetów, jak np. Bolesława Leśmiana?

— Nie popieram tezy o nieprzetłumaczalności niektórych poetów, popieram tezę o nieprzetłumaczalności niektórych wierszy. Poeci są przetłumaczalni — środkami poezji, a więc nie dosłownie, a do sensu. Do sensu poetyckiego.

— A jak oddać np. typowo warszawskie opowiadania Wiecha?

— Bawiłem się takimi eksperymentami. Wiecha tłumaczyłem na slang wielkomiejski, slang przedmieścia wielkomiejskiego, w moim wypadku berliński. Tłumaczyłem także Tetmajera „O Zwyrtale muzykancie" na gwarę górali bawarsko-austriackich.

Wczytując się w teksty oryginałów zauważyłem podobieństwa w sposobie wyrażania się, w słowniku itp. ludzi przedmieść, przedstawicieli subkultury wielkomiejskiej. Także w mowie i w fantazji górali polskich, niemieckich, austriackich...

Moje tłumaczenia Wiecha wyłowiły w antologiach gazety berlińskie i kolportowały je w przedrukach — widocznie przemówiły im do przekonania. Odnośnie „O Zwyrtale muzykancie" miałem bardzo dobre echa od zawodowej recytatorki opowiadań i bajek folklorystycznych z południowych Niemiec. Recytowała ona Tetmajera po niemiecku w radio — z powodzeniem. Zresztą „Zwyrtała" jest zaskakująco podobny do bohatera, głośnej bawarskiej — w narzeczu — historyjski „Ein Muenchener im Himmel" pisarza lokalnej sławy Ludwiga Thoma. Kto z kogo ściągnął, kto komu ukradł pomysł i dowcip? Myślę, że ani jeden, ani drugi. Po prostu narody, przede wszystkim lud, ma w określonych, podobnych warunkach (geograficznych, historycznych, psychologicznych) swoje podobieństwa... To mnie zaskoczyło w literaturze i zmusiło do tych właśnie eksperymentów.

— Na czym polega — w skrócie — sztuka przekładu?

— W skrócie? Na zrozumieniu oryginału, a więc na rozumie, na wyczuciu poetyckiej tendencji, a więc na „czuciu" i na talencie oddania tego własnymi środkami we własnej mowie, a więc na poetyckiej potencji.

— Czy tłumaczy pan wzorując się na innych? Czy ma pan swoich mistrzów?

— Czytam prawie że wszystko, co mi wpadnie w rękę. Tzn. nie wszystko, prawda, do końca. Co dobre, to do końca, co mniej dobre, to nie. Ale interesuje mnie bardzo żywo wszystko, co na ten temat piszą inni, doświadczeni tą samą niedolą tłumacza. Czytam to, ażeby skonfrontować z własnymi doświadczeniami i dojść tą drogą do dojrzalszych, nowych, lepszych wniosków. Ale mistrzów, jako takich, to raczej nie mam, bo każdy nowy autor, każdy wiersz do przetłumaczenia rodzi nowe trudności, nowe wątpliwości, nowe teorie i czyni właśnie przeczytane nieużytecznymi. A więc muszę sobie za każdym razem wymyślać nowe, do nowego autora dostosowane wzory. Oczywiście oparte tak na własnym doświadczeniu, jak i na lekturach zawsze pożytecznych, ale nie zawsze zdatnych do bezpośredniego zastosowania.

Przekład jako sztukę — i tutaj nauka zaczyna się od nowa, z innej strony, ze strony wartości poetyckich danego utworu. Słowo i zdanie musimy zanotować w pamięci — a potem, twórczo, czasami innymi słowami i inną budową zdania, bo w tych formalizmach gubi się często poezja, przy możliwie maksymalnej wierności wobec oryginału, możliwie optymalnie trafić wymiar poetycki utworu — ale o tym mówili już przed tysiącami lat wszyscy eksperci rzemiosła, Cycero, Horacy, św. Hieronim — tylko niektórzy krytycy o tym po dzień dzisiejszy jeszcze nic nie wiedzą...

— To przecież wieczny dylemat.

— I wierność, i piękno. Nigdy jedno bez drugiego. Ale do jakiego stopnia, z jakim talentem — to już sprawa talentu.

— Pracuje pan z pasją. Czy znajduje pan radość w pracy?

— Praca jest moją pasją. Moja pasja jest moją radością życia. Wszystkie inne radości wywodzą się z tej fundamentalnej radości.

— Wśród pana przyjaciół widnieją m. in. dwa nazwiska: profesora Kazimierza Wyki oraz nadburmistrza Winfrieda Sabais'a. Obaj dzisiaj już nie żyją. Pierwszy z nich żywił uznanie i szacunek dla kultury niemieckiej, drugi — dla polskiej. Czy można to rozumieć, jako swoisty symbol?

— Można to rozumieć jako personifikację kanonu zasadniczego. Nauka nie zna granic i kultura nie zna granic i sztuka nie zna granic, nie zna ograniczenia do jednego języka albo do jednego kraju. My sami, nasze nieuctwo, nasza niekulturalność stwarzają te granice i bariery. Moje szczęście — w nauce i sztuce — jest bezgraniczne. Z tego czerpię siłę ducha na co dzień i wiarę w przyszłość. Rezygnacja — wymówka nieróbstwa — jest zbyt wielką wygodą, ażeby traktować ją poważnie. Poważne jest to, co jest niewygodne.

— Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Finowie zawitali do Łasku i co z tego wynikło?

Sauna w Łasku

RYSZARD BINKOWSKI

Jest takie miasto w Finlandii, którego mieszkańcy regularnie co drugi rok, i to prawie od trzydziestu lat, zapominają o ukochanych saunach i przedłużają swoje tradycyjne Święto Wiosny na ulicach Łodzi. Na początku było nawet tak, że prezydent tego miasta podarował prezydentowi Łodzi saunę, dziś wymienia się raczej drobniejsze pamiątki.

Miasto nazywa się **Tampere**, liczy 170 tys. mieszkańców i pod tym względem zajmuje drugie miejsce po Helsinkach. Podobnie jak w Łodzi jest tam rozwinięty przemysł włókienniczy, odzieżowy i obuwniczy, chociaż przeważa przemysł metalowy i maszynowy. No i podobnie jak Łódź — Tampere szczyci się tradycjami rewolucyjnymi: w 1905 r. uchwalono tam tzw. czerwony manifest, będący programowym dokumentem robotników fińskich. Można się tego dowiedzieć nie tyle z encyklopedii, co z otwartej na inaugurację „Dni Kultury Tampere" w Łodzi (8—13 czerwca) wystawy, której fotografie znalazły się w Muzeum Historii Miasta Łodzi i obrazują różne dziedziny życia Tampere. Ale najlepiej porozmawiać z Finami, jak to uczynił był wasz reporter, wybitny specjalista w zakresie języków ugro-fińskich. Waszego reportera przyjaciele z Finlandii nazywali z angielska „journalist", na co on nie wywrzaskiwał skromnie, że jest przede wszystkim „writer", jak czynią to sławni globtroterzy.

Nie poświęciłem też czasu oficjalnym spotkaniom przedstawicieli władz zaprzyjaźnionych miast ani nawet występom takich artystów, jak Marita Koskinen śpiewająca w „My Fair Lady" na scenie łódzkiego Teatru Muzycznego, nie oglądałem filmów Tima Lannasalo ani gry na skrzypcach Janne Martili, bo się na tym nie znam. Zająłem się natomiast tym, co stanowi korzenie kultury każdego narodu, a mianowicie folklorem.

Z Tampere przyjechały dwa zespoły, muzyczny i taneczny, tworzące jedność i występujące zawsze razem. **Folk Music Group „Pispalan Pelimannit"** oraz **Folk Dance Group „Pispaset"**. To ostatnie jest proste, łatwe do wymawiania i oznacza wzgórze w dzielnicy Tampere.

Prezentowali się już w Parzęczewie, Konstantynowie, Ozorkowie, w Domu Kultury „Ariadna", tańczyli na ulicy i w ogródku w „Halce", ale — jak się później okazało — najlepiej poczuli się w Łasku, gdzie przywiozła ich niezmordowana propagatorka kultury ludowej, polskiej i obcej, **Bogda Witkowska** z Łódzkiego Domu Kultury. Wprawdzie pani Bogda twierdzi, że po tych wszystkich świętach i po „Interfashion" będę jej musiał przynosić paczki na wypiskę albo róże na grób, ale to nieprawda, bo kobieta trzyma się świetnie.

Finowie czuli się tutaj dobrze, bo Łaski Dom Kultury to nie jakiś kurnik, tylko były Powiatowy Dom Kultury. A skąd w Łasku Tampere? Ano stąd, że Łask to nadal, mimo granicy administracyjnej, aglomeracja łódzka. Ciążą dawne powiązania, Łaski Dom Kultury współpracuje z ŁDK w Łodzi nie tylko ze względu na podobieństwo w skrótach; jak się chce zorganizować jakąś galerię, trzeba korzystać z pomocy łódzkich plastyków. Nikt nie mówi o przyłączeniu Łasku do Łodzi, ale ta granica kulturze szkodzi.

Dyrektor ŁDK, mgr **Andrzej Sobieraj** pozbył się jednak kłopotów, w ostatniej chwili z DK ewakuowała się komisja wojskowa wraz z taborem i można było przyjąć gości.

A ja pogadałem sobie wpierw z liderem grupy tanecznej, który osobiście wpisał mi do pamiętnika swoje nazwisko: **Esa Nuija**. Ma 32 lata, jest nauczycielem, i tańczy amatorsko od 25 lat. Grupa muzyczna powstała już w 1969 r., natomiast zespół taneczny w 1984 r. Tancerze to w większości studenci, uczniowie, inżynierowie. Muzycy nagrali płytę, a w 1981 r. zdobyli mistrzostwo Finlandii w kategorii zespołów ludowych. Ale o muzykach będzie później.

Uzyskałem te informacje z łatwością, ponieważ przekazał mi je po polsku **Zbyszek Batko**, poniekąd współpracownik „Odgłosów", który zdobywał je po angielsku. Ogólnie z naszymi przyjaciółmi z Tampere nie ma żadnych przygód ani szczególnych kłopotów, ot, jak to z artystami. Dziewczyna chce pojeździć na koniu, komuś ginie paszport, tancerka nie wie, za ile nakleić znaczek do Finlandii, tego boli brzuch, tamtemu chce się wody mineralnej, wszystkim szkodzi winna polewka, a tancerz cierpi na gardło, bo łyka medykamenty, popija zimną wodą i zaprawia czystym polskim lekiem.

Wreszcie przybywa naczelnik Łasku, **Andrzej Sroczyński** i w czwartkowe południe sala o wyłożonych drewnem ścianach wypełnia się po ostatni rząd, bo Łask w dobie reformy nie cierpi na smutek i bankructwa.

Artyści są w strojach różnych, przypominających po trosze stroje ludowe polskie i cygańskie, z wyjątkiem białych skarpet do kolan i barwnych sznurów, na których tancerze prowadzą partnerki niczym w lejcach. Stroje różne, bo zespół prezentuje folklor z różnych regionów Finlandii. Widzom wydaje się, że jeden z tancerzy ma głowę w gipsie, ale jest to tylko biała wełniana czapeczka symbolizująca wiosnę, młodość i posiadanie świadectwa maturalnego.

Tańce prowadzone są w zmiennych rytmach, czasem można się dosłuchać i dopatrzeć nuty i figur rodem spod wierzb nad Wisłą lub weseliska w karczmie, czasem zaś idą takie przytupy, że drzazgi lecą z podłogi. Widownia reaguje żywiołowo, blond anielica z czerwoną przepaską fruwa w powietrzu, artyści się pocą. A mówią, że zimnokrwiści... Gdyby tak przywdziali stroje łowickie o wadze 20 kg, to by dopiero była sauna. Ale wigor fińskich artystów tak rozgrzewa widownię, że sala faktycznie przemienia się w saunę.

Na estradzie pojawia się solistka, zgrabna i krzepka niczym Borynowa Jagusia, tyle że naturalna brunetka. Głos także ma zdrowy. Ale potem zmienia ton, przytula się do kontrabasisty, którym jest kurator z Tampere i śpiewa z nim przeciągle w duecie coś jakby „anahilja". W sposób, jaki to robi i jak patrzy na mnie, świadczy wymownie, w czym rzecz. Ale wtedy do rzeczywistości przywraca mnie nagła obecność dziewczyny, którą znam, ho, ho..., i którą nadal poznaję. Jest w tak pięknej, pełnej blasku sukience, a ja w podobnej gali, zaleconej na kontakty zagraniczne przez naczelnego, że wypada mi tylko śledzić popisy kapeli z Tampere.

Orkiestranci są w wieku lekko poważnym, lecz werwą nie ustępują młodzikom. Na skrzypcach gra starszy pan z wąsami, na akordeonie ogorzały brunet, struny basetli poszarpuje z energią pan kurator, na klarnecie zaś gra najprzystojniejszy z muzyków, wysoki, postawny, w okularach w cienkiej oprawce. Klarnet śpiewa czule, to rzewnie, to figlarnie, wesoło i czasem ma się wrażenie, iż pobrzmiewają w nim tony ludowej fujarki znad Wisły.

Przystojnym klarnecistą jest sam wiceprezydent Tampere ds. socjalnych i zdrowia, **Arvo Sipila**. Jeśli łamiąc bariery językowe przekręciłem nazwisko, to skarz mnie Bóg lub magistrat. Bo naczelnik Łasku, **Andrzej Sroczyński**, wybaczy mi wszystko. Oznajmił z entuzjazmem, że gdyby u nas była taka demokracja i prominenci graliby publicznie na instrumentach, pociągnęliby za sobą społeczeństwo, szerzyłaby się kultura ludowa i polityczna, czyny społeczne i porozumienie narodowe.

Tancerze zakończyli występy krakowiakiem, ale ponieważ widownia domagała się bisów, wyszli jeszcze raz i wykonali takie prysiudy z wyrzucaniem nóg, że nawet Kozacy znad Donu przyjęliby to z aplauzem. Ano cóż, Finlandia jest republiką graniczącą z naszym wspólnym wielkim sąsiadem.

Potem wszyscy znaleźli się za stołami w pięknej sali, przypominającej dworską komnatę. Na stołach były słodycze, herbata i płyny owocowe. I kiedy **Zbyszek Batko** przedstawił gościom po angielsku, to zabrzmiało to dumnie i dostojnie. Bo **„president of Łask City"** to nie żaden tam naczelnik. Wzruszony Andrzej Sroczyński podziękował Łodzi za to, że artyści z Tampere mogli wystąpić w Łasku, oraz samym artystom, życząc im dalszych sukcesów artystycznych i żeby kiedyś przyjechali nad Grabię. Następnie poinformował, że Łask liczy zaledwie 20 tys. mieszkańców, ale za to będzie wkrótce obchodzić 565-lecie nadania praw miejskich i ma dziś rozwinięty przemysł lekki, budowlany oraz rolnictwo, po czym nastąpiła wymiana upominków.

W odpowiedzi kurator z Tampere stwierdził, że Finowie znaleźli tu samą serdeczność, gościnność i wielu przyjaciół, w związku z czym wierzą, że Łask także będzie kiedyś gościony w Tampere. Zapraszają więc i dziękują za miłe przyjęcie. Oklaski. A potem jeszcze bunlliwsze, gdy wąsaty skrzypek zapytał kontrabasistę, czemu nie powiedział nic o saunie.

I wtedy nastąpiła artystyczna rekontra. Na salę weszła „Ferajna znad Grabi" z wielką trąbą na końcu. Kapela reprezentowała folklor miejski i była jednym z kilkunastu zespołów ludowych, jakie działają w Łaskim Domu Kultury. Szalone zainteresowanie Finek wzbudził symbol zdrowego łaskiego rolnictwa — śpiewający solo bębnista, który wraz z bębnem ważył ponad dwa pudy, jak ocenił fachowo inspektor oświaty w Łasku.

Mnie natomiast zdumiał i zaszokował klarnet z łaskiej kapeli, a raczej istota, która się tym instrumentem z wdziękiem posługiwała. Istota była śliczna, w okularach w cienkiej oprawce, w różowej sukience i białym kapeluszu z różową wstążką i aż się prosiła, aby ujrzeć ją w duecie z klarnecistą z Tampere, lecz do porównania nie doszło, bo nagle dziewczyna w szarobłękitnej sukience zaczęła opowiadać, jak złamała rękę goniąc kiedyś autobus, w którym mnie, jak Boga kocham, nie było. Wstrząśnięty tym, pocałowałem ją w ów drobny, delikatny, tak zbolały ongiś nadgarstek, co Finowie przyjęli z pomrukiem uznania, Finki zaś z błyskiem zawiści w oczach. Zdeprymowany zapytałem, czy wszystkie dziewczyny w Finlandii są takie piękne i uzyskałem odpowiedź twierdzącą, ale zagłuszyła to „Ferajna znad Grabi". Słychać było natomiast, że kapela nas rozwesela, a wokoło szkło dzwoni wesoło, raz koniaczek, raz buziaczek, no i szła dziewczeczka do laseczka. Inspektor oświaty stwierdził, że jest to melodia bardzo stosowna obyczajowo, bo za dwie minuty trzynasta i wśród pożegnań i podziękowań wszyscy znaleźli się na dziedzińcu, gdzie kapela wciąż grała, a Finowie tańczyli nasze sztajerki.

Wreszcie, gdy fiński fotoreporter w stroju ludowym pozdejmował co fikuśniejsze obrazy, dyr. Andrzej Sobieraj powiózł nas do zajazdu „Jamboł", gdzie obowiązuje miła, uprzejma, sprawna obsługa i na tym samym poziomie ceny, tak że czasem zatrzymują się tam kierowcy, ale tylko ci z TIR-ów lub autokar z waszym specjalnym wysłannikiem na pokładzie. W autokarze dzieliłem fotel z piękną solistką, co przytulała się do kontrabasu, ale nie próbowałem nawet języka migowego, bo obok siedziała dozgonnie poznawana przeze mnie pani w szarobłękitnej sukni. Mogłem jedynie zadać pytanie panu wiceprezydentowi Tampere, czy gra na klarnecie czyni go popularnym i pomaga mu w sprawowaniu władzy. Odparł z uśmiechem, że klarnet to jego hobby od 18 lat, podobnie jak folklor. Owszem, jest człowiekiem popularnym, ale nie zabiega o sukces wyborczy, bo on nie zajmuje stanowiska w magistracie z elekcji, tylko z mianowania. Ale teraz jeden z jego kolegów, **Jarmo Rantanen**, zostanie ministrem spraw wewnętrznych, on zaś zajmie jego miejsce w magistracie, a więc też awansuje.

Spożywanie posiłków zawsze stanowi dla mnie udrękę i stratę czasu. Zupa skapuje mi z wąsów zakrywających brak tego, czym można by gryźć; co innego, gdy posiłek jest w stanie płynnym. No i, psiakrew, zanim się zreflektowałem i wyraziłem chęć rewanżu, który i tak został odrzucony, stanęło przede mną piwo „Warka Beer". Nie wspomnę, kto był sprawcą mojej sromoty i konsternacji, ale ja się jeszcze odwdzięczę...

W każdym bądź razie przez salę przefrunął w pewnym momencie śmiech, lecz było to jedynie echo owego ryku, gdy trzech Finów aż się skręcało w konwulsjach z uciechy, a stało się to w łódzkim „Pewexie" po odpowiedzi na pytanie o cenę wódki. Bo w Tampere półlitrowa butelka kosztuje 45 dolarów...

Piwo służy konwersacji, toteż rozgadałem się jak diabli. Było to łatwe i proste jak drut. Chcesz być przyjazny, więc kłaniasz się i mówisz: **Hyvaa paivaa**, czyli dzień dobry. Częstują cię piwem, a ty uśmiechasz się i okazujesz grzeczność mówiąc radośnie: **kiitos**, czyli po prostu dziękuję. A gdy pragniesz otworzyć przed kimś serce, wrzeszczysz krótko i jednoznacznie: **kippis terveydeksi** i kocha cię każdy prawdziwy Fin, bo to znaczy: „No to cyk! Zdrówko!". Mnie osobiście zapoznała z tym wyrażeniem nadobna solistka „Pispaset."

No, ale dzięki Bogu autokar zatrzymał się wreszcie przed wieżowcami w Pabianicach. **Bogda Witkowska** odkręciła mikrofon i ogłosiła komunikat, który **Zbyszek Batko** przełożył na angielski. Była mowa o tym, że Mr. Binkowski, czyli wasz specjalny wysłannik, opuszcza już przyjaciół z Finlandii, lecz na tym nie kończy się nasza współpraca, bo jak tylko ukaże się reportaż, to numer „Odgłosów" włoży się do koperty i wyśle do Tampere.

Finowie skwitowali to okrzykami, brawami, a może nawet westchnieniem ulgi. Był to bez wątpienia drobny epizod w zadzierzgiwaniu węzłów przyjaźni polsko-fińskiej, lecz nie bez znaczenia, zważywszy bowiem na moją znajomość języka fińskiego i fakt, że Finowie nauczyli się śpiewać „Sto lat", przeczytają oni z łatwością cały numer „Odgłosów".

Inne pozytywne skutki tej przyjacielskiej wizyty są już widoczne. Naczelnik Łasku Andrzej Sroczyński, uczy się gry na harfie.

Niech żyje przyjaźń Łódź — Tampere!

Mówi: Sławomir Pietras

— Jest pan człowiekiem sukcesu?

— Częściej mówię o różnych aspektach sukcesu ludzi ze mną pracujących, ponieważ droga do mojego osobistego sukcesu rozpoczyna się w tym miejscu, gdzie osiągają sukces moi artyści i najbliżsi współpracownicy.

— Ale zasmakował go pan trochę?

— Nie będę się wypierał. Proszę mi jednak wierzyć, że odczuwając smak sukcesu, nie zapominam nigdy o towarzyszącej mu goryczy, w której sporządzaniu zainteresowanych jest aż nazbyt wielu.

— Posiada pan przyjaciół i wrogów, których więcej?

— Wrogów, ale od lat nie zmieniam grona osób sobie najbliższych i oni na pewno są moimi przyjaciółmi.

— Czy wszystko się panu udaje?

— Nie — oczywiście — nie wszystko.

— Niełatwo jest być dyrektorem Teatru Wielkiego, ale po panu tego nie widać.

— Może dlatego, że nie potrafię robić dwóch rzeczy naraz i usiłuję się tak dalece koncentrować na kierowaniu teatrem, że w końcu czasem coś z tego wychodzi. Czy zresztą moi współpracownicy, publiczność i w ogóle mieszkańcy Łodzi chcą widzieć dyrektora swojego Teatru Wielkiego człowiekiem zmęczonym, sfrustrowanym, znerwicowanym i zaniedbanym fizycznie?

— Musi pan wiedzieć o wszystkim i wszystkich, czy też rozdował pan to na zastępców i kierowników?

— W moim systemie pracy istnieje konieczność eliminowania zbędnych informacji, zwłaszcza tych nie dotyczących bezpośrednio spraw teatru. Albo do mnie w ogóle nie docierają, albo dowiaduję się o czymś, o czym wszyscy już dawno zapomnieli. Natomiast bezwzględnie wymagam od swoich współpracowników: samodzielności, przedsiębiorczości, zachowań konkretnych i przekazywania informacji niezbędnych i rzetelnych.

— Utrzymał się pan na objętym w 1986 roku stanowisku profesora historii tańca w łódzkiej Szkole Baletowej?

— Tak. Podjąłem się tego zadania z powodu choroby nauczyciela tego przedmiotu. Ponieważ jednak profesor wyzdrowiał, postanowiono się mnie pozbyć.

— I udało się?

— Nie. Pozostanę w szkole nadal. Wykłady historii tańca stają się powoli moją drugą pasją.

— Lubi się pan pokazywać: na rodzimej scenie, w telewizji, w prasie, w radio. Wszędzie pana pełno, ale za dużo też niezdrowo?

— Nie mam powodu, aby być anonimowym. Ale moje pokazywanie się zawsze jest ściśle związane z realizowanym programem teatru. Jest pan pierwszym, który zaprotestował przeciwko temu. Przemyślę tę sprawę.

— Czy wylansowani przez pana ludzie zawsze potrafią to docenić?

— Jestem przede wszystkim menadżerem. Czuję się menadżerem niedocenionym. A już o czyjejkolwiek wdzięczności dawno przestałem marzyć. Wystarczy mi — jeśli efektem mojego lansowania jest wzrost poziomu naszego zespołu, prestiżu naszego teatru.

— Kto pana wylansował?

— Życie.

— Lubi pan światowe życie?

— Pewnie tak, chociaż żyjąc w Łodzi trudno mnie o coś takiego podejrzewać. W najlepszym wypadku mógłbym zjeść kolację w Grand Hotelu, gdzie dobijałaby mnie grająca orkiestra lub Hotelu „Centrum", gdzie tego samego mógłbym się spodziewać po kelnerach.

— Coraz modniej się pan ubiera, gdzie i u kogo?

— Po prostu nie przejadam wszystkich diet podczas podróży artystycznych i stąd w mojej garderobie dwie nowe marynarki i kilka par spodni.

— Łódź nie jest światową metropolią, a jednak związał się pan z nią na dobre i złe?

— Nie jestem tego wcale taki pewien. Chciałbym natomiast, aby wszyscy, od których to zależy — wiedzieli, że moja praca w tym mieście będzie miała sens do momentu, kiedy dobro będzie wyraźnie przeważało nad złem. Ze swojej strony czynię wszystko, aby to zło nie miało żadnych szans dominacji.

— I nawet ukochaną mamę pan tu przywiózł?

— Tak, ciągle kursującą między naszym domem rodzinnym w Będzinie a Łodzią i tak dobrze wprowadzoną w arkana zarządzania teatrem, że boję się zostawić jej samej, gdy na dłuższy czas wyjeżdżam z Łodzi. Może się bowiem zdarzyć, że dysponując wspaniałą energią i znajomością rzeczy, po przyjeździe zastanę nie znoszącą sprzeciwu Mamusię na swoim fotelu.

— Zakończyły się Łódzkie Spotkania Baletowe, których jest pan głównym motorem. Czy może pan zaliczyć je na konto swoich sukcesów?

— Nigdy nie jest tak dobrze, aby nie mogło być lepiej. Uważam IX Łódzkie Spotkania Baletowe za bardzo udane, w czym utwierdza mnie wiele różnych opinii i ciągle olbrzymie zainteresowanie publiczności w kraju.

— O zagranicznych występach łódzkiego Teatru Wielkiego mówi się różnie. Pan zdaje się tym nie przejmować i nadal prowadzi eksportową politykę swojego teatru?

— Co więcej, będę ją nadal rozszerzał. Z tymi opiniami wygląda tak: jeśli tenor zachrypnie w Messynie albo dwóch bojarów spadnie z podestu, wrogowie trąbią o tym od Przemyśla do Szczecina. Natomiast, łowiący ciągle sensację PAP nie informuje nigdy, że tylko ostatnio w Dreźnie „Norma" i „Manru" miały owacje na stojąco, w Berlinie „Mefistofeles" pobił wszystkie dotychczasowe rekordy aplauzu. Najnowsza premiera „Wolfganga Amadeusa" została zaplanowana w ciągu najbliższych 2,5 lat w ośmiu krajach Europy na 103 spektakle, że nie zgodziłem się na dwumiesięczne tournée „Trawiaty" po Włoszech w czasie wakacji, aby nie zniszczyć pięknych kostiumów Xymeny Zaniewskiej, że „Borys Godunow" będzie prezentowany w Rzymie, „Żydówka" na festiwalu w Cesarei, spektakle baletowe w ramach corocznego Festiwalu Dymitra w Salonikach, a „Cosi fan tutte" w Hiszpanii, Niemczech, Anglii, a być może również w Stanach Zjednoczonych.

— Gdzie pojedzie pan na urlop?

— Najpierw na kilkanaście dni do Skolimowa, a potem do państwa Solarczyków w Lipieni nad jeziorem Rożnowskim. Tam mieszkając na wysokiej górze i z niej patrząc nocą na gwiazdy, a dniem na jezioro — układam wszelkie plany pracy, przyszłe zamierzenia, słucham muzyki i goszczę przyjaciół.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Bożena Pawełczyk

Duet

kiedy na ciebie czekam
rysuję
w swej pergaminowej skórze
wyobrażenie czystego świata w którym
mężczyzna
i kobieta

to najdoskonalszy duet

kiedy otwieram drzwi
i moje palce niecierpliwie wyplątują ciebie
z twego ciała
tylko wtedy
gdzieś
na jakiejś podłodze
moja sukienka czuje pulsowanie twej koszuli

burza przetacza się daleko dalej

kiedy odchodzisz
długo jeszcze nie mogę wyplątać ciebie
z moich włosów

i kiedy znowu otwieram drzwi
a twoje palce niecierpliwie wyplątują mnie
z czerwonej sukni
nie wierz mi (— to wszystko cygaństwo)

tylko
twój pot zmiesza się z moimi perfumami

tak szybko

trzeba podnosić z podłogi
rzeczy
więdnące bezwładnie

* * *

jestem zepsuta
jak jabłko dotknięte ustami pierwszej kobiety
owinąłeś mnie sobą

wspinasz się
aby zostawić znak grzechu
na piersiach

czuję pulsowanie w tobie
(to zbliżający się tabun dzikich koni)
rośnie
dławi mnie
omdlewam
pochylony
nad moją rozkoszą — odgryzasz kęs
i czekasz
aż
drzemiąca siła
rzuci mną
o ciebie
zamykam w sobie twój szept (cisza zapada tak nagle)
staję się coraz silniejsza od twoich ukąszeń
prawie nieśmiertelna
trzeba mnie stratować
(zostanie potłamszona trawa)

* * *

siedzę w tej swojej dziupli
(jak jakaś smutna wiewiórka z twego snu)
w miejscu tak łatwym do odnalezienia
choć to zima

podszedłeś mnie bezszelestnie
zagapiona gubię jakiś maleńki orzeszek
tonie w białym śniegu

to tylko chwila
i pozwalam okryć się twoim ciepłem
baraszkując wesoło

(to tylko chwila)

siedzę w tej swojej dziupli
a moje oczy
jak dwa węgielki płoną

* * *

przybiegałam do ciebie
moje spojrzenie
świeciło
jak oczy dzikiego zwierzątka
zaplątane w ciemnościach
ufna
przycupnęłam w twoich ramionach
tyle świateł wylało się na mnie
śmienacka
uciekłam
na najdalszą gałąź
z krzykiem

(a już łasiłam się do twojego zapachu)

„Historia szaleństwa" Foucaulta — skandal czy wydarzenie intelektualne?

Rozstrzygnijmy od razu sygnalizowaną w tytule wątpliwość. Rzecz jest o tyle skandaliczna, co i stanowi doniosłe wydarzenie.

Jeśli w dobie komputerów, wideo, lotów kosmicznych i błyskawicznego przekazywania informacji, przekład książki, której znaczenie dla europejskiej kultury umysłowej co najmniej równe jest roli, jaką odegrała niegdyś kantowska „Krytyka czystego rozumu", ukazuje się ćwierć wieku (dokładnie 26 lat) po jej edycji oryginalnej, trudno mieć wątpliwości — jest to rzecz skandaliczna. Ponieważ jednak we współczesnej humanistyce francuskiej (która niewątpliwie wiedzie prym w życiu intelektualnym Zachodu) nie jedyne to dzieło tej miary (zarówno tego autora, jak i innych), a nic nie wskazuje na to, by te kolejne pozycje czekała lepsza przyszłość przekładowo-edytorska, trzeba słowo „skandal" powtórzyć. Tym razem w towarzystwie słowa „symptom". Symptomatyczna to bowiem sytuacja i nie rokuje nazbyt wielu nadziei, by nasza narodowa kultura mogła stać się pełnoprawnym uczestnikiem kultury światowej (jest w języku polskim interesujące wyrażenie — „wlec się w ogonie"). Jeśli zaś wziąć jeszcze pod uwagę, że przekład „Historii szaleństwa" ukończony został przed dziesięciu laty i w owym skromnym okresie czasu nabierał bodaj mocy urzędowej, wypadnie urocze słowo „skandal" wypowiedzieć po raz trzeci. I „symptom" — po raz drugi.

Zarazem to jednak wydarzenie rzadkiej miary — trudno bowiem przecenić doniosłość tej pracy zmarłego przed trzema laty Michela Foucaulta, uznawanego powszechnie za najwybitniejszego myśliciela naszych czasów.

Książka ta wbrew narzucającej się oczywistości tytułu nie jest historią psychiatrii, która miałaby szaleństwo rozpoznać, zaklasyfikować i poddać leczeniu. To historia określonych działań kulturowych (raczej ekonomicznych i etycznych niż medycznych), których efektem było zawsze represjonowanie obiąkanego (historycznie zmieniały się jedynie postacie tej represji — od więziennych kajdan po psychoanalityczną terapię; choć, przypomnijmy, jeszcze w średniowieczu szaleniec uważany był za rezonera bogów). To zatem historia samego szaleństwa nim zostanie ono obezwładnione i oswojone gotowymi etykietkami psychiatrycznych klasyfikacji, końcowymi formułami naukowych prawd, które tym bardziej zapoznają istotę szaleństwa, tłumią jego własne słowa i ustanawiają się jako nieprzerwany monolog rozumu nad nierozumem. Dlatego też Foucault usiłuje przywrócić słowo tym wszystkim, którzy tysiącami zaludniają zakłady psychiatryczne, a którym tak skutecznie odebraliśmy głos pozostawiając jedynie szpitalne zapomnienie i kaftan bezpieczeństwa.

Książka ta, będąc — jak wszystkie niemal dzieła Foucaulta — „skrzynką z narzędziami", przyczyniła się do przyspieszenia kryzysu psychiatrii i rozwoju kontestacyjnego ruchu antypsychiatrii ważąc w sposób oczywisty na koncepcjach Lainga, a zwłaszcza Coopera oraz postaci sławnego Pawilonu 21 w Kingsley Hall w Londynie, pomyłach Włocha F. Basaglii i jego „zanegowanej instytucji" w Gorizii koło Triestu czy też idei utworzenego przez M. Mannoni w Bonneuil-sur-Marne (Francja) „miejsca życia" dla dzieci psychotycznych i charakterologicznych.

Aspekt psychiatryczny nie wyczerpuje oczywiście zakresu oddziaływania „Historii szaleństwa". Do inspiracji tym dziełem przyznaje się m.in. znany pisarz i krytyk, Ph. Sollers czy też L. Althusser, który swój sposób „czytania Kapitału" zawdzięcza w znacznej mierze lekturze książki Foucaulta. Dzieło to stanowi zresztą stały moment odwołań dla współczesnej humanistyki, by wymienić choćby innego spośród największych myślicieli naszej doby, G. Deleuze'a.

Tak szerokie uznanie i oddziaływanie „Historia szaleństwa" zawdzięcza faktowi, iż jest konsekwentnym protestem przeciw zniewoleniu (a przy tym analizą jego mechanizmów), jednym z pierwszych dzieł stawiających pytanie o panowanie człowieka nad człowiekiem. Stanowi bowiem jawne oskarżenie rozumu, wiedzy, odkrywając w nich figury władzy i represji. Jest potężnym uderzeniem wymierzonym w spokojny ład zachodniego ratio ufundowanego na kartezjańskiej pewności i oczywistości, poświadczonego kantowskim trybunałem rozumu i heglowską teodyceą ducha-rozumu. Odkrywa jak europejski „rozum kolonizacyjny" wyklucza Innego — szaleńca, przestępcę, kobietę, dziecko, dzikiego, Czarnego, etc. — poddaje praktykom normalizacji, cywilizowania, resocjalizacji mającym na celu upodobnienie go do wyznaczonych przez kulturę europejską wzorców. Jedyną racją bytu Innego jest stanie się Tym Samym, co człowiek Zachodu (biały dorosły samiec, etc). Stąd też kartezjańskie cogito, synonim umysłowej światłości, wyzwolenia rozumu z teologicznych więzów, podstawa nowożytnej wiedzy, punkt oparcia dla liberalizmu i swobód obywatelskich, odsłania dzięki Foucaultowi swe prawdziwe oblicze — oblicze władzy, represji i ludobójstwa.

Wielki genealog władzy podejmując problematykę szaleństwa (w innych książkach zaś m.in. więzienia) wpisuje się silnie w nurt rozważań (u korzeni których jaśnieje sylwetka Markiza de Sade) o granicznych postaciach ludzkich doświadczeń, takich jak gwałt, przemoc, zbrodnia, śmierć, szaleństwo, ciało, erotyzm, literatura, etc., które to, wykluczane z regułę poza ramy oficjalnej wiedzy, trafniej niż utarte postacie nauki odkrywają prawdę człowieka. Okazują się bowiem być konstytutywnymi dlań elementami (czy doświadczeniami) burząc tym samym powszechnie utrwalony mit czystej racjonalności, która wszystko, co od niej różne, co jej obce wypędza w nieistnienie i okrywa upartym milczeniem.

„Historia szaleństwa" to zatem książka, która podejmuje najżywotniejsze, najbardziej aktualne problemy naszych czasów.

Nie można tu nie wspomnieć o trudnym zadaniu, jakiego podjęła się tłumaczka, Helena Kęszycka, a z którego wywiązała się w sposób godny podziwu. Nie tylko nie uległa pokusie pójścia w stronę łatwej nozografii psychiatrycznej oferującej gotowe formułki i śledziła uparcie zawiłą myśl Foucaulta do końca pozostając jej wierna, ale też nie zagubiła niczego z pięknego języka filozofa, francuszczyzny posiadającej wszelkie walory czystej literatury.

Należałoby wreszcie wyrazić żal, że grafik nie pofatygował się, by przed zrobieniem projektu okładki zajrzeć do książki. Cóż, nic w tym dziwnego: myślenie sprawia ból (a szaleńcy są żywym dowodem miary tego cierpienia). I jako że do trzech razy sztuka, słowo „sympotom" pojawia się tu po raz trzeci.

BOGDAN BANASIAK

Michel Foucault, Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu, przeł. Helena Kęszycka, PIW, Warszawa 1987, nakł. 20 tys. cena 900 zł.

Faustowskie przesłanie

„Bóg wezwany na rozstrzelanie" Tadeusza Jasińskiego to kolejny powrót do realiów wojennych. Autor (rocznik 1928) zna je wprawdzie z autopsji, lecz wielkie zgęszczenie owych realiów, jakie spotykamy w powieści, znacznie przekracza możliwość doświadczeń młodego wówczas człowieka. Książka Tadeusza Jasińskiego stanowi próbę wykreślenia prawideł ludzkiego losu — usiłuje połączyć cechy paraboli z prozą typowo realistyczną. Jej bohater — zdeterminowany tradycją narodową, a także wyraźną świadomością plebejską — prezentuje zdecydowanie emocjonalny sposób widzenia i przeżywania świata. Wynika to przede wszystkim z wrażliwości etycznej bohatera powieści, który od najmłodszych lat patrzy na świat dychotomicznie: zjawiska i ludzi odbiera wyłącznie w kategoriach albo dobra, albo zła. Wiele wody upłynie w Wiśle nim zauważy, iż pomiędzy bielą i czernią sytuują się różne odcienie szarości.

Pochodząc z pogranicza polsko-niemieckiego przywykł zdecydowanie oceniać ludzkie postawy. Mimo płonącej granicy i rachunku krzywd potrafi docenić nawet u przeciwników takie nietuzinkowe cechy, jak uczciwość, wyrozumiałość, prawdomówność. Nie mówiąc już o urodzie. Zabrzmiało to żartobliwie, ale właśnie miłość młodego Polaka (o dziwnym, zapewne na poły ironicznym nazwisku: Trochęlepszy) do urodziwej i szlachetnej Niemki z sąsiedniej wsi stanowi przewodni motyw powieści.

Morze atramentu wypisane na temat postaci Niemców we współczesnej literaturze polskiej. Do tematu tego Tadeusz Jasiński wnosi własne akcenty, weryfikując odwieczny wątek faustyczny — odradzania się mężczyzny poprzez niezwyczajne uczucie do kobiety: „Pragnąc obronić siebie przed samym sobą, uczyniłem Erykę sprawdzianem stanu mojej duszy. Nie obmyśliłem sobie tego, że właśnie przez nią szukać będę ratunku dla siebie nowego, niedawno zrodzonego. Im bardziej było to nam wzbraniane i więcej piętrzyło się przeciwności, tym żarliwiej ją kochałem. Nie chciała we mnie widzieć Polaka, ani ja w niej Niemki, chociaż nam te oczywistości wciąż na nowo wypominano. Człowiek napotkał człowieka, a nie Polak Niemkę, nie katolik ewangeliczkę". Rzeczywistość wojenna (przybierająca dla bohatera powieści niekiedy awanturniczą zgoła postać) nie pozwoliła na urzędowe dopełnienie uczucia. Edward Trochelepszy traci Erykę Krause, ale ocala życie i nadzieję na lepsze urządzenie świata. Spełnia się ona zaledwie częściowo. W każdej napotkanej kobiecie doszukuje się bowiem cech owej pierwszej... Daremnie. I dopiero napotkana u schyłku życia dziewczyna przypomina ją w stopniu wystarczającym, aby bohater mógł znów zaakceptować świat.

Dręczony nieustannym borykaniem się ze sobą i przerastającą go rzeczywistością człowiek przeżywa gwałtownie swoje kolejne — symboliczne — narodzenie, ponieważ pozwala ono „pielęgnować w sobie dobro i nazywać je bogiem". Przekonanie o pielęgnowaniu dobra jako najwyższej wartości wynika zarówno z przeżyć osobistych, czyli z rozpoznawania „małego świata", jak i z doświadczeń dostarczanych przez „wielki świat" kultury, historii, polityki. Istnienie ludzkie znajduje bowiem usprawiedliwienie jedynie w służbie innym, w wiecznym dążeniu do doskonalenia świata. Takie jest przeznaczenie bohatera powieści Tadeusza Jasińskiego. I takie też pozostaje jej przesłanie.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Tadeusz Jasiński: „Bóg wezwany na rozstrzelanie", Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986, s. 180, nakład 20 730 + 270 egz., cena zł 140.

Z półki recenzenta

ODKRYWANIE WĘGIER

W serii „Kolekcja Literatury Węgierskiej" ukazał się zbiór esejów poświęconych problematyce „małego narodu", któremu na przestrzeni jego historii „zdarzało się prowadzić zwycięskie bitwy, ale nie było ani jednej zwycięskiej wojny".

„Odkrywanie Węgier" to wielotomowe przedsięwzięcie wydawnicze (oczywiście na Węgrzech) posiadające wartość dokumentalną, bowiem stanowi obraz zachodzących współcześnie przemian gospodarczych, kulturalnych, politycznych i obyczajowych. Polski wybór węgierskiej eseistyki i publicystyki, pochodzący ze wspomnianej serii z natury rzeczy jest skromny objętościowo, lecz przez to wcale nie mniej frapujący i ciekawy.

Przekład zbiorowy.

Odkrywanie Węgier. Wyd. Lit. 1987. Str. 584. Cena 450 zł.

EPPUR SI MUOVE

„A jednak się porusza!" — ponoć tymi słowami zakończył Galileusz swoją obronę przed trybunałem Świętego Officium w 1633 roku. Wypowiedział je szeptem, podniósłszy się z klęczek, kiedy to musiał — siedemdziesięcioletni starzec — ratując się przed śmiercią na stosie odwołać wszystkie swoje nauki dotyczące astronomii, a w szczególności potępić teorię Kopernika. O tym i o wielu innych sprawach z tamtych czasów opowiada ciekawie napisana książka pt. „A jednak się porusza".

Joanna Olkiewicz: A jednak się porusza. Ossolineum 1987. Str. 324. Cena 600 zł.

WYZNANIA ZAWIESZONEGO

Są to interesujące wyznania: Stefan Melkowski przez parę lat zamieszczał swoje felietony w „Literaturze", by teraz ogłosić je w jednym zbiorze. Oto niektóre tylko tytuły tych felietonów: „Najstarszy polski wiersz", „Nasz pierwszy literat", „Szekspir jako pisarz dyspozycyjny". Słowem: sporo wiedzy o literaturze, kulturze, o naszej recepcji tego wszystkiego, co zwykło się nazywać polskością. Książka nie tylko dla ludzi zajmujących się szeroko pojętą kulturą, ale dla licealistów pragnących wiedzieć więcej niż zawiera podręcznik szkolny.

Stefan Melkowski: Wyznania zawieszonego. WL 1987. Str. 264. Cena 200 zł.

SREBRNY GOŁĄB

Zachęcając czytelników do sięgnięcia po tę książkę, chciałoby się powiedzieć: no, nareszcie dotarło do nas jedno z najoryginalniejszych i najświetniejszych dzieł literatury rosyjskiej z pierwszej połowy XX wieku. Mówię o „Srebrnym gołębiu" Andrieja Bielego, czołowego teoretyka, krytyka i poety epoki symbolizmu. Książka napisana w 1909 r. stała się od razu wydarzeniem literackim, wzbudzając u jednych entuzjazm, u innych zaś potępienie. O co więc chodzi w tej niezwykłej powieści? Ano ni mniej ni więcej, tylko o realistyczny obraz dławiącej się w systemie carowładztwa Rosji. Biały przedstawił społeczeństwo, które wyzwolenia szuka nie tylko w mistycyzmie, lecz żywo reaguje na hasła rzucane przez „sycylistów", a pieśń zaczynająca się słowami: „Wyklety powstań ludu ziemi..." pojawia się jako zapowiedź nadciągającej burzy, której na imię Rewolucja. Tak więc obok konfliktów istniejących pomiędzy poszczególnymi postaciami, pojawiają się w powieści konflikty ideowe.

Słowa uznania należą się tłumaczowi Seweryn Pollakowi, który — jak sądzę — w pełni podołał trudnemu zadaniu, jakie stawiał przed każdym przekładowcą tekst oryginału.

Andriej Biały: Srebrny gołąb. Czyt. 1987. Str. 400. Cena 400 zł.

OKRUTNY ŚWIAT

Ta książka leżała w szufladzie pisarza całe 38 lat. Ukazała się dopiero teraz, jedenaście lat po śmierci jej autora. Mówię o „Okrutnym świecie" Jana Papugi, wielkiego samouka, wagabundy i podróżnika o sercu i wyobraźni poety. „Okrutny świat" to opowieść o tułaczce ludzi morza w czasie ostatniej wojny, o konwojach do Murmańska, o grozie i o radościach, o pięknych kobietach i o tym, że „Tylko to jest dobre i piękne, co ma godność ludzką". Zachęcam do sięgnięcia po tę jakże piękną książkę.

Jan Papuga: „Okrutny świat". KAW 1987. Str. 392. Cena 250 zł.

ZABIĆ CZARNĄ KURĘ

Ta książka — a piszę to z przekonaniem — nie będzie zapewne zalegać na półkach księgarskich. Jej tytuł: „Zabić czarną kurę...", a treścią są sprawy niezwykłe, choć wcale nie unikalne. A więc: choroby psychiczne i domorośli znachorzy, którzy je leczą za pomocą bioprądów, guseł czy zamawiań; zabobony, przesądy, wiara w magię, czary i rzucanie uroków. Wszystko to w drugiej połowie XX wieku, w kraju leżącym w środku Europy, w którym obowiązuje przymus nauczania podstawowego i gdzie każdy uważa się za inteligenta.

Koniecznie radzę przeczytać!

Barbara Lipińska, Janusz Hoga: „Zabić czarną kurę...". KAW 1987. Str. 216. Cena 200 zł.

Opracował: E. IW.

Łódzkie Spotkania Jazzowe

Po raz kolejny (dokładnie nie wiadomo już który) Łódzkie Spotkania Jazzowe stały się forum muzycznym ukazującym obraz (a może raczej tylko jego niewielki wycinek) polskiego życia jazzowego. Przed rokiem w maju trwał wielotygodniowy maraton zwany „Dniami Jazzu i Rocka", obejmujący występy grup rockowych i jazzowych wszelkiej maści, a także reprezentantów rozmaitych nurtów muzyki rozrywkowej. Tegoroczna impreza — zorganizowana przez Łódzki Oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego — nabrała bardziej jednolitego i skondensowanego charakteru, co pociągnęło za sobą zarówno dobre, jak i złe skutki. Przez trzy dni (od 22 do 24 maja) w sali Zakładowego Domu Kultury „Polteks" przy ulicy Ogrodowej z rozmaitymi efektami zaprezentowało się aż jedenaście formacji (nie dojechało tylko Jazz Trio) — choć liczbę tę należałoby z pewnych względów (o których nieco dalej) zweryfikować. Zaszczyt inauguracji festiwalu przypadł w udziale laureatowi II nagrody (pierwszej nie przyznano) kwietniowych krakowskich „Jazz Juniors" — łódzkiemu kwartetowi Green Light For Agriculture, który nie wypracował jeszcze własnego oblicza stylistycznego. W brzmieniu grupy wyraźnie słychać bowiem echa niektórych nagrań Krzysztofa Komedy z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a złe nagłośnienie fortepianu ten efekt dźwiękowy tylko pogłębiało. Sądzić jednak wypada, iż po uwolnieniu się od wpływów „soundu" dawnych mistrzów „Zielone Światło dla Rolnictwa" zaświeci własnym blaskiem — o czym świadczyć może choćby dowcipne wykorzystanie w charakterze standardu piosenki znanej z zupełnie innych festiwali („Przyjedź mamo na przysięgę" Henryka Klejnego). O tym, że o oryginalność trudno, przekonaliśmy się także przy okazji występów dwóch kolejnych grup: Kazimierza Jonkisza (prezesującego obecnie łódzkiemu Oddziałowi PSJ) oraz In/Formation Sławomira Kulpowicza, których wioliniści (Maciej Strzelczyk i Henryk Gembalski) pozostają pod wyraźnym urokiem brzmienia skrzypiec Zbigniewa Seiferta i Krzesimira Debskiego. Nie obniża to oczywiście rangi koncertu obu zespołów, które mając w swoich składach takich muzyków, jak Witold Szczurek (b), Krzysztof Przybyłowicz (dr — dawniej String Connection) czy Marek Bliziński (g), grają muzykę przemyślaną i formalnie dojrzałą. Opinii takiej nie można już niestety powtórzyć o uczestnikach drugiego dnia spotkań — członkach grup: Nong-Pa, Free Cooperation, Tie Break i Sesja 80, które pod względem personalnym stanowią de facto jedynie mutacje jednego zespołu. Dlatego też tylko teoretycznie i formalnie można określić liczbę ansambli występujących w Polteksie na „sztuk jedenaście".

Nong-Pa to duet tworzony przez Włodzimierza Kiniorskiego i Zbigniewa Brysiaka, wspomaganych przez taśmę magnetofonową emitującą „szumy, zlepy i ciągi". Godzinny występ wyżej wymienionych okazał się całkowicie niestrawną dawką „jęków, głosów, świstów i pomruków", wydawanych przez muzyków przy pomocy potężnego arsenału aerofonów (saksofony, flety) oraz instrumentów perkusyjnych (bębny, talerze, grzechotki etc.). Epatowanie odbiorcy tego rodzaju „słuchowiskiem", połączonym z quasi-orientalnym sztafażem wykonawcy, może jedynie nużyć, przywołując złe wspomnienia o pseudoawangardowych eksperymentach z odległej przeszłości i zauroczeniu muzyką Wschodu.

Artyści z Nong-Pa — wzmocnieni kolejnymi czterema instrumentalistami — przekształcili się po swej pierwotnej prezentacji w Tie Break — zespół, o którego występie przed paru laty na Jazz Jamboree '83, wyraziłem zdecydowanie krytyczną opinię, określając jego produkcję jako „potężny strumień najzwyklejszego hałasu" (Jazz Forum 1983/6, s. 30—31). Po reaktywowaniu zespołu okazało się, iż opinię tę wypada mi niestety jedynie podtrzymać, a kolejne mutacje Nong-Pa i Tie Breaku (Sesja 80 i Free Cooperation) również występujące w drugim dniu festiwalu, tylko niepotrzebnie przedłużyły ten właśnie wieczór.

Dzień ostatni w Polteksie zainaugurowała łódzka kapela Sitting Up Late, określana mianem grupy jazz-rockowej. Wydaje się jednak, iż samą ekspresją i dynamiką trudno będzie owemu septetowi uzyskać znaczącą pozycję wśród ansambli tego nurtu. Produkcje Sitting Up Late okazują się być bowiem zbyt schematyczne pod względem konstrukcji, która choć formalnie bliska (a przez to zresztą wtórna) bebopowi, nie może budzić dziś zainteresowania (początkowa unisonowa partia dwu saksofonów, powtarzana po kolejnych solówkach oraz na zakończenie każdego utworu). Odmienne wrażenia przyniósł natomiast występ zespołu Walk Away — grupy grającej jazz dojrzały, dynamiczny i przemyślany, z właściwie wyważonymi proporcjami w doborze środków brzmieniowych i elementów konstrukcji formalnej poszczególnych kompozycji. W kilku z nich wyeksponowany został głos — występującej z zespołem — Lory Szafran. Dobre wrażenie odniesione po produkcjach Walk Away, podtrzymał krótki występ grupy Young Power, w której składzie znaleźli się m. in. bohaterowie tak nieudanego przecież drugiego dnia spotkań. Być może osobowość Krzysztofa Popka kierującego poczynaniami ansamblu na scenie, oddziaływała tak sugestywnie i konsolidująco na zespół. Kropkę nad „i" koncertów na Ogrodowej postawili muzycy grupy Set Off, nie wnosząc jednak już na estradę wiele nowego, jako że stanowili oni tylko jeszcze jedną mutację personalną wcześniej występujących zespołów.

Kodę spotkań stanowił koncert grupy Osjan w Klubie „Pod Siódemkami" — w środę, 27 maja. Ten działający od ponad piętnastu lat zespół wciąż zmienia swój skład osobowy, co nie zawsze korzystnie wpływa na kolejne jego prezentacje. W dawnym „soundzie" grupy na plan pierwszy wysuwały się orientalne instrumenty strunowe i perkusyjne, a także brzmienie fletów. Od pewnego czasu eksponowane miejsce zajmuje wibrafon Karola Szymanowskiego, który jako jeden z nielicznych gra na tym instrumencie aż sześcioma pałkami równocześnie — co zdecydowanie wzbogaca rozwiązania harmoniczne poszczególnych kompozycji. Tradycję dawnego instrumentarium Osjanu podtrzymują: Jacek Ostaszewski (flety, instrumenty perkusyjne i strunowe) oraz Radosław Nowakowski (instrumenty perkusyjne). Z tercetem tym po raz pierwszy występował w Łodzi także Jorgos Skolias, który swym głosem starał się wspierać brzmienie zespołu. Wypadło to jednak na razie niezbyt przekonująco — co wynikać może z premierowego charakteru występu grupy w tym składzie. Być może projektowane na najbliższe miesiące nagrania płytowe zespołu, a także poprzedzająca je trasa koncertowa, skonsolidują działania kwartetu.

Cztery koncerty Łódzkich Spotkań Jazzowych nie mogły naturalnie zaspokoić oczekiwań wszystkich jazzfanów; szkoda jednak, iż zabrakło na festiwalu reprezentantów innych — nieco starszych nurtów muzyki synkopowanej i jej praźródeł, co mogłoby zaakcentować wspólnotę korzeni różnych stylów i kierunków. Nieobecna była praktycznie jazzowa wokalistyka ani też jazzowa tradycja (dixielandowa czy swingowa). Nurty pogranicza również były raczej słabo reprezentowane. Impreza stała się przez to zbyt jednostronna, ukazując jedynie pewien wycinek — tak wielobarwnej przecież — jazzowej rzeczywistości. Wrażenie to pogłębił jeszcze fakt wielokrotnego pojawiania się tych samych instrumentalistów w różnych zespołach — tak, jak gdyby pełnili oni funkcję doskonałych muzyków — dyżurnych polskiego jazzu (casus Kiniorskiego), znakomicie pasujących do każdej sytuacji i każdego składu. Sądzę, że młoda generacja nie powinna już powielać dawnych błędów starszego pokolenia, kiedy to np. Jan Ptaszyn Wróblewski również pragnął swą wszechogarniającą obecnością pełnić podobną rolę „dyżurnego", rozmieniając swój dorobek na drobne.

MAREK BIELACKI

Statek donikąd

Rzecz cała zaczyna się jak film niemy: czarno-biała, staroświecka kadry, postaci poruszające się w przyspieszonym, charakterystycznym tempie, brak dźwięku. Nagle obraz robi się barwny, włącza się ścieżka dźwiękowa, „archiwalny" dokument okazuje się wyinscenizowaną fikcją. Ceremonia sfilmowana w pierwszych, niby-dokumentalnych zdjęciach, to pożegnanie ekskluzywnego transatlantyku, wyruszającego w morze z ekscentryczną misją — pogrzebania w głębinie prochów niedawno zmarłej operowej divy. Pasażerowie to ludzie ze świata muzyki i opery, przyjaciele, krewni i rywale zmarłej. „Właściwy" film — rejs — to obserwacja tej dziwacznej grupy, reprezentującej elitę artystyczną i towarzyską swych czasów. Podróż kończy się źle: kapitan zabiera na pokład serbskich uchodźców, austro-węgierski pancernik (jest rok 1914, tuż po zamachu na arcyksięcia Ferdynanda) stawia ultimatum: Serbowie zostaną wydani, albo statek zostanie zatopiony. Kapitan spełnia warunki Austriaków, usuwając uchodźców, ale transatlantyk — przy dźwiękach operowej muzyki — tonie, nie wiadomo: od strzałów pancernika czy z powodu bomby serbskiego terrorysty...

Film ten jest metaforą upadku pewnego świata, zwanego później belle-epoque, wraz z jego sztuką, systemem wartości estetycznych, a także etycznych. Jest to więc film o dekadencji, o świecie umierającym nieodwołalnie — i nieświadomie. Postacie — jak zwykle u Felliniego karykaturalne i groteskowe — przypominają żywe trupy, o bladej, ziemistej cerze, oderwane od życia, jakby w ogóle nie istniejące poza sztuką, którą uprawiają bądź bałwochwalczo wielbią. Cały świat „melomanów" jest sztuczny, nieprawdziwy — podkreśla to umowność scenografii, manifestacyjnie odsłaniającej swą funkcję zastępowania realnych obiektów — morze jest połyskliwą materią z jakiegoś sztucznego tworzywa, statek „Gloria N." jawi się jako wielka atrapa, tak samo jak jeden z pasażerów — nosorożec. W finale odsłania się realizująca ostatnie ujęcia zagłady statku ekipa Felliniego, przez co cała anegdota uzyskuje kropkę nad „i": status filmu jako autorskiej metafory upadku pewnej kultury, pewnej sztuki i pewnej moralności, już wcześniej dość oczywisty.

„A statek płynie..." jest utworem nudnym i zimnym. Ten film o dekadencji jest sam dekadencki — w formie, chybionej i niecelowej. Fellini, tworząc świat ostentacyjnie sztuczny i ujawniając siebie w finale, zbanalizował autotematyczno-kreacyjną poetykę swych poprzednich filmów — zwłaszcza „Amarcordu", „Rzymu", „Próby orkiestry". Zdemaskowanie quasi-realności świata przedstawionego nie jest tu czymś znaczącym, ale bezwstydnym, manierycznym powtórzeniem gestu, który jako przyswojony, zaakceptowany i właściwie konwencjonalny, stracił swą nośność i świeżość. Zresztą jest to zupełnie niepotrzebne w świetle ostentacyjnej kreacji świata przedstawionego. Ta ostatnia też niczemu nie służy — pomysł ze sztucznym morzem, znakomity w krótkiej scenie „Casanovy" — irytuje w filmie, który rozgrywa się na morzu. A żałosna atrapa nosorożca wywołuje uśmiech politowania, zwłaszcza u widza pamiętającego rozmach „dziwów" z „Rzymu", „Casanovy", a nawet z niedobrego „Miasta kobiet". Poza tym całkowicie poronionym pomysłem Felliniego jest wprowadzenie postaci dziennikarza — komentatora wydarzeń, opisującego i filmującego rejs jakby „wewnątrz" świata przedstawionego. Na jego tle finałowy gest reżysera jest tym bardziej zbędny i pompatyczny; kłóci się z nim jako: po pierwsze — pleonazm, po drugie — logiczna sprzeczność (niepotrzebne „szufladkowe" skomplikowanie konstrukcji nieautonomicznego świata przedstawionego).

Ale nie tylko martwa, bo zbanalizowana i pozbawiona funkcji autorskiego protestu wobec konwencji przezroczystego, wszechwiedzącego narratora, formuła autotematyczna, przesądza o martwocie tego filmu. Nie ma w nim charakterystycznego dla poprzednich dzieł Felliniego „jaja", sytuacyjnego i słownego dowcipu, witalności, pełnokrwistych — mimo rysów karykaturalnych — postaci. Są tylko ludzie-znaki, ludzie-symbole — i to jednowymiarowe. A dowcip wydaje się nie najlepszej marki...

Brak też — wewnątrz kadrów i w ich następstwie — pewnego rytmu, który był charakterystycznym elementem dotychczasowego stylu Felliniego. Wspaniały początek — (w czarno-białych kadrach) oraz pierwsza kolorowa scena na statku: obraz kuchni i restauracji z krzątającymi się w groteskowy, zrytmizowany sposób postaciami, przypominający choćby scenę kurortu z „Osiem i pół", uwypukla tym bardziej nieudaność całości. Zabrakło też chyba muzyki takiej, jaką niegdyś tworzył Nino Rota: pozwalającej zrytmizować obraz i nadać mu niepowtarzalną atmosferę. Podsumowując — statek Felliniego płynie donikąd, a następny, nieudany film Mistrza (zaprezentowany na Konfrontacjach „Ginger i Fred") — potwierdza, niestety, tę diagnozę.

TOMASZ KŁYS

Cztery wersje jednego życiorysu

Pisarstwo Stanisława Stanucha zaliczyłbym do nurtu kronikarskiego. Z reguły jest to beznamiętna relacja z wydarzeń zaistniałych w naszej najnowszej historii. Autor opowiadając stara się pozostać na uboczu, wysuwając na plan pierwszy swoich bohaterów i ich pogmatwane, nierzadko tragiczne losy.

W swojej najnowszej książce noszącej tytuł „Człowiek, który był sądem", spotykamy się ponownie z ową niby spokojną, nie podbudowaną emocjami relacją z „czasów pogardy" i z pierwszych lat po wyzwoleniu. W czterech opowiadaniach (niezwykle kunsztownie powiązanych ze sobą topografią opisywanych zdarzeń oraz osobą hauptsturmführera Wittenbecka) Stanisław Stanuch opowiada historię p o l s k i e g o l o s u, jaki był udziałem setek i tysięcy ludzi na okupowanych ziemiach. Atrybutami owego losu były: niepewność i strach, ryzyko i brawura, poczucie patriotyzmu i żądza walki, nienawiść do okupanta i wiara w ocalenie. A nad tym wszystkim dominowała śmierć w najrozmaitszych wcieleniach: była paką w rękach sadysty w mundurze SS, kulą, stryczkiem, cyklonem w komorze gazowej.

Kiedy się czyta owe cztery relacje o tym samym, to jest o okupacji i o śmierci, ciągle wydaje się, że oto zagłębiamy się w niezwykle dokładny dokument, który przetrwał w jakimś zapomnianym archiwum, a odnaleziony stanowi jeszcze jeden — wśród milionów — dowód oskarżenia.

Wszystkie cztery opowieści rozgrywają się w Mszanowie, gdzieś pomiędzy Bielsko-Białą, Piwniczną a Krakowem. Wiarygodność zdarzeń potęgują autentyczne nazwy miejscowości, gór, rzek, a w części dotyczącej powojennych losów bohaterów, nazwiska postaci dziś już historycznych.

Rekomendując książkę przyszłym swoim czytelnikom, Stanisław Stanuch napisał: „W „Człowieku, który był sądem", mojej jedenastej prozatorskiej książce, pragnę również spłacić dług, jaki każdy z nas zaciąga wobec krainy swego dzieciństwa...". Dzieciństwo Stanisława Stanucha (rocznik 1931) przypadło na lata najczarniejszej nocy, jaką była okupacja. Rosnąc w cieniu swastyki był poddany szczególnemu ciśnieniu, które z taką mocą i siłą odbiło się w twórczości dorosłego już pisarza. Stąd zapewne owa oszczędność narracyjna, pozorny spokój opowiadającego, choć mówi o sprawach niezwykłych, tragicznych i ostatecznych. I nie jest ważne, czy opowiada o sobie kurier tatrzański przerzucający na Węgry przemytniczymi szlakami przyszłych żołnierzy armii Sikorskiego, czy lekarz mówiący o rozstrzelanym bracie — księdzu, czy prawnik, który przeszedłszy swoją drogę krzyżową jeździł zeznawać jako świadek w procesie zbrodniarza wojennego, wspomnianego już hauptsturmführera Wittenbecka. To jedna i ta sama relacja, jeden i ten sam życiorys, wspólny l o s P o l s k i, własne doświadczenia Stanisława Stanucha z „kraju lat dziecinnych". A że opisał to dopiero po czterdziestu latach? Niektóre blizny goją się bardzo długo, inne nie goją się nigdy.

EUGENIUSZ IWANICKI

Stanisław Stanuch: Człowiek, który był sądem. Wyd. Lit. 1987. Str. 170. Cena 130 zł.

Kronika kulturalna

WIZYTA W ŁODZI DELEGACJI RADZIECKICH PISARZY

Z OKAZJI Dni Młodej Literatury Radzieckiej w dniach 25—26 czerwca **przebywała w naszym mieście** 15-osobowa **delegacja Związku Pisarzy ZSRR pod przewodnictwem sekretarza Związku — Jurija Surowcewa.** Delegacji towarzyszył **sekretarz** generalny ZLP Aleksander Nawrocki.

W Muzeum Historii Miasta Łodzi, w serdecznej atmosferze, odbyło się **spotkanie delegacji z przedstawicielami łódzkiego środowiska pisarskiego.** Spotkanie prowadził prezes Łódzkiego Oddziału ZLP **Władysław Orłowski.** Uczestniczył w w nim m. in. sekretarz KŁ PZPR **Grzegorz Misiewicz.**

Była to robocza, **niezwykle owocna wymiana doświadczeń** nt. zadań jakie ma do spełnienia młoda literatura w obu bratnich krajach.

Pisarze radzieccy akcentowali jako jedno ze swych pierwszoplanowych zadań wspomaganie ogromnych przemian zachodzących w Kraju Rad.

Stwierdzono, że młodzi radzieccy twórcy mają podobne problemy jak ich polscy rówieśnicy — sprawy materialne, trudności z debiutem itp.

Gości radzieckich podejmował również **I sekretarz KŁ PZPR Józef Niewiadomski.**

Zwiedzili oni wznoszone Centrum Zdrowia Matki Polki i złożyli wiązanki kwiatów na grobach żołnierzy radzieckich w parku Poniatowskiego.

PO RAZ czwarty przyznane zostały **Doroczne Nagrody Funduszu Literatury.** Służą one promowaniu dzieł o wysokich walorach humanistycznych i artystycznych ze wszystkich dziedzin literatury.

Z satysfakcją odnotowujemy, że **wśród wyróżnionych przez jury,** które obradowało **pod przewodnictwem prof. Juliusza Wiktora Gomulickiego,** znalazła się **trójka łodzian.** Są to dobrze znani czytelnikom „Odgłosów": **Ewa Filipczuk** (za tomik poetycki „Czekanie na ciebie w ciemnościach"), **Wiesław Jażdżyński** (za powieść „Kolonia wszystkich świętych"), **Henryk Pustkowski** (za **eseje krytyczne** pt. „Przestrzenie poezji").

Z OKAZJI 65 rocznicy urodzin Władysława Orłowskiego — znanego pisarza i dramaturga, prezesa Oddziału ZLP — **w siedzibie Oddziału Łódzkiego ZLP** odbyło się 29 czerwca br. **Spotkanie z Jubilatem.** Przybył na nie m.in. sekretarz KŁ PZPR Grzegorz Misiewicz.

Pisarz otrzymał list gratulacyjny od I sekretarza KŁ PZPR **Józefa Niewiadomskiego.**

W siedzibie Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie, 10 czerwca br., odbyła się **uroczystość wręczenia Wojciechowi Żukrowskiemu nagrody im Maksyma Gorkiego za powieść „Na tronie w Biabonie".**

Nagroda ta **przyznawana jest przez międzynarodowe jury,** złożone z przedstawicieli państw socjalistycznych.

Wydawca zapowiada rychłe wznowienie tej poszukiwanej książki, która **cieszy się bardzo dużą poczytnością,** zarówno wśród dzieci, jak i... dorosłych!

WYDARZENIEM sezonu stała się **premiera w Teatrze Muzycznym w Gdyni musicalu „Jesus Christ Superstar",** w reżyserii Jerzego Gruzy.

Po szesnastu latach jakie upłynęły od pierwszej inscenizacji w nowojorskim Mark Hellinger Theater, doczekaliśmy się polskiej wersji słynnego **dzieła Tima Rice'a i Andrew Lloyda Webbera.**

W związku z polską prapremierą musicalu dyrektor warszawskiego Teatru Współczesnego Maciej Englert złożył oświadczenie, w którym stwierdził, iż była ona prawnie zastrzeżona dla teatru, którym kieruje.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Turku (województwo konińskie) **czynna jest do 31 sierpnia br. wystawa pn. „Współczesny ekslibris polski".**

Na wystawie prezentowane są prace współczesnych polskich grafików **(z kolekcji Józefa Tadeusza Czosnyki z Wojcieszowa).**

ANDRZEJ WAJDA został **jednym z trzech laureatów Nagrody Kyoto,** przyznawanej w Japonii za wkład w rozwój światowej nauki i sztuki.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

(3)

W Komisariacie wiedziano o rozmowie Marka Aleksandrowicza ze Stalinem i ci, do których to należało, przygotowywali już projekt decyzji Biura Politycznego. Na wieczór i na noc zostali w pracy wszyscy mogący się przydać; pracownicy departamentów, maszynistki, dyżurna bufetowa. Członkowie kolegium, którzy muszą parafować projekt decyzji, zjawią się na pierwsze wezwanie, i rano kurier dostarczy gotowy dokument do KC.

Nikt nie pytał Marka Aleksandrowicza, co powiedział Stalin. Relacja mogłaby coś przeinaczyć. Stalin sam mówi narodowi to co uważa za potrzebne. Mark Aleksandrowicz wyznaczał terminy, obiekty — i to było wolą Stalina.

Najważniejsze, że termin zakończenia budowy drugiego wydziału przesunięto o rok. Zapowiadało to nowe, realistyczne podejście do koncepcji planu drugiej pięciolatki: stal — podstawą wszystkiego.

Budiagin również zajmował się projektem decyzji, potem wyjechał, wrócił o ósmej rano, i bez słowa złożył swój podpis pod dokumentem.

Przyjaźń z Markiem Aleksandrowiczem dawała Budiaginowi prawo do pytań o rozmowę. Budiagin o nic jednak nie pytał. Mark Aleksandrowicz wyczuwał w nim opozycję wobec Stalina. Nie dopuszczał jednak myśli, że mogłaby to być opozycja polityczna. Raczej coś osobistego, jak to bywa między przyjaciółmi, kiedy przyjaźń się kończy. Może uraza, że odwołano go zza granicy i wyznaczono na stanowisko wprawdzie wysokie, lecz drugoplanowe, kto wie, czy nie prowadzące do stanowiska jeszcze niższego.

Przyjechał Ordżonikidze. Przy nim Mark Aleksandrowicz czuł się zupełnie swobodnie. Ordżonikidze mógł wybuchnąć, w gniewie wydawał się straszny, ale wszyscy znali jego wyrozumiały i bardzo ludzki stosunek do innych. To jemu Mark Aleksandrowicz zawdzięczał swoją karierę: z dyrektora niewielkiego zakładu na południu Sergo awansował go na obecne wysokie stanowisko, uczynił Marka pierwszym metalurgiem w kraju. Sergo umiał wyszukiwać ludzi, bronił ich, stwarzał możliwość działania.

Siedział teraz za ogromnym biurkiem — zmęczony człowiek z mięsistym orlim nosem pośrodku obrzmiałej twarzy, z posiwiałą czupryną i gęstymi, nierówno zwisającymi wąsami. Spod rozpiętego munduru wystawała liliowa koszula, jej kołnierzyk miękko przylegał do grubej szyi. Okna gabinetu wychodziły na wąski zaułek, na maleńką cerkiewkę, jakich wiele było w dawnym moskiewskim podgrodziu między Jauzą, Solanką i rzeką Moskwą. Cerkiewka musiała mieć w sobie coś szczególnego, skoro zachowano ją, nie starto z powierzchni ziemi.

— Zuch!

Pochwała dotyczyła projektu decyzji Biura Politycznego i tego, że Mark Aleksandrowicz nie stracił zimnej krwi w obecności Stalina, że spodobał mu się. Pochwała odnosiła się też do niego, do samego Sergo — dobrał właściwego człowieka, w ogóle umie dobierać ludzi, na których można polegać w trudnych i odpowiedzialnych sytuacjach.

— Opowiadaj!

Mark Aleksandrowicz opowiedział. Ordżonikidze słuchał go w napięciu, starając się wychwycić prawdziwy sens każdego słowa Stalina.

W miarę upływu czasu spotkanie ze Stalinem nabierało w pamięci Marka Aleksandrowicza coraz większej doniosłości. Takie spotkania zdarzają się raz w życiu. Najważniejsze było radosne uczucie rozumienia wielkiego człowieka, opromieniającego epokę blaskiem swojego geniuszu.

— Nie jestem technicznym awanturnikiem... Tak powiedziałeś? — ze śmiechem powtarzał Ordżonikidze.

— Tak powiedziałem.

— A więc KC — to techniczni awanturnicy? — dopytywał się Ordżonikidze.

— Tak spytał.

Ordżonikidze zagadkowo przyjrzał się Markowi dużymi, brązowymi, wypukłymi oczami.

— Do KC przyjedziesz o dziesiątej. Referat na pięć minut, więcej czasu ci nie dadzą, pamiętaj o tym. Nie agituj za władzą radziecką, mów konkretnie czego ci trzeba. Na pytania odpowiadaj, nie polemizuj. Nie denerwuj się, masz mnie za plecami.

Na stole w sali dla oczekujących kipiał duży samowar, stały talerze z plasterkami cytryny, z kanapkami, butelki wody mineralnej. Bufetowego ani kelnerów nie było. Miejsce pod ścianami zajmowały stoliki — tam referujący przygotowywali się do wystąpień.

Na wezwanie oczekiwali sekretarze komitetów obwodowych, komisarze ludowi, ich zastępcy i naczelnicy departamentów, kilku wojskowych i spora grupa z Kaukazu.

Niemłoda już sekretarka wzywała: „Towarzysz taki a taki... proszony jest na posiedzenie".

Jeżeli wzywano kilka osób, mówiła: „Towarzysze z obwodu takiego i takiego" lub: „towarzysze z komisariatu takiego i takiego".

Marka Aleksandrowicza wywołała po nazwisku.

Przez sekretariat przeszedł do sali posiedzeń, zobaczył rzędy foteli i ludzi w fotelach. Za stołem prezydialnym stał Mołotow. Po jego prawej stronie wznosiła się mównica, z lewej, nieco z tyłu, siedział referujący, a jeszcze dalej — stenografistki.

— Towarzyszu, proszę tutaj!

Mołotow wskazał mównicę. Po jej wewnętrznej stronie świeciła tabliczka „Referujący — pięć minut!" Na wprost mównicy, nad drzwiami, wisiał zegar — czarny ze złotymi wskazówkami, podobny do zegarów kremlowskich.

Stalin siedział w trzecim rzędzie. Fotele po jego lewej stronie były wolne, żeby Stalin mógł swobodnie wyjść. Mark Aleksandrowicz słyszał o jego zwyczaju przechadzania się po gabinecie. Ale tak jak i dwa dni temu Stalin nie wstawał i nie przechadzał się.

Mark Aleksandrowicz krótko skomentował projekt decyzji. Mówił zwięzłym, niemal technicznym językiem, brzmiącym przekonywająco dla ludzi nawykłych do języka politycznego. Podkreślił znaczenie przedterminowego oddania do użytku czwartego pieca, i jakby mimochodem napomknął o zwłoce w uruchomieniu drugiego wydziału martenów. Ta druga sprawa była ważniejsza, ale tu, teraz, należało podkreślić właśnie to, co podkreślił Mark Aleksandrowicz.

— Są pytania? — spytał Mołotow.

Ktoś zauważył, że w projekcie decyzji, w punkcie mówiącym o dostawach drewna brakuje parafy ludowego komisariatu leśnictwa.

Mark Aleksandrowicz nie zdążył odpowiedzieć. Nagle nastała cisza, i w ciszy tej Mark Aleksandrowicz usłyszał głos Stalina:

— Niech towarzysz Riazanow wraca do kombinatu i produkuje stal. Byłoby rzeczą nieprawidłową zatrzymywać towarzysza Riazanowa z powodu jakichś papierków...

Mówił nie tylko bardzo cicho, ale i odwracając głowę, co zmuszało wszystkich do wytężenia całej uwagi i słuchu.

...Myślę, że zdołamy uzyskać parafę i bez towarzysza Riazanowa. Decyzja jest przemyślana, nie ma żadnych niejasności, i jesteśmy w stanie pomóc towarzyszowi Riazanowowi w wykonaniu zadań, jakie powierzyła mu Partia.

Umilkł równie nieoczekiwanie jak się odezwał.

Więcej pytań nie było.

(...)

Siódmego listopada na rogu Twerskiej i Wielkiej Gruzińskiej Sasza czekał na kolumnę Instytutu.

Kolumny poruszały się powoli. Nad pochodem kołysały się sztandary, transparenty, portrety... Stalin... Stalin... Stalin... Zafrasowani starsi mężczyźni, dęli w trąby, ludzie w kolumnach śpiewali niesk adnymi głosami, tańczyli na asfalcie. Z megafonów niosły się dźwięki i szumy Placu Czerwonego, głosy sprawozdawców radiowych, pozdrowienia z trybuny na Mauzoleum, entuzjastyczny ryk przechodzących przez Plac manifestantów.

Kolumna Instytutu pokazała się około drugiej i od razu stanęła. Szeregi rozsypały się. Przeciskając się przez tłum Sasza podszedł do swojej grupy. Natychmiast poczuł na sobie nieufne i pełne ciekawości spojrzenia: tak patrzy się na człowieka, którego spotkało nieszczęście. Nie, to nie z powodu egzekutywy. To coś innego.

Nikt jednak nic Saszy nie mówił i nikt go o nic nie pytał. Tylko Runoczkin, przyjaciel, chciał chyba coś powiedzieć, ale nie mógł odejść od transparentu, który niósł.

— Równaj, równaj! — nawoływali porządkowi.

Szeregi były policzone, Sasza dołączył do końca kolumny, do studentów z innych kierunków. Z daleka widział sztandar swojego wydziału oraz transparent, niesiony przez Runoczkina i jeszcze jednego chłopaka. Pokonując opór wiatru transparent rozwinął się, pochylił do tyłu, płótno zmarszczyło się, potem napięło. Kolumna ruszyła.

Przed Placem Triumfalnym zatrzymała się ponownie. Sasza podszedł do swojej grupy. Runoczkin zrobił krok ku niemu.

— Zdjęli gazetkę.

Mały, garbaty Runoczkin miał lekkiego zeza, toteż mówiąc odwracał i nieco pochylał głowę.

Zdjęli gazetkę! Dlaczego? Tego jeszcze nie było.

— Kto zdjął?

— Baulin. Przez te epigramaty. Szkalowanie idei przodownictwa pracy.

Redaktorem gazetki był Runoczkin, ale pomysł napisania epigramatów należał do Saszy. Sam zresztą ułożył jeden, ten na starostę grupy, Kowalewa: „Wysiłek, trud — dziś praca w modzie, a tu oryginał nam rozkwita, notatki gubi, jak w pochodzie, i wszystko wie, choć nic nie czytał". Pozostałe trzy napisała Roza Połużan. Na Borkę Niesitierowa: „Porcyjka ryżu, kotlet schabowy, na grób Borysa pomnik gotowy", na Pietkę Puzanowa — lubi sobie pospać, na Prichodko — kombinuje w czasie jazd praktycznych i jeździ najwięcej ze wszystkich. Żadne arcydzieła, nawet niezbyt zabawne, ale całkiem niewinne. „Szkalowanie przodownictwa"?!

— Co za szkalowanie?

Runoczkin pochylił głowę.

— Epigramaty. Dlaczego TYLKO na przodowników? Mówię, że zamieściliśmy zdjęcia TYLKO przodowników, więc wierszyki też tylko na nich. A dlaczego nie ma artykułu wstępnego?

To też był pomysł Saszy. Po co powtarzać to wszystko, co i tak będzie w innych gazetach? Trzeba wypuścić numer wesoły, naprawdę świąteczny, żeby dał się czytać, a nie wisiał smętnie w korytarzu. Wszyscy się wtedy z tym zgodzili. Tylko ostrożna Roza Połużan znacząco popatrzyła na Saszę.

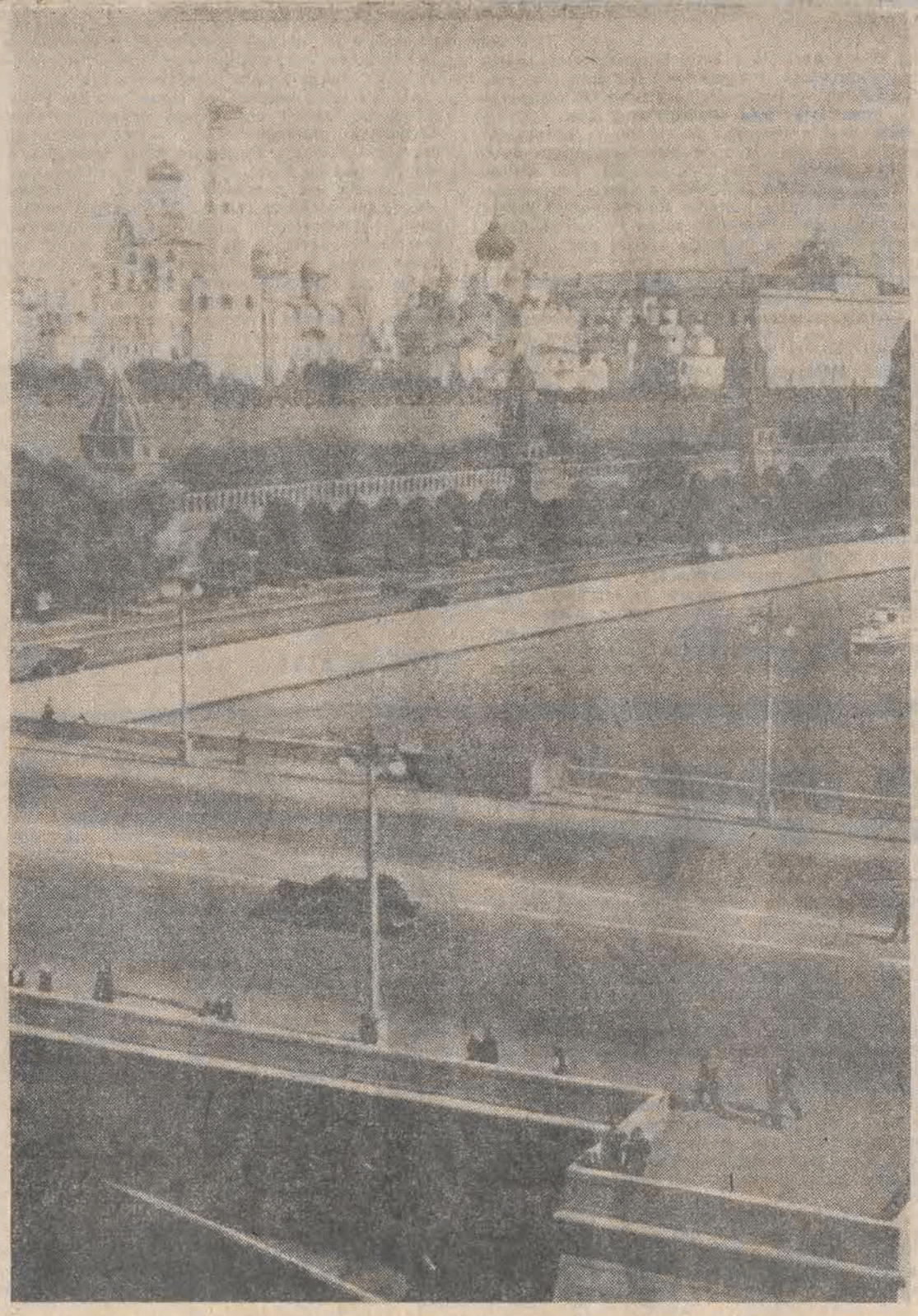

— Lepiej napisz wstępniak i podpisz go.

— Azizjana się boisz?

Tak właśnie odpowiedział wtedy Rozie. No i proszę, co z tego wyszło. Jeszcze nie skończyła się historia z Azizjanem, a już jest coś nowego. Dobra, damy jakoś radę!

Koło Placu Strastnego kolumna znów się zatrzymała. Stąd pójdą już bez przeszkód, porządkowi starannie sprawdzali, czy w szeregi nie wmieszał się ktoś obcy, poprawiali krycie i równanie, by wejście na Plac Czerwony odbyło się sprawnie i bez zamieszania.

Do grupy podeszli Baulin i Łozgaczew. Na rękawie Łozgaczewa widniała czerwona opaska kierownika kolumny.

— Cóż to, Pankratow, — Baulin surowo patrzył na Saszę, — udział w manifestacji uważasz za rzecz niepotrzebną?

Baulin nie miał racji. Ci, którzy mieszkali na mieście, zawsze dołączali do kolumny po drodze. Baulin nie mógł wiedzieć, kto z tysiąca studentów przyjechał na zbiórkę do Instytutu, a kto doszedł później. I zainteresował się akurat Saszą, sprawdził, podszedł, publicznie ogłosił jego przewinienie: Niesprawiedliwość upokarzająca tym bardziej, że Baulin jest pewien swego zwycięstwa: tu, na oczach wszystkich, Sasza nie odważy się zaprotestować.

A dlaczego by nie?

— Jestem na manifestacji i mam wrażenie, że mnie widzicie. Naprawdę nie jestemu ha — lu — cy — na — cją — odpowiedział Sasza z tą myląca przeciwnika uprzejmością, z jaką inteligentni chłopcy z Arbatu rozmawiają przed rozróbą.

— Uważaj, bo się dolgrasz — powiedział tylko Baulin.

I nie czekając na odpowiedź poszedł dalej.

Opływając dwoma strumieniami budynek Muzeum Historycznego kolumny wlewały się na Plac Czerwony, wyrównywały szyki, przyspieszały kroku, i prawie biegiem sunęły między gęstymi kordonami żołnierzy.

Kolumna Saszy przechodziła bardzo blisko Mauzoleum. Na trybunach stali jacyś ludzie, attachés wojskowi w operetkowych mundurach, nikt jednak na nich nie patrzył, wszystkie spojrzenia skierowane były na Mauzoleum, wszystkich niepokoiła jedna myśl: czy Stalin tu jest, czy go zobaczą?

I zobaczyli go. Twarz z czarnymi wąsami, znajoma z niezliczonych portretów i pomników. Stał bez ruchu, w nisko nasuniętej czapce z daszkiem.

Ryk narastał. Stalin! Stalin! Sasza tak jak wszyscy szedł nie odrywając od niego wzroku, i też krzyczał: Stalin! Stalin! Po minięciu trybuny ludzie wciąż odwracali głowy, oglądali się, ale żołnierze ponaglali ich — nie zatrzymywać się! Szybciej! Szybciej!

Koło cerkwi Wasyla Błażennego kolumny rozsypywały się, bezładny tłum spływał ku rzece, na most, zapełniał nadbrzeżne bulwary. Na ciężarówki ładowano bębny, trąby, sztandary, plakaty i transparenty. Wszyscy spieszyli się do domów, zmęczeni, głodni, biegli ku Kamiennemu Mostowi, ku Bramie Prieczistienskiej, do tramwajów.

W tej samej chwili ryk na Placu Czerwonym osiągnął swoje apogeum, jak grom zwalił się na bulwary — Stalin podniósł rękę i pozdrowił gestem manifestantów.

Po świętach w trybie pilnym zwołano zebranie egzekutywy aktywu. Zebranie odbyło się w małej auli. Na trybunie stał Łozgaczew, przeglądał papiery.

— Na wydziale — powiedział — miały miejsce dwa wystąpienia antypartyjne. Pierwsze to atak Pankratowa na marksistowskie ujęcie ekonomiki, drugie — wywieszenie przez tegoż Pankratowa gazety ściennej. Wspólnikami Pankratowa okazali się komsomolcy: Runoczkin, Połużan, Kowalew i Pozdniakowa. Komuniści i komsomolcy grupy nie dali im odporu. Świadczy to o osłabieniu czujności politycznej.

— W świątecznym numerze gazety — kontynuował Łozgaczew — nie ma artykułu wstępnego o 16 rocznicy Października, ani razu nie wymienia się tam nazwiska towarzysza Stalina, zdjęcia przodowników opatrzono złośliwymi, oszczerczymi wierszykami. Oto jeden z nich, napisany zresztą przez samego Pankratowa: „Wysiłek, trud — dziś praca w modzie, a tu oryginał nam rozkwita, notatki gubi jak w pochodzie, i wszystko wie, choć nic nie czytał". Co to znaczy „praca w modzie"? Dzięki pracy naszego narodu, naszych ludzi, powstają podwaliny socjalizmu, praca jest dla nas sprawą honoru. A dla Pankratowa to tylko kolejna „moda". Tak napisać mógł tylko oszczerca pragnący oczernić naszych ludzi. A przecież na poprzednim zebraniu niektórzy usiłowali wybielić Azizjana, obrona Kriworuczki — to przypadek!

— Co to za „niektórzy"? — spytał Baulin, choć tak jak wszyscy doskonale wiedział o kogo chodzi.

— Mam na myśli dziekana wydziału, Jansona. Jestem zdania, że nie powinien uniknąć odpowiedzialności.

— Nie uniknie — zapewnił Baulin.

— Towarzysz Janson — ciągnął dalej Łozgaczew — stworzył na wydziale atmosferę pobłażania, bezkarności, i tym samym zachęcił Pankratowa do uprawiania politycznej dywersji.

— Hańba! — krzyknął Karlew, student czwartego roku, przystojny, znany w całym Instytucie demagog i lizus.

— Organizacja partyjna Instytutu — zakończył Łozgaczew — zdecydowanie zareagowała na wystąpienie Pankratowa i zdjęła gazetkę. Dowodzi to, że organizacja partyjna jako całość jest zdrowa. Nasza twarda i bezwzględna decyzja potwierdzi to raz jeszcze.

Zebrał kartki i zszedł z trybuny.

— Czy redaktor jest obecny? — spytał Baulin.

Powstało zamieszanie, wszyscy zaczęli rozglądać się za Runoczkinem. Mały, garbaty Runoczkin wszedł na trybunę.

— Opowiedzcie, Runoczkin, jak doprowadziliście się do takiego życia — w głosie Baulina pobrzmiewała jego charakterystyczna złowroga dobroduszność.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

IDZIE NOWE!

Oto już znamy stanowisko Związku Młodzieży Wiejskiej w sprawie dostępu młodzieży wiejskiej na wyższe uczelnie. Z pełnym napięcia niepokojem oczekiwaliśmy prezentacji tegoż. Wprawdzie zdrowy trzon młodzieży innej nieśmiało podejrzewał, że stanowisko związku (cytowanego wyżej z nazwy) będzie takie jakie jest, ale od nieśmiałych podejrzeń do śmiałych stwierdzeń droga okazała się bliższa niż ze wsi na uczelnie. Oni są za: utrzymaniem punktacji preferującej młodzież wiejską i przeciwko jej (rzeczonej punktacji) zniesieniu.

Krajowa Rada Akademicka ZMW wydaje biuletyn informacyjny o nazwie „Pretekst" i w numerze 1/2 '87 opublikowane zostało owo stanowisko. Tuż obok zamieszczono przedruk z „Chłopskiego Sztandaru" z 6.XII.1936 r. wypowiedzi Wincentego Witosa „Sprawa Chłopska". Podeprę się cytatem z tegoż artykułu: „Przede wszystkim trzeba pogodzić się z tym faktem, że dzisiejsza wieś polska to już wcale inne, niepodobna do dawnej, ciemnej i spokojnej, zastraszonej i nieporadnej".

I cytacik ze wspomnianego stanowiska związku: „Młodzież wiejska spędza dzieciństwo w izolacji od najnowszych osiągnięć cywilizacji, w środowisku, gdzie kulturę tworzy jedynie telewizor. Rodzice nie są w stanie rozbudzić aspiracji oświatowych ani też pomagać w nauce".

Od razu widać, że odcięliśmy się jednoznacznie od sanacyjnego spojrzenia na wieś polską i sytuację chłopa! Już na pierwszy rzut oka widać, że współczesna wieś polska to nie to co tamta — jest przecież telewizor!

Jednak nie wolno myśleć, że ZMW tylko prześliznął się po zagadnieniu lub potraktował je hasłowo. Nic podobnego! Obok jasno (chociaż w szarych, a nawet ciemnych barwach), szczerze i otwarcie zarysowanej sytuacji dziecka wiejskiego od kolebki, ciężkiej pracy i telewizora poprzez stłamszony rozwój młodych chętnych, a skończywszy na 8-proc. udziale studentów ze wsi. Związek przedstawia głębokie propozycje reform. W tej liczbie: absolutne preferencje dla kandydatów pochodzenia wiejskiego przy egzaminach na Akademie Rolnicze i Wyższe Szkoły Pedagogiczne, system punktów kompensacyjnych na inne uczelnie oraz rok „0" na wybranych uczelniach. Poziom egzaminów wstępnych na Akademie Rolnicze i WSP winien być dostosowany do przeciętnego poziomu nauczania w szkole wiejskiej.

Żeby nie myśleć, że związek tylko chce brać, śpieszę donieść, że tenże zadeklarował zintensyfikowanie działań w ramach pracy organicznej i pracy u podstaw w środowisku wiejskim. Szczegóły proponowanej koncepcji utrzymane są w tej samej radosnej i odkrywczej tonacji i zmierzają jednoznacznie i konsekwentnie w kierunku podniesienia poziomu szkolnictwa wyższego w ogóle, zaś poziomu polskiej tzw. inteligencji w szczególe.

Temat obniżania się kwalifikacji nauczycieli i ogólnego poziomu kształcenia na wszystkich szczeblach jest aktualny jak nigdy dotąd. Wszyscy decydenci (ładne słowo, chyba miejskie) w tej materii prześcigają się w propozycjach rozwiązań tego problemu czy to w sferze płac, czy pewnych przywilejów prawnych, socjalnych, kulturalnych, a nawet prestiżowych. Wszystko po to, aby zachęcić bardzo zdolnych młodych ludzi do podejmowania studiów pedagogicznych, gdyż tylko to może dać gwarancję należytego przygotowania przyszłych wychowawców młodzieży i wysokiego poziomu przekazywanej wiedzy.

A tu, proszę, jaskółka czyniąca wiosnę w myśleniu: obniżyć poziom egzaminów warunkujących przyjęcie na studia pedagogiczne! Tak jest! Będzie to z pewnością najlepsza rękojmia właściwego doboru kadry nauczycielskiej oraz zawodowego przygotowania absolwentów pod względem merytorycznym, dydaktycznym i kulturowym! Czy należy przez to rozumieć, w myśl intencji autorów pomysłu, że inteligent wiejski ma być na poziomie „miejskiego" absolwenta zawodówki? Jeśli to jest wyrównywanie szans, to mam tylko jedno pytanie: czyich?

Czy naprawdę zależeć nam powinno tylko na posiadaniu ludzi z wyższym wykształceniem, gdzie samo posiadanie „glejtu na mądrość" w postaci dyplomu wyższej uczelni, kwalifikowałoby jego posiadacza do tej grupy społecznej, którą autorzy stanowiska tak sobie cenią? Przez 4 czy 5 lat studiów nie odrobi się braków z poprzednich lat nauczania i nie ulegnie niwelacji różnica w poziomie wiedzy wyniesionej z różnych szkół średnich. Po ukończeniu studiów będzie to taki sam człowiek, ze wszystkimi swoimi słabościami, sposobem myślenia i mechanizmami, działania, jak przed ich ukończeniem. Będzie posiadał tylko wiedzę specjalistyczną i dyplom na jej potwierdzenie. A jak praktycznie upewnić się czy rozbudzony intelektualnie absolwent nie zechce zostać w mieście? Cyrograf podpisany własną krwią i potem, po odbyciu postulowanej półrocznej praktyki w produkcji rolniczej, wystarczy?

Zwiększenie udziału młodzieży wiejskiej w ilości ogółu studentów, a także renesans wsi polskiej nie dokona się przez utrzymanie systemu preferencyjnej rekrutacji tej młodzieży na wyższe uczelnie. Muszą się dokonać znacznie głębsze przemiany, o czym, powołujący się na liczne badania naukowe i wyniki statystyczne, autorzy stanowiska powinni wiedzieć. Przemiany powinny sięgać prób zmiany sposobu myślenia, systemu motywacji do nauki, oświaty podstawowej... Sztuczna produkcja magistrów ze środowiska wiejskiego pogłębi tylko frustrację i rozczarowanie wszystkich grup społecznych, a problemu nie rozwiąże.

BARBARA KEMPA

I DOBRZE IM SIĘ WIEDZIE

Wyrosły w biedzie, w krzywdzie i w trudzie pod ciężarem ogromu niesprawiedliwości i moralnych zbrodni, doświadczanych przez lata, napisałem w 1938 roku książkę pod tytułem „Bracia", traktującą o życiu bezrobotnych nauczycieli, których los wtedy również sam podzieliłem.

Przywoływanie mojego stanowiska i moich refleksji z tamtych lat powodują sytuacje w życiu aktualnym, sytuacje, które nie tylko we mnie budzą głęboki niepokój. Jedną z nich, dotkliwą dla społeczeństwa, ropiejącą na jego ciele, opisał w „Chłopskiej Drodze" Julian Kawalec. Człowiek o wielkiej pracowitości, o wielkim i jakże mocno zasłużonym autorytecie pisarskim, występuje przeciw kpiącym z pracy nierobom, spryciarzom, udawaczom, spekulantom i potępia postawy krwiopijców — hien i szakali w ludzkim ciele.

To ci, którzy żyją ze spekulacji, którzy włamują się do mieszkań, którzy kradną.

Żyję ponoć w gąszczu życia. Znam więc wielu uczciwych, pracowitych ludzi, dźwigających ojczyznę ku lepszemu i znam sporo nazwanych przez Juliana Kawalca typów, którym — jeno kozik do ręki...

Niepokoi mnie i boli, że się te bestie „króliczo rozmnażają" i że u pewnej części polskiej społeczność złodzieje, łapówkarze i oszuści zyskują przebaczenie, więcej — zyskują aprobatę — ba... nawet uznanie, jako „umiejący sobie radzić".

To kombinatorzy, ludzie którzy nie orzą i nie sieją, a zbierają. I dobrze im się wiedzie.

Nie popełnię pomyłki, ani krzywdy nie zrobię nikomu, kiedy do nich zaliczę i tych, którzy z tytułu swego zawodu, prowadzonego przedsiębiorstwa czy zajęcia proponują społeczności, w której żyją, wyroby swej pracy i ustalają nader wysokie ceny.

Jedną z najpowszechniejszych i najdotkliwszych plag, której już wiele uwagi przeznaczyły środki masowej informacji, jest różnorodność cen za niektóre produkty i usługi.

Za te same owoce, warzywa, kwiaty ich sprzedawcy wyznaczają kupującym trzykrotnie, pięciokrotnie różne ceny i to z dnia na dzień rosnące.

Za te same usługi elektrotechniczne, hydrauliczne czy mechaniczne wykonawcy żądają zawrotnych sum, przy czym różni różnych za te same czynności.

Ceny są przerażająco wysokie. Nierzadko sięgają wielokrotnej rzeczywistości wartości produktu czy usługi. Spekulanci działają w sposób szczególnie perfidny, na wielką skalę.

W ostatnim czasie środki masowego przekazu częściej i śmielej ostrzegają przed współdziałaniem z bezwzględnymi „przedsiębiorcami", których bogactwo rośnie z potu ludzi pracy, niejako otwierają oczy nie naiwnym, bo przecież potrzebującym, ale oszukanym — i aby skuteczniej plenić spekulacyjne przestępstwa, a zwiększać szanse nabycia potrzebnych towarów wzywają do zwiększenia wysiłku w produkcji i jej samej, do szybszego nasycenia rynku wytworami pracy.

Opisywany problem dręczył niedawno kilku, będących w latach pasażerów pociągu na trasie Łódź — Warszawa. Rozmawiali o potrzebie zwalczania trutniów i opryszków. Słuchając czułem, że pragnęli jak najskuteczniej przeciwdziałać złodziejskim poczynaniom. Starali się sięgać do źródeł, które zrodziły określone postawy.

Pasażerowie mówili: — Za często i zbyt uproszczenie, niwecząc ideę społecznego działania, głosiliśmy, że socjalizm za wszystko dobrze płaci. — Ustaliliśmy normy pracy nie według ludzkich możliwości, lecz według założenia, by wszyscy byli zatrudnieni. — Nader często głosiliśmy młodzieży o jej prawach, a mniej lub wcale o obowiązkach. — Przywiązywaliśmy wagę do przekonań, ideologii, nie wymagając walorów charakteru — etyki, moralności. Uczyliśmy a nie wychowywaliśmy.

Nie ze wszystkimi mogłem się zgodzić, ale tak mi to pasowało do wspomnianych wyżej nawoływań środków masowego przekazu do zwiększania wysiłku w produkcji, do przysparzania dóbr dla kraju, że zamknąwszy stwierdzenia współjadących klamrą z „Homo sapiens" Jerzego Głuszka:

„Szedł człowiek drogami wieków
I uczył się tylko umieć,
Ale zupełnie zapomniał,
Że trzeba także rozumieć"

— złączyłem je z wezwaniami o zwiększenie ludzkiego trudu i na przykładach z przeszłości rozwinąłem gloryfikację pracy jako wartości największej, dobra ludzi i kraju pomnażającej.

Sięgnąłem i do Tadeusza Kotarbińskiego, do jego stwierdzenia z 1918 roku: — „Zorganizowana społecznie praca, wytwarzająca dobra materialne i duchowe musi stać się czymś głównym u nas, jeśli mamy dotrzymać kroku w uniwersalnym współzawodnictwie ludów o pierwsze pozycje w dzielności".

— O, jakże to odległe od obserwowanych dziś postaw — wyrzekł ze smutkiem jeden z rozmówców.

— Ale wizja autora „Traktatu o dobrej robocie" i dziś śni się tysiącom jego rodaków — postawiłem stanowczo. — Więcej. Jest przez nich wcielana w życie.

— I słusznie. Oby szła w miliony — dołączył się inny z cichym pragnieniem i ukontentowaniem.

WŁADYSŁAW STRZELECKI

RADOŚĆ MAŁYCH ZGIERZAN

Z okazji Dna Dziecka, Dni Zgierza i święta hufca ZHP Zgierz-Miasto im. Ludowego Wojska Polskiego harcerze zgierscy zorganizowali dla dzieci tego miasta wielki festyn młodzieżowy. Na kortach tenisowych w osiedlu im. 650-lecia rozpięto różnobarwne namioty, w których zorganizowano ciekawe i różnorodne punkty zabaw, imprez i konkursów. W jednym z namiotów, gdzie wyświetlano filmy wideo pracowało pięć komputerów. Dwa z nich były własnością hufca, zaś trzy pozostałe stanowiły sprzęt Spółdzielczego Domu Kultury „SEM". W innych namiotach umieszczono harcerską loterię fantową oraz Kiermasz Centralnej Składnicy Harcerskiej. Punkt sprzedaży napojów chłodzących prowadziła 13 Zgierska Drużyna Harcerska. Zorganizowano też wystawę sprzętu komputerowego, dorobku drużyn Harcerskiej Służby Informacyjnej i drużyny techniczno-obronnej działającej przy Komendzie Hufca.

Zorganizowano też kiermasz książek używanych, na którym za jedyne 30 zł sprzedawano książki Lema, Sienkiewicza i innych autorów, których dzieła zaliczone zostały do lektury szkolnej. Był to dar Miejskiej Biblioteki Publicznej. Dochód z tego kiermaszu przeznaczono na Narodowy Fundusz Kultury.

Do festynu włączyła się także zgierska straż pożarna organizując pokaz nowoczesnego sprzętu gaśniczego, a m. in. agregat pianotwórczy, drabinę wysokościową sięgającą do wysokości 20 piętra, na której jeden ze strażaków dokonywał cudów zręczności w posługiwaniu się siekierką. Pokazano też pracę działek wodnych.

Z Akademickiego Ośrodka Sportów Jeździeckich w Ludmierzu sprowadzono kucyki, na których bezpłatnie jeździła dziatwa biorąca udział w festynie.

Zorganizowano także błyskawiczny konkurs na piosenkę dla dzieci w wieku 5—10 lat, przy czym wszyscy biorący udział w tym konkursie otrzymali nagrody w postaci słodyczy.

Z zabaw i turniejów sportowych należy wymienić wyścigi rowerowe „kto wolniej", kopanie piłki do celu, rzut piłką lekarską, slalom rowerowy, podbijanie piłki i zabawy ze skakanką.

Zainicjowano także zbiórkę zabawek dla dzieci z Państwowego Domu Dziecka w Dąbrówce k. Zgierza. Dzieci znosiły do punktu zbornego całkiem nowe zabawki, m. in. misie, kotki, gry, skakanki, składanki, samochodziki, piłki, drewniane i pluszowe maskotki. Każdy z młodocianych ofiarodawców otrzymał w nagrodę ciastko. Był to bezpłatny dar cukiernika zgierskiego Ludwika Łopacińskiego.

Jednocześnie retmanat hufca Zgierz-Miasto zorganizował „Dzień Dziecka nad wodą". Był to cykl imprez nad stawami na Krzywiu, które zorganizowane zostały przy współudziale Koła Zgierskiego Polskiego Związku Wędkarskiego. Harcerze wodniacy wędrowali brzegiem rzeki Bzury aż do stawu miejskiego w Zgierzu, gdzie miejscowe dzieci miały możność bezpłatnej przejażdżki kajakami po stawie.

MIECZYSŁAW KOZAK

INFORMUJEMY

KONKURS NA SCENARIUSZ PN. „AKTUALNY TEMAT"

Organizatorzy: Wojewódzki Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi oraz Centrum Informacji Kulturalnej ogłaszają konkurs zamknięty na scenariusz a) filmu krótkometrażowego — do 15 min., b) słuchowiska radiowego — do 25 min., c) krótkiej formy filmowej techniką wideo — do 3 min., ukierunkowany tematycznie na przeciwdziałanie alkoholizmowi i jego skutkom.

Konkurs adresowany jest wyłącznie do twórców zawodowych.

Celem konkursu jest zarówno inspirowanie scenarzystów do przełamania skostniałej i sloganowej sztampy haseł i programów antyalkoholowych jak i ważkość samego zagadnienia jednej z dziedzin patologii społecznej.

Treść i forma przekazu nadesłanych prac winny być zdeterminowane w swym przesłaniu znajomością percepcji widza (słuchacza).

Uczestnicy konkursu mogą przysyłać dowolną liczbę prac. Prace winny być przedstawione w maszynopisie.

Nadesłane prace nie były przedmiotem rozważań komisji konkursowych, kolegiów redakcyjnych i komisji wydawniczych.

Nadsyłane prace winny znajdować się w opakowaniach nadających się do przesyłki zwrotnej.

Autorzy do każdej pracy dołączają kopertę opatrzoną godłem, w której zamieszczają dane osobowe.

Prace należy przesyłać pod adresem: **Centrum Informacji Kulturalnej, 90-425 Łódź, ul. Piotrkowska 99, skr. poczt. nr 306.** z dopiskiem na kopercie: **Konkurs — „Aktualny temat"**.

Organizatorzy przewidują przyznanie następujących nagród:

— w dziedzinie filmu krótkometrażowego: nagroda I — 60 tys. zł, II — 40 tys. zł, III — 20 tys. zł

— w dziedzinie słuchowiska radiowego: nagroda I — 50 tys. zł, II — 30 tys. zł, III — 20 tys. zł.

— w dziedzinie wstawki filmowej nagroda I — 25 tys. zł, II — 15 tys. zł, III — 10 tys. zł.

Jury konkursu zastrzega sobie prawo indywidualnego podziału ww. kwot.

Jury składać się będzie z przedstawicieli organizatorów konkursu w liczbie 5 osób. Członkowie jury nie będą uczestnikami konkursu. Jury obradować będzie kolegialnie w terminie dwu tygodni od upływu daty nadesłania prac konkursowych. Wyniki konkursu i nazwiska laureatów będą podane do publicznej wiadomości. Każdy z autorów nadesłanych prac będzie pisemnie powiadomiony o rezultatach konkursu.

Organizatorzy zobowiązują się do traktowania z należną dbałością nadesłanych prac i odesłania ich autorom, o ile ci wyrażą takie życzenie.

Organizatorzy będą zobowiązani do popierania realizacji nagrodzonych prac.

Nadesłanie pracy będzie równoznaczne z przyjęciem przez autora warunków konkursu.

Termin nadsyłania prac konkursowych — **15 września 1987 roku.** Ogłoszenie wyników konkursu do **5 października 1987 r.**

ALMANACH MŁODYCH 1986—87

Wydawnictwo Książkowe MAW uprzejmie informuje młodych twórców (poetów, prozaików), którzy nie debiutowali jeszcze samodzielną książką, o podjęcie z myślą o nich nowej inicjatywie wydawniczej — Almanachu Młodych. Almanach ma charakter wydawnictwa cyklicznego — kolejne tomy ukazywać się będą co dwa lata.

Pierwszy tom — „Almanch Młodych 1986—87" — zawierał będzie m. in. wybory tekstów laureatów konkursów zorganizowanych przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą w 1986 roku. Prezentowane będą także teksty autorów, których książki aktualnie są przygotowywane przez MAW oraz te spośród tekstów nadesłanych, które mają charakter oryginalnych artystycznie propozycji i mogą się okazać zapowiedzią przyszłych debiutów książkowych ich autorów. Teksty poprzedzają komentarze krytyczne, które, mamy nadzieję, staną się cenną pomocą warsztatową dla młodych i początkujących autorów. Książka będzie ilustrowana reprodukcjami prac młodych plastyków.

Prosimy zainteresowanych autorów o nadsyłanie tekstów (wierszy, opowiadań, fragmentów powieści) w terminie przedłużonym do 15.09.1987 roku. W przypadku prozy objętość tekstu nie powinna przekraczać jednego arkusza autorskiego (ok. 22 stron); w przypadku poezji — dziesięciu utworów. Do tekstów powinna być dołączona nota biograficzna.

Nasz adres: Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Redakcja Wydawnicza Młodego Ruchu Artystycznego i Debiutów (Almanach Młodych), 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53.

STUDIA PODYPLOMOWE UŁ

Podyplomowe Studium Wiedzy o Filmie, Teatrze i Telewizji Uniwersytetu Łódzkiego przyjmuje zgłoszenia na studia podyplomowe w r. ak. 1987/88.

Studia trwają 1 rok, zajęcia odbywają się co 2 tygodnie w niedziele i poniedziałki (trzy zjazdy: niedziela, poniedziałek, wtorek).

Program studium przewiduje m. in. zajęcia z historii i teorii teatru, dramatu, filmu i telewizji programowej, zajęcia warsztatowe oraz projekcje filmowe i spektakle teatralne.

O przyjęcie na studium ubiegać się mogą osoby, które posiadają dyplom ukończenia studiów wyższych, 2-letni staż pracy, zatrudnione w szkolnictwie lub w instytucjach zainteresowanych dokształcaniem swoich pracowników w zakresie problematyki objętej programem studium. W skierowaniu zakład pracy winien zobowiązać się do pokrycia wszystkich kosztów, związanych z kształceniem swego pracownika. Z opłat zwolnieni są nauczyciele.

Zgłoszenia należy kierować pod adresem Podyplomowego Studium Wiedzy o Filmie, Teatrze i Telewizji, 90-436 Łódź, al. Kościuszki 65, tel. 36-83-94, do dnia 15 września 1987 r.

Wymagane dokumenty: podanie, życiorys, protokół kwalifikacyjny, 3 fotografie, poświadczony kwestionariusz osobowy, dyplom ukończenia studiów wyższych, wyciąg z dowodu osobistego.

PRZEPRASZAMY

W dodatku specjalnym do ubiegłego numeru „Odgłosów" — „Na początku była „Prasa" — wkradły się dwa przykre błędy.

Pod karykaturą Tadeusza Lewandowskiego podpis powinien brzmieć: „Tadeusz Lewandowski — dyrektor ŁWP w latach 1968—1974".

Wśród autorów wkładki pominięto autora karykatur. Jest nim Stanisław Ibis-Gratkowski.

Zainteresowanych i Czytelników serdecznie przepraszamy!

REDAKCJA

W tym zawodzie nie ma kryzysu. Najtrudniej w czas się wycofać. Najlepiej wyjść za mąż za obcokrajowca. Dewizowe panie nikomu nie ustąpią miejsca. Trwa walka niemal na śmierć z rodzącą się konkurencją.

„To nie zawód, to powołanie"

ZOFIA KĘDZIORA

I. CÓRKA I MATKA

Boli ją głowa. Niepotrzebnie piła szampana w wannie.

— *Na Tulipana trafiłam! Żebym tak się dała zrobić! Powinnam zainkasować pieniądze z góry. Rano zeszliśmy na dół, na śniadanie. W pewnej chwili przeprosił, powiedział, że idzie zadzwonić i już nie wrócił. Nie dość, że nie dał mi forsy, to jeszcze musiałam zapłacić za śniadanie. Polak, a mogłam iść z Niemcem, byłam głupia!*

Dopiero dwa lata w zawodzie, zdobywa pierwsze szlify. Jest atrakcyjną dziewczyną. Ma bardzo ładne duże oczy i wiele wdzięku. Rozmawiamy przy herbacie.

— Jak wyglądał twój debiut?

— *Fatalnie, jak było już po wszystkim, byłam roztrzęsiona i zdenerwowana, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Potem zastanowiłam się, że jednak są z tego niemałe pieniądze. Miałam 15 tysięcy pensji, a teraz, jak jest dobry miesiąc — to dziesięć razy tyle. To dla mnie nie tak wiele, bo bardzo dużo wydaję na dom, pomagam rodzinie. Właściwie mam stałego partnera, przyjeżdża ze Szwecji co kilka tygodni i on głównie mnie utrzymuje. W miasto idę, jak potrzebuję pieniędzy, ale nie za często, raz na tydzień lub nawet rzadziej.*

— Czy odmawiasz klientowi, który ci się nie podoba?

Zastanawia się: — *Tak.* — mówi to z małym przekonaniem.

— *Wolę bojków. Kto to jest bojek? Klient obcokrajowiec.*

— A polus?

— *Chyba domyślasz się, kto. Wolę więc Niemców lub Szwedów. Są kulturalni, potrafią się elegancko zachować w każdej sytuacji i uszanować dziewczynę. Zresztą oni przepadają za Polkami.*

— Dlaczego taką złą sławą cieszą się Arabowie?

— *Nie wiem, ale żadna szanująca się prostytutka z nimi nie pójdzie. Może dlatego, że żądają różnych obrzydliwych rzeczy. Za Arabami jak welon ciągną się szesnastoletnie siksy, a oni je wykorzystują za kilka dolarów. Pewnie mnie zapytasz, ile biorę od klientów. Nie mam ustalonej stawki, trochę kieruję się intuicją i dobrze na tym wychodzę. Ile Bozia da, to wezmę, ale niżej 35 tysięcy czy 100 marek mi się nie zdarza.*

— Czy to prawda, że musicie płacić podwójne lub potrójne ceny fryzjerce, kosmetyczce czy za ubrania?

— *Ja, jak widzisz, do fryzjera nie chodzę, mam naturalną fryzurę. Kosmetyczce płacę normalnie, a ciuchy kupuję w „Pewexie" lub na bazarze. Oczywiście pewnych ludzi trzeba opłacić, aby trzymali język za zębami. Na przykład dziewczyna jest z klientem u niego w pokoju i kelner przynosi coś zamówionego. Dostaje wtedy 3 lub 4 tysiące więcej.*

— Jaki jest twój stosunek do pornografii?

— *Bardzo negatywny. Jest dobra dla zboczeńców, w życiu to się nie zdarza.*

— Jak scharakteryzowałabyś siebie?

— *Nietrudno mnie wzruszyć, jestem bardzo uczuciowa. Lubię filmy i jak mam wolny czas często chodzę do kina. Podobały mi się „Ptaki ciernistych krzewów", jak Ralf przyjechał do niej na wyspę, to łzy leciały mi jak groch.*

— Gdzie wyjeżdżasz na wakacje?

— *Chciałabym nad morze, ale to bardzo drogo kosztuje. Na wynajęcie mieszkania, jedzenie będę musiała przeznaczyć 100 tysięcy. Potwornie wszystko drożeje. Ale — śmieje się — pojadę ze stówą a wrócę z siedmioma.*

— Jak określiłabyś prawdziwego mężczyznę?

— *To taki, który ma dużo pieniędzy* — znów się śmieje.

— A kobietę?

Zamyśliła się.

— *Może to głupio brzmi w moich ustach, ale kobieta powinna się szanować. Chodzi mi o to, żeby wiedziała, ile jest warta. Poza tym nie powinna doprowadzać się do skrajności.*

Przychodzi do nas jej mama ze swoją herbatą, chce trochę z nami pogadać.

— *Mamy możesz się nie krępować, wszystko wie, zresztą* — dodaje — *sama kiedyś próbowała.*

— *Wycofałam się, bo wyszłam za mąż, trochę chorowałam...*

— Czy są przyjaźnie w tym zawodzie?

— *Raczej nie, jest ostra rywalizacja. Jak dziewczyna widzi, że koleżanka ma klienta, a ona nie, to najchętniej wsadziłaby jej nóż w plecy.*

— Jak nazywasz swoje zajęcie?

— *Najczęściej mówię, że idę w miasto...*

Nie dokończyła, bo matka jej przerwała:

— *Jak ktoś mówi, że jesteś kurwą, to mu powiedz, że to powołanie, a nie zawód. Jak ci powie, że prostytutka, to owszem, ale pani. Znasz swoją wartość i cenisz się.*

Są jeszcze takie zupełnie młode, mówią na nie cichodajki. Czytałam niedawno artykuł o tym, jak w jakimś hotelu taka mała zaraz po wyjściu z pokoju od klienta poszła do „Pewexu", żeby sobie kupić lalkę. Aż się wzruszyłam, jak to przeczytałam, przecież to zupełne dzieci. Portierzy powinni takie wyganiać.

— Jak długo chcesz to kontynuować?

— *Myślałam o tym, aby wyjść za mąż i wyjechać za granicę.*

— *Sporo dziewczyn tak zrobiło* — dodaje matka — *są zresztą bardzo dobrymi żonami. Wyszumiały się za młodu, użyły życia i cenią sobie dom i stabilizację. Mężowie byli najpierw ich klientami. Pamiętam na przykład, że jedna wyszła za mąż za Holendra, mają sieć zakładów gastronomicznych, jest teraz wielką restauratorką. Inna wyszła za jakiegoś bussinesmana z RFN, jeździ z nim po świecie. Towarzyszy mu wszędzie, bo woli nie puszczać go samego. Doskonale wie, czym to pachnie. Nawet nie tak dawno byli w Polsce.*

— Skoro myślisz o małżeństwie, sądzę, że teraz chciałabyś coś w swoim życiu zmienić. Jednak, gdybyś mogła cofnąć czas, czy podjęłabyś taką samą decyzję jak przed dwoma laty?

— *Tak.*

II. „JAKA CHODZIŁA ZA WYSOKIE STAWKI"

Ona też była zawodową dziewczyną. Chodziła za najwyższe stawki, ale przerwała to. Już od dziesięciu lat nie praktykuje. Teraz tylko wspomina tamte czasy. To dość banalna historia. Nieudane małżeństwo a na domiar złego mąż znalazł się w więzieniu. Miała dwadzieścia jeden lat, gdy została sama z maleńkim dzieckiem. Pracowała wtedy w sklepie i ledwie starczyło jej na utrzymanie. Z trudem wiązała koniec z końcem.

— *Byłam młoda i czułam, że życie mi ucieka, jakby toczyło się gdzieś obok mnie. Wiedziałam, że muszę się coś zmienić.*

Wciągnęła ją koleżanka. Zostawiła dziecko matce i wyjechały razem do Zakopanego. Miały powodzenie, udało im się. Ma tylko dwa złe wspomnienia z tego okresu: tych dwóch młodych Szwedów, zupełnie nieobliczalnych i nieopanowaną tęsknotę za dzieckiem. Ciągle męczyły ją jakieś złe sny, widziała jak dziecko leży bezbronne na ulicy lub ktoś je zabiera i pakuje w czarną torbę. Nie mogła tego wytrzymać.

Wróciły do Łodzi. Chodziła potem do lokalu najwyższej kategorii. Trochę przeszkadzała jej nieznajomość języków obcych. Potrafiła tylko powiedzieć po angielsku i niemiecku, za ile pójdzie i czego klient może oczekiwać. Bardzo żałowała, że nie może porozmawiać z niektórymi klientami.

— *Niektóre koleżanki właśnie tym, że znały język przyciągały mężczyznę, bo częściej potrzebna mu była rozmowa, a nie sex. Był zadowolony, że może dzięki dziewczynie dowiedzieć się czegoś o zwyczajach w Polsce, jak załatwić niektóre sprawy lub, że może mu służyć za przewodnika przy zwiedzaniu kraju.*

Nie chciała się uczyć, tłumaczy to brakiem czasu.

— *Często czułam, że niektórzy panowie są bardzo zażenowani tym, że muszą płacić, toteż nie brałam pieniędzy z góry na ogół ufałam klientowi i nie wychodziłam na tym źle.*

Lokal, do którego chodziła budzi w niej ciepłe wspomnienia.

— *Tak, tam było przyjemnie i wesoło. Wszyscy mnie znali i szanowali. Żałuję jedynie moich kontaktów z Polakami. Nawet jak byłam bez grosza, to rzadko chciałam skorzystać z ich propozycji. Większość z tych panów na delegacji uważa, że gdy płacą kobiecie, to musi się ona upokorzyć przed nimi. Czują, że muszą jej ubliżyć. Niektórzy byli chamowaci, brutalni. Myślę, że Polak nie umie się znaleźć w takiej sytuacji, nie potrafi uszanować kobiety.*

Podkreśla, że robiła to dla pieniędzy, z myślą o rodzinie.

— *Jak chodziłam za wysokie stawki, to sprawiało mi satysfakcję, że moje dzieci mają dobry obiad, są drogo ubrane. Takie życie bardzo wciąga. Oczywiście potem przychodzi przesyt, niechęć, chciałoby się z tym skończyć, ale cały czas myśli się jednak o pieniądzach. Każda, tak około trzydziestki, myśli o rzuceniu tego, dąży do normalnego życia. Chciałam wyjść za mąż. Poprzez biuro matrymonialne nawiązałam kontakt z pewnym panem. Już nawet mówiliśmy o małżeństwie, dostałam pierścionek, ale zorientowałam się że mnie wykorzystuje. Odkładał sobie swoje pieniądze, a starał się żyć za moje. Zrezygnowałam z tego związku. Zraziłam się i już nie chciałam się z nikim związać.*

Już od dziesięciu lat nie praktykuje. Musiała odejść, bo rozchorowała się bardzo poważnie. Teraz prowadzi bardzo przykładny żywot. Wróciła do pracy w sklepie i cały swój czas poświęca dzieciom. Ma nowe znajome i nikt nie domyśla się jak burzliwą miała młodość. Ze starymi koleżankami ma sporadyczne kontakty, wie tylko, że niektóre z nich są nadal aktywne.

III. DEWIZÓWKI BRONIĄ SIĘ PRZED KONKURENCJĄ I... ŻYLETKĄ

Mówi się o nich dewizówki. To te najwyższej klasy. Urzędują w hotelach, od godziny 19 do 20. Dwie, może trzy są naprawdę ładne, ale zadbane i eleganckie są wszystkie, a wyglądu mogłaby im pozazdrościć niejedna kobieta. Dobre i staranne makijaże, eleganckie stroje, fryzury prosto od fryzjera, drogie perfumy, biżuteria, futra... A wiek? Średnio około czterdziestu lat.

Tak, tak to nie pomyłka, przeciętnie mają około czterdziestki i metrykę można odczytać z ich twarzy. Proszę nie myśleć, że brakuje młodszych kandydatek. Przeciwnie, ale te starsze skutecznie blokują im dostęp do klientów. Nie przebierają w środkach. Czasem niepożądanej konkurentce zmoczą głowę pod kranem, inną postraszą lub zaszantażują, lub zostawią ślad żyletką na twarzy, a nie cofają się też przed biciem. Ciężko rozstać się z tak dochodowym zajęciem, a konkurencja jest duża.

Usługi świadczą głównie bussinesmanom, którzy przyjechali do Polski robić interesy. Jeżeli transakcja się powiedzie i humor dopisze są dla dziewczyn bardzo hojni, to i 100 dolarów nie jest wtedy zbyt wiele.

Do „chodzenia w miasto" nie zmusza ich sytuacja życiowa. Są zamożne, większość jest nawet właścicielkami zakładów rzemieślniczych, na przykład szyjących suknie ślubne lub bouticków. Jednak mimo interesów, które prowadzą, wieczory rezerwują na „*działalność usługową*". Mówią, że po prostu to lubią.

Są inteligentne. Uprawiany zawód zmusił je do nauki języków obcych, znają więc dobrze angielski, niemiecki lub oba te języki. Mają ujmujący sposób bycia, potrafią być eleganckie, ale tylko do momentu, gdy nie nadużywają alkoholu. Wychodzi wtedy cała ich druga natura. Niekiedy wybuchają między nimi gwałtowne sprzeczki. Rzucają się na siebie z pazurami, latają szklanki. Kiedyś nawet jedną z dziewczyn zabrało pogotowie, bo koleżanka ulokowała jej w głowie szpilkę od buta. Na ogół jednak unikają rękoczynów, bo bardzo cierpią na tym ich interesy. Zwykle po bójce dziewczyna nie ma wstępu do lokalu na miesiąc lub trzy.

IV. JAK WALCZYĆ Z PROSTYTUCJĄ?

Te nastawione na świadczenie usług bardzo zamożnym klientom to tylko niewielka część wśród pozostałych pań tej profesji, elita w branży. Wiele urzęduje w parkach, podrzędnych lokalach, bramach lub na melinach.

Prostytucja nie jest w Polsce karana. Nasz kodeks karny przewiduje natomiast kary za czerpanie zysku z cudzego nierządu (stręczycielstwo) i ułatwianie tego procederu.

Polska, w 1952 roku podpisała Konwencję ONZ i tym samym przystąpiła do ruchu abolucjonizmu — walki nie z prostytutkami, ale ze zjawiskiem prostytucji. Ruch ten stara się usunąć czynniki, które je stwarzają, karze sutenerów. Zgodnie z tą konwencją prostytutki nie są rejestrowane. Ruch abolucjonizmu został zainicjowany przez Anglię.

Jeszcze wcześniej był stosowany system reglamentaryzmu — prostytutki działały w domach publicznych, były wpisane do rejestru i poddane surowej kontroli policyjnej. (Ten system istniał nieoficjalnie przed wojną w Polsce).

Znany jest jeszcze inny system — mentaryzmu — nie ma domów publicznych, a kontrola nad prostytutkami jest oddana w ręce władz sanitarnych. Muszą one poddawać się okresowym badaniom lekarskim, mają „czarne książeczki zdrowia".

Prostytutki nie są u nas rejestrowane, ale te które weszły w konflikt z prawem są ewidencjonowane (na przykład były wielokrotnie zatrzymane za zakłócenie porządku publicznego, podejrzane o kradzież lub udział w przestępstwie).

Według danych Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi około 1000 kobiet w naszym mieście utrzymuje się lub dorabia sobie uprawiając nierząd. Rzeczywista liczba jest na pewno większa. Łódź, pod względem wielkości tego zjawiska znajduje się na piątym miejscu w kraju, po Warszawie, Wybrzeżu i Katowicach.

Z prostytucją wiąże się problem chorób wenerycznych, choć nie powoduje ona szerzenia się, ale podtrzymuje ich ogniska. Dekret o zwalczaniu chorób wenerycznych pozwala egzekwować od kobiet uprawiających nierząd aktualne badania lekarskie (powinny badać się co dwa tygodnie).

W przychodni „W" pracował psycholog, miał wpływać na zmianę trybu życia niektórych pacjentek. Jego praca nie dawała efektu „Zerówki" (tak lekarze określają te panie) na ogół godziły się na rozmowę z psychologiem.

— *Dobrze czemu nie, ale żeby to nie trwało długo* — mówiły.

Psycholog podczas rozmowy resocjalizującej proponował często dziewczynie pracę stosownie do jej wykształcenia. Miał z Urzędu Zatrudnienia listę wolnych miejsc pracy.

Dziewczyny pytały zazwyczaj: — *Ale za ile?, bo jeżeli mniej niż 20 tysięcy, to nie ma o czym rozmawiać.*

Aubrey Beardsley — Lizystrata osłaniająca swój błogi zakątek.

Aubrey Beardsley — Toaleta Lampito.

Gwiazdy w cieniu strachu

ze str. 1

wprawdzie specjalnie z Los Angeles, aby otworzyć 40 Festiwal Filmowy w Cannes, ale większość ludzi dowiedziała się o tym z... prasy. Do pałacu festiwalowego wszedł on.. bocznym wejściem.

Również o innych opowiadano wśród publiczności, ale żeby wszyscy ich widzieli, tego raczej powiedzieć nie mogę. W jednej z plażowych restauracji był J. Travolta. Podobno. Podobno Mel Gibson spacerował po bulwarze. Gdzieś przemykał się Sylwester Stallone.

NAWET LIZ TAYLOR SCHOWAŁA SIĘ

w swojej posiadłości w Saint Paul du Vence, skąd przez dwa dni nigdzie nie wychodziła, a do której przybyła z Hiszpanii prywatnym samolotem. Do Cannes miała tylko 30 km.

Gdy nadszedł galowy wieczór pojawili się wszyscy. Z wyjątkiem właśnie Liz Taylor. Ona — jak przystało na wielką gwiazdę — kazała na siebie czekać 40 minut. Publiczność zrewanżowała się za to gwizdami. Ale ona je... wspaniałomyślnie zignorowała.

Pięknie opalona, odmłodzona i odchudzona ubrana była we wspaniałą długą suknię z czerwonego jedwabiu. W uszach miała diamenty i na palcu diament od Richarda Burtona, którego to diamentu nie sposób nie zauważyć.

Do sali kinowej Liz Taylor weszła, gdy już film był wyświetlony prawie w połowie. Gdy się po ciemku przepychała do swego miejsca, nadepnęła na buty pewnej pani. Nazwiska tej pani nikt nie zna, ale wszyscy wiedzą, że to jest ta, na której buty z krokodylowej skóry nadepnęła sama Liz Taylor. Owa pani buty te kazała sobie zrobić specjalnie na tę okazję i po nadepnięciu ich przez Liz Taylor buty okazały się kompletnie zniszczone. Owa pani zaskarżyła gwiazdę do sądu o odszkodowanie w wysokości 7 tysięcy franków.

Liz Taylor zaszczyciła swoją obecnością uroczysty jubileuszowy bankiet, ale jadła mało, nie piła, tylko pozwalała się podziwiać. Zgodziła się przyjść na bankiet tylko pod tym warunkiem, że nie będzie musiała wchodzić na estradę i wygłaszać jakiejkolwiek mowy.

Około północy mercedesem w kolorze jej oczu odjechała, aby następnego dnia z Nicei udać się samolotem do Paryża. Na lotnisku byli aktorzy francuscy, aby też tym samym samolotem lecieć do Paryża. Była wśród nich Catherine Deneuve. Wspaniała Liz Taylor nawet nie dostrzegła swej francuskiej koleżanki. Wykupiła cały przedział I klasy i reszta aktorów musiała zadowolić się biletami w klasie turystycznej.

Po wizycie Liz Taylor przybyli do Cannes

LADY DIANA I KSIĄŻĘ KAROL JAKO TURYŚCI

— jak to określiła Suzane Little, urzędniczka Pawilonu Brytyjskiego.

— *Są oni w gruncie rzeczy zwykłymi gośćmi* — powiedziała. — *Będzie im towarzyszyła tylko jedna dama dworu, trzech policjantów i rzecznik prasowy. I to jedynie dla bezpieczeństwa. Ich wymagania są skromne: stół do prasowania dla księżniczki, woda kolońska do odświeżania się, odpowiednie warunki dla krótkiego odpoczynku i spaceru nad morzem. To wszystko!*

Zapewne Liz Taylor byłaby wściekła, gdyby została dłużej i widziała, co działo się w czasie wizyty książęcej pary z Wielkiej Brytanii. Pojawienie się jej spowodowało bowiem gigantyczny korek na bulwarze, jej bezpieczeństwa pilnowało 600 żandarmów i policjantów rozsianych wśród tłumu ciekawskich. Po wizycie u mera miasta, pojawili się na balkonie merostwa pozdrawiając licznie zgromadzone tłumy ludzi. Następnie udali się do pałacu festiwalowego, gdzie księżniczka Diana skromnie spuszczała głowę, aby nie widzieć plakatów zbyt śmiałych w formie i treści dla jej książęcych oczu.

Później odpoczywali na jachcie. Było słonecznie i pięknie i gdy wieczorem przybyli, aby być na uroczystościach poświęconych nestorom kina brytyjskiego: Lilian Gish i sir Aleca Guinnessa — to książę Karol miał nos, policzki i uszy lekko zaróżowione od francuskiego słońca.

Przyjechali niebieskim jaguarem. Księżna Diana była w bladoniebieskiej sukni muślinowej. „Sierpniowe wieloryby", film L. Andersona, w którym grała Lilian Gish, to jedyny film z oficjalnego przeglądu, który można było pokazać bez obrazy moralnych zasad książęcej pary.

Później odbyła się kolacja na cześć sir Aleca Guinnessa z udziałem 600 osób, a wśród nich: Ken Russel, Roger Moore, Michel York, Peter Ustinov. Menu układało dwóch kucharzy sprowadzonych z Buckingham. Książęcą parę powitał marsz z filmu „Most na rzece Kwai". I choć to był bankiet wydany na cześć Aleca Guinnessa, to goście wiwatowali na cześć księżniczki Diany i księcia Karola. Alec Guinness zachował jednak kamienną twarz. O tej twarzy powiedział niegdyś Peter Ustinov:

— *W przeciwieństwie do innych aktorów, to nie powierzchowność Aleca Guinnessa jest interesująca, ale to, co za nią się kryje!*

Liz Taylor nie byłaby też zadowolona z owacji, jaką na bulwarze La Croisette urządzono Paulowi Newmanowi. Musiała interweniować francuska służba bezpieczeństwa, aby uratować słynnego aktora przed stratowaniem. Długo nad bulwarem La Croisette słuchać było skandowanie:

— *Paul!! Paul!! Paul!!*

Ale czyż można wszystkich jednocześnie zadowolić?

Teraz w Cannes spokojnie. Ludzie opalają się, odpoczywają. Już zaczęły się wakacje. Za rok 41 Festiwal Filmowy w Cannes. Już zwyczajny, nie jubileuszowy.

MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

ze str. 1

broń Boże! — nazwy „jazzowy". „Studiowali w większości w Szkole Filmowej, grali na różnych imprezach tanecznych. Grali jazz. Ale na afiszach były tylko standardowe znoszy: „orkiestra doborowa, bufet obficie zaopatrzony"... Było to czterdzieści lat temu.

Andrzej IDON Wojciechowski

— Przyjechał z Krakowa Jerzy Matuszkiewicz „Duduś". Studiował w Szkole Filmowej. Matuszkiewicz umiał grać — w Krakowie grał u Wróbla i u Figla, był zawodowym muzykiem rozrywkowym, miał staż w „graniu do kotleta". Doszlusował do tego YMCA-owskiego zespołu i zaczął się prawdziwy ruch w interesie...

Było nas trzech: Matuszkiewicz, Sobociński i ja. Mało. Duduś ściągnął swoich krakowskich kumpli — Trzaskowskiego i Kujawskiego. No, to już był zespół! Graliśmy na zabawach już jako „Melomani". Najczęściej graliśmy w Warszawie, w klubie kolejarzy na ulicy Foksal — naprzeciwko „Kameralnej". Tam się schodziły największe męty z całej Warszawy... no, taki dancing z wstępem „za okazaniem brzytwy". Wieczór, kiedy nie było czterech bójek to był bardzo spokojny wieczór. Przychodzili bandziory zorganizowani w gangi. Pamiętam takiego herszta, nazywał się „Atom". Atom nikogo nie bił, on tylko pokazywał swoim ludziom, kogo mają „stuknąć". Oni lubili jazz, fajnie tańczyli. Lubili też nas i my byliśmy tam bezpieczni. Bywalcy tego klubu chodzili w rurkowatych, wąskich spodniach, butach „na słoninie", jaskrawych skarpetkach w paski. Uczesani „w mandolinę" — krótko mówiąc tak, jak na rysunkach satyrycznych z tego okresu, przedstawiających bikiniarzy.

Te zabawy były takie... półprywatne. Organizowali je studenci warszawskiej Akademii Medycznej, którzy mieli z tego zupełnie niezły, całkiem prywatny, dochód.

Stawaliśmy się sławni w Warszawie i w Polsce. Głównie dzięki „Przekrojowi". Usłyszał nas Marian Eile, bardzo mu się spodobało. Zainteresował jazzem i naszą kapelą Stefana Kisielewskiego, Zygmunta Mycielskiego i Jerzego Skarżyńskiego. Skarżyński został wkrótce „ideologiem" całej sprawy, zaczął również rysować jazzowe motywy, a propagował to wszystko „Przekrój".

Właśnie krakowiacy, z Marianem Eile i Jerzym Skarżyńskim zorganizowali Jazz-camping na Kalatówkach. Przyjechali wszyscy, kto tylko mógł. „Przekrój" opublikował duże zdjęcie Plewińskiego, przedstawiało wszystkich uczestników campingu. To była pierwsza powojenna, a może w ogóle pierwsza w Polsce publikacja jazzowa. Wtedy też powstał krótkometrażowy film dokumentalny o tej właśnie imprezie. Filmowcy przyjechali na własny koszt, prywatnie, liczyli na wdzięczny temat i niezłe postacie — była Basia Kwiatkowska z Romanem Polańskim, byli krakowscy intelektualiści. Film powstał właściwie jednego dnia — poszła skrzynka wódki i wszyscy zagrali swoje role bardzo ekspresyjnie i naturalnie zarazem...

Przypomnijmy: przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Zespół „Melomani" gra w składzie stałym: Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz — el, leader; Andrzej „Idon" Wojciechowski — tp; Witold „Dentox" Sobociński — tb; Andrzej Trzaskowski — p; Witold Kujawski — b; Antoni Studziński — dr.

Przerywamy na chwilę rozmowę. Nastawiam na zdapierze archiwalną płytę „Melomanów", nagranie z listopada 1955 roku. Skład zespołu — jak wyżej plus wokalistka Carmen Moreno. Nagranie zaczyna się typowym, dixielandowym wstępem. „Idon" słucha przez chwilę własnej trąbki, potem mówi: — „No, wcale niezle... tylko Duduś źle nabił rytm. Zdarzało mu się..."

Carmen Moreno śpiewa „I'll never say never again, again", „Idon" śmieje się: „Dobra była dobra... choć teraz śpiewa jeszcze lepiej. Świetnie wypadła na rocznicowym jazz-band-balu w ubiegłym roku, w Sopocie. No i nauczyła się angielskiego. Tu śpiewała... własnym slangiem."

Przed laty recenzent pisał: „Bez względu na treść tytułu, język i charakter utworu, Carmen podaje słuchaczowi jedynie jakiś ogólny charakter i nastrój slangu, bez możliwości zrozumienia choćby jednego słowa śpiewanego tekstu". Trudniej o większą dżentelmenerię krytyka.

Andrzej „Idon" Wojciechowski — wspomina dalej.

— Jazz-camping Kalatówki był imprezą dość głośną, prawie oficjalną. Ale chyba rok wcześniej odbył się pierwszy, całkowicie nieoficjalny i — w gruncie rzeczy — przypadkowy pierwszy festiwal jazzowy w Polsce. To było w Ustroniu Morskim, w lecie. Krzysztof „Komeda" Trzciński załatwił granie w knajpie większej grupie muzyków. Na cały sezon! Kilku grało stale a wielu innych przyjechało. Przyjechali muzycy i kibice, zrobił się z tego prawdziwy „salon jazzowy". A obok naszej knajpy był dom ZAIKS-u. Wieczorami wpadało posłuchać bardzo wytworne towarzystwo: pisarze, muzycy. Naszymi entuzjastami byli Tadeusz Kwiatkowski i Barbara Hesse-Bukowska. Zagorzałym przeciwnikiem — Jerzy Putrament.

Wówczas po raz pierwszy zetknąłem się z „Komedą". Krzysztof podkochiwał się w Hesse-Bukowskiej. Chodziliśmy posłuchać, jak przygotowywała koncert Rachmaninowa. Wspaniały, okropnie nam się podobał...

W Ustroniu zdarzyła się arcyzabawna historia: Pewnego razu kierownik knajpy zaproponował nam, żebyśmy, za dodatkową zapłatą, grali nie tylko na dancingach ale także w czwartki, w porze obiadowej. Zgodziliśmy się, choć nie bardzo było wiadomo, o co chodzi. A podszewka całej sprawy była taka: wprowadzono w restauracjach wybrzeża „rybne dni". W czwartki nie wolno było podawać mięsa, tylko wyłącznie ryby, co praktycznie oznaczało — dorsza. Kiepsko te dorsze szły i stąd pomysł kierownika. Zaczęliśmy grać w czwartki od drugiej w południe. I podnieśliśmy znacznie spożycie dorsza w gastronomii Wybrzeża Środkowego...

„Komeda" był zawsze chłopcem nieco nieprzytomnym. Na te czwartkowe koncerty przychodził często w piżamie, prosto z łóżka...

PO ROKU 1953 „MELOMANI"

występują na koncertach, oficjalnie, jako zespół jazzu tradycyjnego. Występują w salach szacownych filharmonii, piszą o nich najpoważniejsi krytycy muzyczni. Jak grzyby po deszczu powstają (lub ujawniają się) następne zespoły jazzowe: w Krakowie zespoły Andrzeja Kurylewicza i Lesława Lica, w Poznaniu sextet „Komedy", w Katowicach grupa dixielandowa Zygmunta Wicharego, w Warszawie nowoczesne combo Jana Walaska. Ba, powstaje nawet orkiestra „Jazz-simphonic" — nazywa się „Błękitny Jazz". Szefem i dyrygentem jest Ryszard Damrosz. Cykl koncertów „Estrady Jazzowej" firmują: Leopold Tyrmand i Roman Waschko...

Andrzej „Idon" Wojciechowski:

— Były dwa duże cykle, z którymi objechaliśmy całą, dosłownie całą Polskę: „Seans z powidłami" (tak tłumaczono „jam-sesion"!) oraz „Zimno i gorąco". „Gorąco" graliśmy my „Melomani", „zimno" — combo Jana Walaska.

Z koncertu na koncert latališmy samolotami. Starymi „douglasami". Dudusia trzeba było w tych samolotach sadzać gdzieś w głębi — strasznie bał się lotów i cierpiał na chorobę morską...

Pierwszy raz wystąpiliśmy w filharmonii w Poznaniu. Potem dopiero w Warszawie i w innych miastach... W Łodzi chyba na ostatku... Władze łódzkie jakoś nie mogły się przemóc i wprowadzić tę barbarzyńską muzykę do sali koncertowej. No cóż, Jan Nosko nie był wtedy wiceprezydentem, był kilkunastoletnim chłopcem, który... szarpał bas w grupie Jacka Okupskiego!

Potem były imprezy — krakowskie Zaduszki Jazzowe. W Krakowie było najciekawsze „życie jazzowe". Głównie dzięki „Przekrojowi", ale nie tylko. Na pierwszych Zaduszkach były tłumy.. I cała masa znanych ludzi. Wszyscy wpisali się do księgi pamiątkowej i... księga zginęła. Nie wiadomo do dziś, czy ukradł ją jakiś jazz-fan do swojej kolekcji, czy... ktoś, kogo interesowało „kto to popiera imperialistyczną dywersję w kulturze socjalistycznej". Także w Krakowie był prywatny salon jazzowy. Grało się w domu państwa Fersterów.

„Melomani" wystąpili po raz ostatni na pierwszym Festiwalu Jazzowym w Sopocie, w roku 1956. Potem jeszcze „Duduś" Matuszkiewicz usiłował reaktywować grupę pod nazwą „Hot-club Melomani". W innym już składzie, jako zespół krakowsko-łódzki: z Andrzejem Kurylewiczem, Lesławem Lleem (klarnet), Romanem Dyląglem (kontrabas), Alojzym Thomysem (alt-sax), Sam „Duduś" grał na saksofonie sopranowym. Grupa preferowała styl pośredni między dixielandem a swingiem, zwany „Kansas City".

Andrzej „Idon" Wojciechowski:

— Na pierwszym festiwalu wystąpiliśmy po usilnych namowach Tyrmanda. Zaakcentowaliśmy, że nie jesteśmy już zespołem w ten sposób że każdy wystąpił w „prywatnym" ubraniu. Jako „Melomani" nosiliśmy jednakowe garniturki: beżowe marynarki i brązowe spodnie.

Właściwie szkoda... rozwiązaliśmy się wtedy, kiedy już nauczyliśmy się grać...

Grałem potem jakiś czas we własnym zespole pod nazwą „Hot seven". Na fortepianie grał Witold Afelt, na puzonie grał z nami — gościnnie — Zbyszek Namysłowski. Krótko potem powstał w Łodzi bardzo dobry zespół tradycyjny „Tiger Rag". Słuchałem niedawno zachowanych taśm z ich nagraniami — to było lepsze, niż to, co przed chwilą słyszeliśmy (nagranie „Melomanów" z roku 1955). W „Tiger Rag" grał Rezler na banjo, Andrzej Orłowski na bębnach, Czekalski na klarnecie, Andrzej Makowiecki na trąbce Rysiek Hunger na kontrabasie, na puzonie Dorawa. Przy okazji — Hunger właśnie niedawno został rektorem WSSP „Jego Magnificencja" też szarpał — w młodości — struny kontrabasu!

W latach sześćdziesiątych jazz powtórnie zszedł do podziemia. Nawet dosłownie — do piwnic klubowych. Młodzieżowa publiczność odwróciła się od jazzu, zachwycała się „zelektryfikowanymi" gitarami, „Shadowsami" i „Animalsami", „Czerwono- i Niebiesko-Czarnymi". Dopiero w ostatnich latach obserwujemy swoisty renesans tej muzyki.

Andrzej „Idon" Wojciechowski:

— Matuszkiewicz został wybitnym kompozytorem filmowym, Sobociński — operatorem („Ziemia Obiecana", „Piraci"). Studziński uprawia plastykę użytkową, Trzaskowski jest dyrektorem orkiestry PRiTV, Kujawski na emeryturze, Thomys — profesor w krakowskim konserwatorium, ja od lat zajmuję się dziennikarstwem.

Co ciekawe — wszyscy jesteśmy w Polsce, bez trudu można nas zebrać do pamiątkowej fotografii, tak jak to zrobił Feliks Falk w filmie „Był jazz".

Zanotował: ANDRZEJ KAROLCZAK

Krótka historia zespołu „Melomani" czyli jak jazz wpływał na spożycie dorsza

Siedzi Leopold Tyrmand. Stoją: Andrzej Wojciechowski i Alojzy Thomys. Zdjęcie wykonane w FL w r. 1955. Autor nieznany.

„Dwója" z obywatelskiego

ROMAN KUBIAK

Kiedy we wtorek, 16 czerwca 1987 roku w łódzkich szkołach średnich rozpoczynał się egzamin wstępny z matematyki i komisyjnie otwierano niebieskie koperty zawierające ściśle tajne zestawy pytań, wielu egzaminowanych piętnastolatków było wyraźnie rozbawionych. Kilkoro już po dwudziestu minutach wyszło z sal oddając nauczycielom arkusze bezbłędnie rozwiązanych zadań.

Kwadrans po godzinie dziewiątej zabawę w uczniów i nauczycieli brutalnie demaskuje obywatel S. Dane personalne obywatela S. lepiej niech nie będą ujawnione z uwagi na dalszy przebieg rozniecających emocje wypadków. Zresztą nieszczęśnik ów, jako rychło przez zdolną młodzież wytropiony lizus i skarżypyta, za sprawą gradu obelg, pogróżek i kamieni traci właśnie nerwy, szyby w oknach i kontakt z własnym dzieckiem. Syn obywatela S. zdaje bowiem egzamin wstępny do liceum ogólnokształcącego na Polesiu. Z obserwacji syna i jego retkińskich kumpli także radośnie sposobiących się do roli licealistów, S. ma podstawy podejrzewać, iż nastolatki grają znaczonymi kartami, czyli że od dobrych paru dni znają tajemnicę niebieskich kopert. Domysłami swymi dzieli się więc telefonicznie z dyrektorem I LO im. Mikołaja Kopernika. Dyrektor szacownej „Jedynki", człowiek krzepkich pedagogicznych zasad, nie dopuszcza haniebnej myśli o wielkim oszustwie i demoralizacji młodzieży. No bo jeśli zawierzyć słowom obywatela S., to niechybnie ktoś dorosły zdeprawował dzieci podsuwając im narzędzie moralnej zbrodni w postaci wykradzionych oświacie pytań. Tym dorosłym zaś, o zgrozo, mógłby być ktoś tytułujący się nauczycielem i wychowawcą, gdyż w sekretnej ceremonii przygotowywania egzaminacyjnych pytań uczestniczą przede wszystkim pedagodzy.

Pół godziny później dyrektor „Kopernika" miał w dłoniach dowód rzeczowy przestępstwa. Jest nim odpis tajnego zestawu zadań egzaminacyjnych, który obywatel S. wygrzebał z szuflady biurka zaradnego syna. Treści zadań okazują się identyczne z tymi, jakie właśnie rozwiązuje blisko siedem tysięcy uczniów w szkołach średnich Łodzi i województwa miejskiego.

Sygnały o przykładnej integracji środowiska tegorocznych absolwentów podstawówek, którzy w obliczu pierwszego w życiu poważnego sprawdzianu wiedzy bezinteresownie oraz odpłatnie przekazują sobie i wkuwają rozwiązania zadań — pewniaków, dotarły także do władz oświatowych Polesia. Bez wątpienia epicentrum nagłego wybuchu uczniowskiej miłości do matematyki miało miejsce na Retkini, skąd telefonicznie, pieszo i taborem MPK owoce tej miłości przedostały się do innych dzielnic miasta. Ale dorośli po dziecinnemu ufni w niezawodnie szczelny dotychczas łódzki system egzaminacyjny, ufni w lojalność i wysokie morale sprawdzonych ludzi tego systemu, wzięli obserwowane uczniowskie manewry za paniczne harce nastolatków. Później wyjdzie na jaw, że nieznany wywiadowca wykradł i rozpowszechnił także alternatywny zestaw zadań, którego kuratoryjni metodycy, nie zatwierdzili na wtorkowy egzamin.

Wielkie było poruszenie w Kuratorium Oświaty i Wychowania Urzędu Miasta Łodzi, gdy „gotowiec" ucznia S. obnażył przykry błąd w rachunkach mijającego, skądinąd wielce dla łódzkiej oświaty pomyślnego roku szkolnego. Powstało równanie z niewiadomą — KTO. Kto ujawnił treść pilnie strzeżonych zadań egzaminacyjnych? Wszystkie osoby mające bezpośredni dostęp do tajemnicy służbowej, a więc metodycy opracowujący tematy egzaminu wstępnego z matematyki oraz osoby trudniące się powielaniem gotowych zestawów i pieczętowaniem kopert stemplem Urzędu Miasta, złożyły oświadczenia niewinności. Nad rozwiązaniem równania z niewiadomą pracuje teraz Prokuratura Wojewódzka. Za ujawnienie tajemnicy służbowej, sprawcy grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności.

Nawet w przybliżeniu nie sposób określić liczby uczniów, którzy skwapliwie skorzystali z usług anonimowego podpowiadacza. Wstępne wyniki egzaminów nie są bynajmniej aż tak rewelacyjne, jakby na to wskazywały okoliczności sprawdzianu. We wtorek po południu tylko kilkoro dorosłych i bliżej nieznana liczba młodzieży znają kulisy selekcji do szkół średnich. Jednak kuratorium, jak przystoi wychowawcom, ma odwagę publicznego wyjawienia bolesnej prawdy, chociaż prawda ta mocno uderzy w środowisko nauczycielskie. Brzmi ona tak: władze oświatowe ponoszą odpowiedzialność za „przeciek" egzaminacyjnych tematów bez względu na to, kto i w jaki sposób zdradził tajemnicę służbową. Czyn ów głęboko okaleczył psychikę piętnastoletniej młodzieży, zarówno tej, która postawiła na uczciwą i sumienną pracę, jak również tej, której z premedytacją wskazano bezwzględne metody osiągania celu. Tak kończy się pierwsza praktyczna lekcja wychowania obywatelskiego, na której „dwójęˮ wystawiają sobie dorośli.

Druga lekcja obywatelskiego rozpoczyna się trzy dni później. W piątek, 19 czerwca kuratorium podejmuje decyzję o unieważnieniu wyników wtorkowego sprawdzianu i ponownym przeprowadzeniu egzaminów wstępnych we wszystkich szkołach średnich na terenie województwa łódzkiego. Termin powtórki z matematyki wyznaczono na 23 czerwca. Temat drugiej lekcji wychowania obywatelskiego brzmi więc jasno: Wszystkim absolwentom podstawówek należy stworzyć równe szanse ubiegania się o szkolną ławę w ogólniaku czy technikum. Nie wolno premiować cwaniactwa i oszustwa. Z prostych pedagogicznych rachunków wynika bowiem, że wprawdzie powtórzenie egzaminu będzie kosztowne i kłopotliwe, jednakże straty moralne z tytułu przemilczenia jawnej nieuczciwości byłyby znacznie większe. Wychowawczą słuszność kuratoryjnych decyzji poparli dyrektorzy szkół średnich, specjalny wysłannik Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz władze miasta.

Tymczasem od egzaminacyjnej farsy upłynęło kilka dni i część zainteresowanej młodzieży zdążyła już wyjechać na wakacje albo właśnie siedziała na plecakach, gdyż w niektórych liceach wywieszono listy przyjętych pierwszoklasistów. Rozkaz ponownej mobilizacji ściga więc łódzkich piętnastolatków, dopada ich na plaży, na trasach wędrówek po kraju, a nawet za granicą, bo któż stercząc w kolejce po paszport mógł przewidzieć taką ewentualność. Naprędce sporządzony regulamin powtórki z matematyki nie zezwala na dezercję, ale zakłada warunkowe odroczenie. To znaczy, że kandydat na licealistę i technika może czasowo uchylić się od sprawdzianu, na przykład pod pretekstem wakacji, lecz z matematyką musi powalczyć we wrześniu. Pisemny wniosek odraczający egzamin ma prawo wystawić każdy dorosły.

Teraz do akcji wkraczają zaradni rodzice. Głównie tacy, którzy Coś mogą i Kogoś znają. Niebywały jest ogrom energii ludzkiej, jaką potrafią wyzwolić niektórzy rodzice w obronie niezmąconego błogostanu swych pociech. Zostają wytoczone najcięższe działa pedagogiczne, które grzmią zbiorowym protestem. Najczęściej wymienianym argumentem jest stres. Że niby dodatkowy egzamin, to u dzieci oddatkowy stres, a stres to niepotrzebny uraz psychiczny. Zupełnie tak, jakby bezstresowe dzieciństwo gwarantowało odporność na trudy dorosłego życia. Padają też argumenty negujące zasięg powtórki. Że niby po co we wszystkich szkołach i dla wszystkich dzieci, skoro nie wszędzie i nie do każdego dotarł „przeciek", na przykład w miastach i miasteczkach satelickich żadnych oszustw ponoć nie było.

W szkołach średnich Łodzi i województwa przygotowano sześć tysięcy sześćset miejsc dla pierwszoklasistów, a spośród dwunastu tysięcy tegorocznych absolwentów podstawówek ubiega się o nie zaledwie siedem tysięcy. Zmieniły się kryteria wartości. Kilkoro tegorocznych prymusów zaniosło swe wyróżnione czerwonym paskiem świadectwa do szkół zawodowych uczących fachu krawca i kuśnierza. Aby zostać licealistą, nie trzeba lękać się groźnej konkurencji, wystarczy tylko zdać egzamin wstępny, czyli zaprezentować minimum wiedzy. Wyjątek stanowią nieliczne szkoły prestiżowe — elitarne licea i technikum elektroniczne.

W poniedziałek 22 czerwca po południu uprawomocnieni wysłannicy dyrekcji szkół średnich zgłaszają się do kuratorium celem odebrania kopert z nowymi sekretnymi zestawami pytań egzaminacyjnych. Ale tutaj czeka kolejna niespodzianka. Oto Ministerstwo Oświaty i Wychowania na porannych obradach kolegium ministra zmienia zdanie co do skuteczności metod wychowawczych dotychczas przez siebie popieranych i sugeruje łódzkim władzom oświatowym, aby w ostatniej chwili odstąpiły od ponownego przeprowadzania egzaminów z matematyki. Ministerstwo propnuje, by o przyjęciu do szkół średnich decydowały wyniki sprawdzianu z języka polskiego, średnie oceny zapisane na świadectwie ukończenia szkoły podstawowej oraz oceny z przedmiotów kierunkowych. Nie wiadomo, jaki wpływ na te postanowienia miała troska o kondycję moralną młodzieży, a jaki skargi i naciski rodziców.

Po południu władze łódzkie przychylają się do sugestii resortu oświaty odwołując egzamin wstępny z matematyki. Komunikat wraz z nowym regulaminem rekrutacji podają radio i telewizja nie szczędząc mocnych słów krytyki.

Nazajutrz rano znowu na łódzkich ulicach pojawili się dziewczęta i chłopcy w przepisowo egzaminacyjnych strojach. Niektórzy wkuwając matematykę nie słuchali wczoraj radia i nie oglądali telewizora. Inni szli do wybranych szkół, ponieważ mimo wszystko kazano im przyjść, nie bardzo wiadomo w jakim celu, chyba po to, żeby czymś zająć gorące głowy i ręce. Szli więc ci, którym wyrok dorosłych odebrał życiową szansę i ci, którzy mocno skorzystali na wielkim oświatowym zamieszaniu. Padały gorzkie słowa. O tym, że nie wolno zmieniać zasad podczas egzaminacyjnej gry, bo to ubliża sprawiedliwości. O tym, że zakpiono z uczciwej pracy, bo nie przegrali oszuści i cwaniacy. O tym, że nowy regulamin wyraźnie faworyzuje humanistów, a krzywdzi umysły ścisłe, czyli raz jeszcze jest niesprawiedliwie. Na tej lekcji obywatelskiego młodzież wystawiała „dwójęˮ dorosłym.

Po południu w Pałacu Młodzieży uroczyście podsumowano plony konkursu, którego temat brzmi: Patriotyczne wychowanie młodzieży. Byli nagrodzeni pedagodzy, jurorzy, kwiaty. Na scenie dzieci recytowały wiersze o Wielkich i Bardzo Ważnych sprawach: o uczciwej pracy, o prawdzie i sprawiedliwości. Widownia była pusta.

NA GORĄCE LATO KUPIŁAM SPÓDNICĘ w stylu flamenco — żółtą, falbaniastą, za 4,5 tys. zł. Nie tanio, ale i nie drogo, zważywszy że zużyto na nią 12 metrów materiału. Kupiłam w „Juventusie", nie spod lady, ale w długiej kolejce. Nie zachęcam do poszukiwań — już ich nie ma i nie będzie. Do spódnicy niezbędna była bluzka-gorsecik. Nikt jej nie wyprodukował — i bardzo dobrze, bo pogoda nie sprzyja i spódnica wisi w szafie. Wiszą też rozmaite sukienki — cienkie, na upały i grube — na zimę. Niestety, nie ma tam sukienki odpowiedniej na teraz tzn. na lato zimne i deszczowe.

W KAŻDEJ SZAFIE KOBIETY brakuje — bez względu na porę roku i okazję — tego, co akurat jest najpotrzebniejsze i tak już jest od czasów kiedy jedyny przyodziewek stanowiły niegarbowane skóry bądź liście winorośli. Po to jednak są sklepy, aby ten przykry stan poprawić, choćby przejściowo, na kilka dni. Wybrałam się więc do sklepów wzdłuż ul. Piotrkowskiej.

TOWARU BARDZO DUŻO — o pustych półkach prawie zdążyliśmy zapomnieć, obecnie wiele placówek straszy nadmiarem — stłoczonymi towarami, które trudno obejrzeć. Być może jest wśród nich coś znakomitego, ale z powodu na ogół niewłaściwej ekspozycji trudno to coś zauważyć. Pół biedy w sklepach dużych, gdzie klienci mają wolny dostęp do wieszaków, znacznie gorzej w tych (których jest niestety więcej) gdzie klienta od towaru oddziela lada. Po obejrzeniu czwartej sztuki, podanej przez ekspedientkę obie strony: kupujący i sprzedający zaczynają odczuwać wobec siebie co najmniej pewną niechęć. Nie wolno jednak zniechęcać się jeżeli naprawdę chcemy coś kupić.

KREPONY, KWIECISTE POLIESTRY i GOŁE PLECY — tak najkrócej można scharakteryzować asortyment w pierwszym sklepie z damskimi ubiorami, jaki odwiedziłam. I jeszcze białe i różowe płócienne żakiety — krzyk mody z ubiegłego roku. Kwieciste sukienki mogłyby się może podobać — gdyby w dotyku nie były tak nieprzyjemnie plastykowe, a krepon, zawsze modny i dobry użytkowo zepsuły paskudne, wyburzale kolory.

DALEJ BYŁO TO SAMO — trochę inny fason, inne kwiaty, żakiecik żółty zamiast różowego. Wszędzie — dużo bluzek typu wielka koszula. Pocieszające, że już po dwóch latach od chwili wejścia w modę pojawiły się w sklepach, teraz tylko dopilnować projektantów, żeby mody nie zmienili, czym, niestety, straszą.

INACZEJ WYGLĄDA ZAOPATRZENIE prywatnych butików i galanterii. Zamiast sztywnych poliestrów — bawełna w rozmaitych kolorach. Dużo wstawek, koronek, malowanek, aplikacji. Zdążyliśmy już polubić ten styl, czasem z przekonania a czasem po prostu z przyzwyczajenia. Odpowiedź na pytanie: skąd my to znamy? nasuwające się w każdym butiku jest prosta. Znamy to z pierwszego butiku, otwartego co najmniej 10 lat temu. Możemy więc za niemałą cenę kupić kreacje z udającej atlas podszewki, farbowanych domowym sposobem nicianych firanek i prześcieradeł — ale przecież nie musimy i... szukamy dalej.

ZIMOWE CHIŃSKIE KURTKI ocieplane puchem są teraz bez kolejki — damskie i męskie. W styczniu wisiały w sklepie nie dłużej niż godzinę. Są też ocieplane spodnie. Ale przecież szukałam sukienki. Tym sposobem przeszłam całą Piotrkowską, dochodząc do wniosku, że kto odwiedził trzy sklepy — zna już wszystkie i dalej szukać nie ma po co.
A przecież...

MOŻE BYĆ INACZEJ — o czym mieliśmy okazję przekonać się niedawno, oglądając to, co nasz przemysł pokazał na Interfashion. Była to co prawda oferta dla odbiorców zagranicznych i w wielu przypadkach takich samych towarów zakłady na rynek krajowy nie mogą dostarczyć z braku surowców, ale przecież pokazano również modele wykonane z tkanin i dzianin jakich u nas nie brakuje. Choćby poliestru — te dla nas są sztywne i brzydkie, w burych, nijakich kolorach — dla zagranicy w barwach czystych, tkane metodą bawełniarską przypominają do złudzenia surowce naturalne. Dlaczego tkaniny na eksport są gładkie lub w modne, proste wzory —a na kraj przeładowane nadmiarem pstrokatych kwiatków czy tzw. pik asów?

PYTAĆ DLACZEGO można jeszcze długo — a odpowiedź jest niewątpliwie trudna i złożona. Sądzę jednak, że przynajmniej częściowo winien jest handel, stawiający za małe wymagania przemysłowi. Odwagi handlowcy! Raczej niech w sklepach będzie trochę pusto niż ma w nich panować — jak obecnie — pozorny dobrobyt. Co prawda nawet towar średniej urody ktoś w końcu kupi, nie mając innego wyboru, ale to przecież nie znaczy, że powinniśmy się na taką średniość ciągle godzić.

SUKIENKI NA ZIMNE LATO nie kupiłam. Nie było. Tak naprawdę zresztą nie bardzo wiedziałam, jaka ma być. Najlepiej taka, żebym, rozejrzawszy się po sklepie, stwierdziła „to jest to" i kupiła bez względu na cenę. Nawet, gdyby to był niepotrzebny mi strój na upały. Zapewne wszyscy chcieliby w taki właśnie sposób kupować odzież — a i nie tylko odzież. Tymczasem nawet coca-cola nie jest „tym" — przeważnie podawana za ciepła.

AGATA

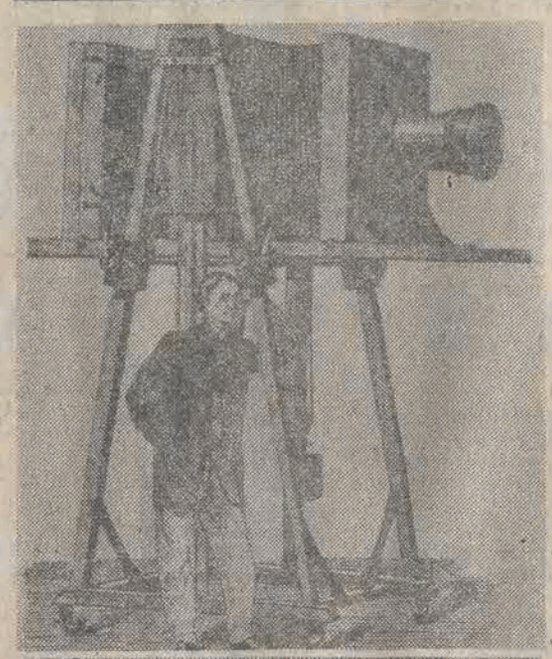

Konkurs na całe lato dla amatorów fotografowania!

Wszystkim, którzy wybierają się na wakacje poza Łódź, proponujemy udział w naszym konkursie, który trwa całe lato. Zestawy zdjęć, fotoreportaże można nadsyłać już od zaraz po ukazaniu się tego numeru „Odgłosów" do 30 września 1987 roku — decydować będzie data stempla pocztowego. Zdjęcia nadesłane po tej dacie nie będą rozpatrywane.

Na konkurs można nadsyłać nie więcej niż 10 zdjęć i tylko czarno-białe (nie mamy możliwości reprodukowania zdjęć kolorowych) wraz z kuponem wyciętym z „Odgłosów". Na konkurs nie należy nadsyłać zdjęć z Łodzi — na zdjęcia z Łodzi ogłosimy osobny konkurs w późniejszym terminie.

Fotografować można wszystko, co wyda się Wam interesujące, fascynujące, niepowtarzalne: architekturę, ludzi w różnych sytuacjach, pejzaż, zwierzęta. Zdjęcia powinny układać się w fotoreportaż. Mogą być nadsyłane również zdjęcia pojedyncze. Najciekawsze prace zostaną opublikowane oraz zdjęcia pojedyncze mogą posłużyć jako ilustracje do tekstów. Publikowane zdjęcia będą honorowane wedle obowiązujących stawek. Najciekawsze zdjęcia zostaną nagrodzone cennymi książkami.

Zdjęcia należy nadsyłać wraz z kuponem.

KUPON KONKURSU NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko: . . . . . .

Dokładny adres: . . . . . .

Zgłaszam do KONKURSU NA CAŁE LATO zestaw..... zdjęć.

Zdjęcia wraz z kuponem prosimy nadsyłać pod adresem:
„ODGŁOSY"
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro
90-113 ŁÓDŹ

Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
2 lipca — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16
6 lipca — BOGDA MADEJ — godz. 10—16
9 lipca — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Melpomena w „Victorii"

Józef Teksel był współwłaścicielem teatru „Victoria" przez trzy i pół roku. Początkowo frekwencja widzów na przedstawieniach była znaczna i impreza zapowiadała się pomyślnie. Dyrektor teatru na jego utrzymanie nie żałował oszczędności uzbieranych w czasie wieloletniej pracy. Niestety, zainteresowanie łodzian nowym teatrem wkrótce zmalało. Teksel zagrożony kompletną ruiną materialną zrezygnował z dalszego prowadzenia teatru i w lipcu 1882 r. odstąpił Ludwikowi Stumpfowi swe prawa do posesji za 35000 rubli. W sześć lat później wyłącznym właścicielem posesji został kaliszanin Emil Freudenberg, który już uprzednio dzierżawił hotel „Victoria".

Po odejściu Józefa Teksla w teatrze „Victoria" występowały różne zespoły wędrowne. Kilkakrotnie bawiła tu znana trupa Józefa Puchniewskiego. Również Teksel, pomimo gorzkich doświadczeń, jakich doznał na gruncie łódzkim, nie zapominał o Łodzi i zawsze chętnie zjeżdżał do „Victorii" ze swoim zespołem. W sezonie 1884/1885 występy trupy Teksla uświetnili gościnnie znakomici aktorzy: Anastazy Trapszo, Bolesław Leszczyński i Józef Rychter. W miesiącach letnich „Victoria" przeważnie stała pusta, gdyż przedstawienia odbywały się w „Paradyzie" i „Arkadii".

W latach późniejszych coraz częściej mówiono, że budynek teatru „Victoria" jest za mały, a scena za ciasna. Krytykowano też jego usytuowanie.

Pewien przełom w dziejach teatru „Victoria" nastąpił w 1888 r. Wówczas to sekretarz „Dziennika Łódzkiego", były aktor Lucjan Kościelecki uczynił ponowną próbę zorganizowania stałej sceny polskiej w Łodzi. Inauguracja teatru nastąpiła 6 października. Przy wypełnionej sali wystawiono komedię K. Zalewskiego „Małżeństwo Apfel". Początkowo teatr odnosił znaczne sukcesy, gdyż Lucjan Kościelecki zaangażował do zespołu najlepszych aktorów prowincjonalnych, m. in. Mariana Winklera, Karola Kopczewskiego, Ferdynanda Feldmana. Niestety, obojętność publiczności na utwory wartościowe znowu zwyciężyła. Już w drugim sezonie teatralnym Lucjan Kościelecki znalazł się w poważnych trudnościach finansowych. Zrujnowany materialnie wiosną 1890 r. zrzekł się kierownictwa teatru łódzkiego.

Nowym dyrektorem sceny polskiej w Łodzi, zresztą na krótko, został Karol Kopczewski. Na jego zaproszenie wystąpiła tu parokrotnie sławna tragiczka Helena Modrzejewska. Ostatnie przedstawienia odbywały się na scenie „Victorii". Gościnne występy Modrzejewskiej nie przełamały obojętności łodzian do teatru, a zadłużony Kopczewski zrzekł się jego kierownictwa.

Kolejny dyrektor teatru polskiego w Łodzi, Czesław Janowski, wyciągnął z porażek swych poprzedników odpowiednie wnioski. W obawie, by i jego przedsięwzięcie nie poszło na marne, starał się zjednać sobie publiczność, wystawiając głównie farsy i operetki. Janowski utrzymał się na scenie łódzkiej ponad cztery lata. W odróżnieniu od swych poprzedników nic nie stracił, a podobno nawet nieco zarobił.

We wrześniu 1895 r. kierownictwo teatru „Victoria" objął uzdolniony literat i komediopisarz Michał Wołowski. Położył on duże zasługi dla rozwoju sceny łódzkiej. Wyposażył teatr w nowe urządzenia techniczne, zmodernizował oświetlenie sceny i widowni. *„Damy nasze nie będą mogły się skarżyć na brak dostatecznego oświetlenia w teatrze* — pisał recenzent „Rozwoju" — *Pan Wołowski wprowadził nowe światło auerowskie w sali widzów i na scenie, które uwydatni piękność cery, blask klejnotów i brylantów".*

Nowy dyrektor zgromadził też doskonały zespół aktorski, w którym znaleźli się: Maria Przybyłko, Helena Zimajer, Ferdynand Feldman, Michał Tarasiewicz. Przedstawienia reżyserowali: Marian Winkler, Marceli Trapszo i Karol Kopczewski. Wołowski dbał również o dobór ambitnego repertuaru. Już jednak pod koniec trzeciego roku istnienia teatru nastąpiło wyraźne obniżenie poziomu. Przyczyna tkwiła w upodobaniach publiczności, przekładającej nad wartościowe utwory salonowe komedie, farsy, wodewile i operetki. Ostatnie dwa sezony teatralne były już tylko okresem rozpaczliwych zabiegów o widza. Teatr znalazł się w obliczu katastrofy. Wołowski zrujnowany moralnie i materialnie, w końcu marca 1900 r. zrezygnował z prowadzenia łódzkiej sceny.

U progu XX wieku kierownictwo teatru „Victoria" objął aktor i reżyser Henryk Grubiński, prowadząc go do roku 1903. Był to dość niefortunny okres w dziejach łódzkiej sceny. Po Grubińskim dyrekcję teatru powierzono warszawskiemu publicyście Marianowi Gawalewiczowi. Kierował on sceną łódzką do roku 1906, a więc w burzliwych czasach rewolucji.

Po okresie dość jałowej wegetacji sceny łódzkiej w latach 1906—1908, kiedy to kierował nią po raz wtóry Czesław Janowski, dyrekcję teatru objął wybitny aktor i reżyser Aleksander Zelwerowicz.

WACŁAW PAWLAK

1 **Pod prąd**

Życie w kryzysie

Przeczytałem w gazecie ogłoszenie: PRAKTYCZNY KURS ŻYCIA W KRYZYSIE, ulica.... numer... Zaciekawiło mnie to i pewnego deszczowego dnia wybrałem się pod wskazany adres, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Przyjął mnie sam kierownik kursu i w krótkich słowach wyłożył, w czym rzecz:

— Żyjemy w kryzysie — zaczął — który jest stanem przejściowym, a zatem trzeba się liczyć, iż może trwać dosyć długo. Kryzys nasz przejawia się głównie w niedostatecznym zaopatrzeniu sklepów, ciągle złej organizacji pracy, niskiej jakości towarów i usług oraz słabnącej wierze w lepsze jutro. Ponieważ istnieje on obiektywnie, nie można zebrać się i przyjąć przeciwko niemu stosownej rezolucji czy też odwołać go uchwałą parlamentu. Stąd prosty wniosek, że do kryzysu najlepiej się przyzwyczaić, i to czynnie, w czym pomóc ma nasz kurs.

— Zajęcia ze słuchaczami rozpoczynamy od bliższego poznania i opanowania podstawowych umiejętności, które w każdej chwili mogą się nam przydać. Dla przykładu: pieczenie chleba — na wypadek braku pieczywa przed wolną sobotą, kroju i szycia — aby nie wydając całej pensji u krawca, wyglądać jak człowiek, reperacji obuwia — by mieć w czym chodzić, gdy szewc każe nam przyjść z własną gumą na podeszwy, golenia na sucho i prania bez proszku (wzorem naszych babek) — gdyż w każdej chwili może zabraknąć w kraju importowanych komponentów, czy też — że tak powiem — regeneracji papieru toaletowego.

— W programie przewidujemy również zaznajomienie się z ogólnymi zasadami naprawy domowego sprzętu elektrycznego i mechanicznego w celu uniezależnienia się od wszelkiego rodzaju usługowych punktów naprawczych, które nie mają części zamiennych, proponują półroczne terminy i każą sobie płacić za naprawę więcej niż za nowy sprzęt, którego jednak w sklepach brak.

— Czekającym w kolejce na mieszkanie spółdzielcze oferujemy zdobycie kwalifikacji murarza, tynkarza, itd., gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy samemu przyjdzie chwycić za kielnię. Uczymy składania kolorowych telewizorów z kradzionych części nabytych na bazarach, co pozwala zaoszczędzić około 10 Wyspiańskich, jeśli nie liczyć łapówki, jaką musielibyśmy dać w sklepie. Prowadzimy ponadto zajęcia pod hasłami: wczasy z rodziną na balkonie, darmowe czytanie książek w księgarniach, domowe sposoby leczenia chorób sugestią i dobrym słowem oraz — racjonalny wypoczynek po pracy w kolejce u rzeźnika.

— Jak więc pan widzi — zakończył kierownik — aby wyjść z kryzysu, a co najmniej nauczyć się w nim żyć, potrzebne są nam oddolne inicjatywy, pomysłowość, przedsiębiorczość i dużo ciężkiej, solidnej pracy.

Podobała mi się ta argumentacja — rzeczowa, przekonująca, może trochę gorzka, ale przecież stawiająca sprawy takimi, jakie naprawdę u nas są. W jakiś czas później podzieliłem się swymi doświadczeniami z sąsiadem-emerytem, który dysponując sumą 15 tysięcy na miesiąc, tak mocno musiał zacisnąć od niedawna pasa, że zupełnie zniknął mu dorodny brzuch, jakim mnie przedtem zawsze witał.

— No, proszę! A jednak Polak potrafi — powiedział, gdy skończyłem mu opowiadać o kursie. — I z każdej sytuacji jest zawsze jakieś wyjście. Najważniejsze, to nie załamywać się, sąsiedzie. Mimo wszystko, nie tracić nadziei i wiary we własne możliwości.

— A swoją drogą — dodał po chwili namysłu — to nie jest u nas chyba aż tak źle, jak się czasem mówi. Pamiętam, gorzej kiedyś bywało. No, bo czy w latach naszej młodości, sąsiedzie, myśleliśmy na przykład o pralkach automatycznych, odkurzaczach, lodówkach, magnetofonach czy tych, no, jak im tam? — komputerach? A skąd! Nawet się nam nie śniło. A dzisiaj proszę, ludzie mają i jeszcze im źle.

— Albo weźmy chociażby poziom wykształcenia społeczeństwa. Jakiż on tam był wtedy w stosunku do obecnego! Szkoda gadać. No i zważ pan, sąsiedzie, czego to nas wówczas uczono. Pamiętam na przykład teorię, wedle której w wysoko rozwiniętym społeczeństwie przemysłowo-rolniczym każdy robić będzie to, co najlepiej potrafi, gdyż tylko w takim przypadku kwalifikacje i czas pracy są najefektywniej wykorzystywane ku pożytkowi jednostki i ogółu. Jesteś pan.. powiedzmy, księgowym, to księgujesz ile sił, a nie bawisz się w budowanie sobie domu, bo szybciej i lepiej zrobi to za ciebie murarz-specjalista. Jesteś murarzem, to murujesz ile sił, a nie bierzesz się za reperację radia, bo od tego jest inny fachowiec. Ty jemu dom, on tobie radio. A ponieważ obaj pracujecie sprawnie i wydajnie, każdego z was stać na korzystanie z usług drugiego. Tak mnie przynajmniej, drogi sąsiedzie, kiedyś uczono w szkole. Co więcej, kazano mi wykuć się tej teorii na pamięć. Zupełnie niepotrzebnie, bo — patrz pan — wcale się jakoś u nas nie sprawdziła.

JÓZEF RETMAN

2 **Lewym okiem**

Gwoli psycho-terapii

Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść — mówiło stare przysłowie. Mówiło się także: gdzie kucharek sześć, tam dwunastu strażaków, którzy nie mają czasu na gaszenie pożarów, bo zajęci są kucharkami.

Mamy w naszym kraju legion kucharek i legion strażaków. Mamy osiemdziesięciu pięciu ministrów i wiceministrów, ponad siedmiuset dyrektorów departamentów, czterdziestu sześciu wojewodów i drugie tyle wicewojewodów. Dorzuciliśmy do tego kilkudziesięciu urzędników koordynujących wzajemną pracę tamtych. Daliśmy każdej grupie rzecznika prasowego, żeby tłumaczył całej reszcie społeczeństwa na czym polega działalność wysokich urzędów. A nam wciąż trudno to zrozumieć, wciąż otaczające nas przykłady przekonują, że ilość z wielkim trudem albo wcale nie przechodzi w jakość.

To jakaś przedziwna specyfika polskiej rzeczywistości. Zwiększono niedawno liczbę urzędów paszportowych, przedłużono ich godziny urzędowania i od razu czas oczekiwania na paszport zwiększył się kilkakrotnie i wynosi już parę miesięcy. Zwiększamy liczbę wszelkiego rodzaju kontroli od NIK poczawszy, a na Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i Straży Prezydenckiej skończywszy. I co? Nieuczciwość, lekkomyślność i głupota nie ustępują. Kazimierz Koźniewski tytułował kiedyś swoje felietony „Ociosywanie mgły". Ale jak ociosywać mgłę, która przed ciosem bezpośrednim ustępuje, ale i tak wciąż krąży wokół głowy, zagęszcza się, ciemnieje.

Kucharki pieczętujące się coraz wyższymi dyplomami naukowymi kręcą się wokół swych garnków i patelni, a jedzenia na naszych stołach nie przybywa. Rośnie w miastach liczba fachowców zieleniarzy, rośnie wśród nich procent magistrów inżynierów, a w naszych oczach resztki zieleni miejskiej zamieniają się w śmietniki, zdeptane tysiącami ścieżek, rozjeżdżone samochodami lekkomyślnych posiadaczy maluchów, okaleczałe i smętne. Wzrasta liczba instytucji rozjemczych i instancji sądowych, a wciąż czytamy w prasie o przypadkach ludzi, którzy latami dojść nie mogą elementarnej sprawiedliwości. Rośnie ilość mądrych ustaw, szczegółowych, przemyślnych przepisów, których potem nikt nie ma ani chęci, ani siły egzekwować.

Ja wiem, z tego felietonu nic nie wyniknie. To takie gorzkie żale, odruch osobistej, psychicznej samoobrony przed trudnymi do zniesienia warunkami życia. Może i taka psychoterapia jest potrzebna, takie wyartykułowanie, wypowiedzenie tego, co człowieka gryzie. Nie ma co biadolić dalej. Jakieś prawa logiki przecież istnieją i rzeczywistość musi wreszcie wrócić w ich łożysko. Nie będzie ona nigdy ani idealna, ani wolna od — wymagających czujności — braków. Czujność będzie obowiązkiem prasy, w tym także felietonu. Będą czuwać i odsłaniać, i wyśmiewać wszelkie braki i niedociągnięcia, nie będzie to bezradne, beznadziejne ociosywanie mgły, tylko prostowanie, nieustanne prostowanie ścieżek w pełnej jasności dnia.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 **Sport**

Konkurencja nie jest dobra na wszystko

W dyskusjach o gospodarce pada postulat: — żeby była konkurencja... Ma to być uniwersalne lekarstwo na wszelkie gospodarcze dolegliwości. Nie jestem wrogiem konkurencji, ale jestem wrogiem przesady. Konkurencja jest dobra — nie powiem, ale wszystkiego nie załatwi. Wydawałoby się, że w sporcie jest konkurencja. Nie ma przecież i nie może być sportu bez konkurencji. No i co? Jaki jest sport każdy przecież widzi!

Oto zbulwersowany czytelnik donosi „Przeglądowi Sportowemu", że na mecz I ligi tenisa stołowego pomiędzy Victorią Wałbrzych a Zagłębiem Lubin przyszło dwóch kompletnie pijanych zawodników. W związku z tym mecz odbył się tylko w sprawozdaniu. Ów zbulwersowany czytelnik proponuje, aby „mniej ważne spotkania w ogóle przenieść do restauracji". „Przegląd Sportowy" liczy na to, że sprawą tą zajmą się zainteresowane kluby i Polski Związek Tenisa Sportowego. Ja bym już na to nie liczyła.

Okazuje się więc, że może być sport bez konkurencji. Wcale nie trzeba rozstrzygać, kto jest lepszy. Piłkarze na stadionach markują grę, kibice gwizdzą, władze sportowe usiłują karać, ale nic im z tego nie wychodzi. Już nawet walka o Puchar Polski nikogo nie podnieca. Najlepiej byłoby się podzielić Pucharem po połowie i nie rozgrywać meczu. Ale regulamin nie pozwala. Męczą się biedni piłkarze najpierw przez 90 minut, później jeszcze pół godziny, aby wreszcie rzutami karnymi rozstrzygnąć o zwycięstwie. A nie można było od razu zacząć od rzutów karnych?

Pomyślałam sobie, że może zawody piosenkarzy w Opolu będą bardziej emocjonujące. I pomyliłam się. A na dobitek rozczarowałam. Piosenkarze w Opolu śpiewali, a kibice — to jest, przepraszam, słuchacze — w domach przy telewizorach słuchali i później dzwonili do ośrodków telewizyjnych i przydzielali punkty. Takie zdalne sędziowanie i kibicowanie. Wygrali oczywiście zupełnie nie ci, którzy wygrać powinni z racji prezentowanych piosenek, a nie dlatego, że tak ustalono. Mam ogromny żal do organizatorów Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, że w zawodach piosenkarzy zestawili zawodników różnych konkurencji w jedną. To tak, jakby kazać rywalizować ze sobą skoczkom o tyczce ze skoczkami wzwyż, albo tenisistom ziemnym ze stołowymi. I oczywiście nagrodzić później tenisistę stołowego i skoczka wzwyż, choć daleko im do poziomu konkurentów. Odkładając na bok gusty, o których nie należy dyskutować, to przecież nie można Haliny zestawiać z Haliną Frąckowiak tylko dlatego, że mają takie same imiona i obie śpiewają. Ale każda śpiewa w innej konkurencji, w innym stylu i inaczej. Cóż tu porównywać? Podrygi nastolatki z talentem i doświadczeniem? I to ma być konkurencja? To jest nieporozumienie. Żałosne i przykre. Żal mi gwiazd, które dały się „zrobić w konia" organizatorom, albo — jak mówią inni — dały się „wpuścić w maliny". W festiwalach zatem też nie ma konkurencji. Na Sopot już się nie dam nabrać!

Jan Tomaszewski nie dał się natomiast nabrać na kary PZPN. W wywiadzie dla „Expressu Wieczornego" powiedział, że „są to kary pozorne". I uzasadnił swój pogląd. Powiedział, że odebranie punktów oraz bramek przez PZPN Stali Mielec i Ruchowi Chorzów nic nie zmienia. Istotnie. A ukaranie Zagłębia Lubin milionem złotych rozśmiesza, gdyż transfery płacone przez kluby idą w dziesiątki milionów złotych. Na przykład za Krzysztofa Barana ŁKS zażyczył sobie 50 milionów zł!

Rozśmieszył też Jana Tomaszewskiego zakaz wyjazdu Lecha Poznań za granicę, gdyż tenże PZPN zapomniał zakazać mu udziału w rozgrywkach Intertoto. A przecież rozgrywa się wtedy mecze z zagranicznymi partnerami. Raz w Poznaniu, raz u partnera. Jak to zrobić? Złamać zakaz, czy PZPN przymknie oko? Niby wszyscy na wakacjach, urlopach, nikt nic nie wie, nie widzi, nie słyszy... Tylko, że w takiej sytuacji kary PZPN zamiast wychowywać, demoralizują.

Nie mam odwagi napisać, że czas byłby zacząć wychowywać... działaczy. Albo ich zmieniać. W końcu Waldemar Marszałek nie pojechał do Szegedu tylko dlatego, że działacze nie zapłacili na czas za silnik do jego łodzi. Być może w Szegedzie zdobyłby swój 14 medal. Jakoś sukcesów w sporcie nadmiaru nie mamy.

Warto byłoby zbadać, ilu działaczy przypada na sukces, a ilu na porażkę? Tylko kto to zrobi? A może naukowcy od sportu? Coś przecież robić powinni.

Jeśli natomiast chodzi o konkurencję, to tylko wtedy może przynieść pozytywne rezultaty, jeśli oparta jest na zdrowych i równych zasadach. Inaczej jest to, co jest!

BOGDA MADEJ

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

2

Przed wojną znałem Lwów ze słyszenia. Regularnie nastawiałem radio na „Wesołą falę", delektując się „bałakiem" Szczepka i Tońka, ciotki Bandziuchowej i radcy Strońcia. Wiedziałem, że to stary szacowny gród z licznymi zabytkami kultury, że odbywają się tam „Targi Wschodnie". Czytywałem wychodzące we Lwowie pisma: społeczno-literackie „Sygnały", satyryczno-humorystycznego „Szczutka", „Wiek Nowy", „Słowo Polskie". O ostatnim tytule nawet zapamiętałem anegdotkę.

Do redakcji przyszedł facet pod dobrą datą i zapytał: „Czy tutaj mieści się redakcja „Dupy"?. — „Ależ, panie, tu jest redakcja „Słowa Polskiego"! — „Przepraszam, a czy dupa to nie polskie słowo?".

I wiedziałem oczywiście, że przedstawicielem naszego „Expressu" na Lwów i całą Małopolskę jest Melman. Siedzibą redakcji i administracji było jego prywatne, parterowe mieszkanie, bodaj przy ul. Paderewskiego. Gdy zjawiliśmy się tam ze Stefanem, o niedawnej przeszłości świadczył tylko jeden rekwizyt: wysłużony, biurowy „Remington", na którym Melman przez lata mozolnie wystukiwał sensacje — o procesie Rity Gorgon, oskarżonej o zamordowanie kilkunastoletniej Lusi, córki swego przyjaciela, architekta Zaremby, o „wampirze" Cybulskim, mordercy prostytutek, które zwabiał do kiosku gazetowego...

Przywitała nas żona Melmana, atrakcyjna, czarnooka, z pasmami siwych włosów, mimo młodego wieku (ile mogła mieć wtedy lat — chyba niewiele ponad trzydzieści). Pani Sonia serdecznie się nami zajęła, mąż załatwiał na mieście likwidacyjne sprawy „Expressu" i niebawem wrócił do domu.

Nie czekając na naszą prośbę, gospodarze z miejsca zaproponowali nam gościnę.

— Mamy cztery pokoje, poza nami dwojgiem mieszka tu jeszcze moja przyjaciółka, też z Łodzi. Salonik jest do dyspozycji panów. Proszę się czuć jak u siebie w domu!

Z lubością popatrzyłem na pianino.

— Można będzie czasem pobrzdąkać?

— Pan gra?

— Ze słuchu, szlagiery...

— To świetnie! Będzie pan miał słuchaczkę i partnerkę w osobie Marylki. Ja się kiedyś uczyłam, ale nic z tego nie wyszło.

Marylka wróciła pod wieczór. Pracowała jako technolog w fabryce cukrów i czekolady „Branka". Dogadaliśmy się, że jest siostrą mojego nieżyjącego już kolegi szkolnego Julka J.

Nazajutrz poszedłem ze Stefanem do dawnej kawiarni „George'a" na placu Mariackim. Spotkaliśmy sporo łodzian, wśród nich szefów: Polaka i Ołtaszewskiego. Dopytywali się o kolegów, o maszyny drukarskie „Republiki". Potwierdzili historyjkę o Poznańskim. Jakie mamy plany? Ano trzeba się będzie rozejrzeć za jakąś pracą. Na razie zamelduję się u Melmanów. Stefan chce wynająć mieszkanie.

— Niech pan się dowie, panie Kiepura (tak mnie nazywano w redakcji) kto mógłby nam pomóc w przedostaniu się do Wilna — powiedział Polak. — Bez przepustek nie da rady, chyba na szwarc.

Stefan siedział przy którymś z kolei stoliku i z ożywieniem o czymś rozprawiał. Wrócił w szampańskim humorze. Nie wypytywałem go o powód radości, tak bardzo nie licującej z naszą sytuacją.

— Trzeba się zarejestrować — zakomunikował. — Bez tego nie ma mowy o znalezieniu czegoś. Jaki zawód podasz?

— Nie rozumiem...

— No co im powiesz? Chyba nie przyznasz się do dziennikarstwa?

— Dlaczego?

— Bo dla nich każdy dziennikarz z innego kraju to szpion, szpieg, rozumiesz? Dopiero byś sobie napytał biedy! Musisz coś wymyślić.

— Przecież wiesz, że poza reporterką nic innego nie potrafię.

— A prawo jazdy na kursach samochodowych Grętkiewicza zrobiłeś? Szofer to dobrze płatna praca.

— Jaki tam ze mnie szofer? Nie licząc próbnych jazd nie siedziałem za kółkiem.

— To nie ma znaczenia. Poduczysz się.

— A ty? Jako kto się zarejestrujesz?

— Jeszcze nie wiem.

Zastosowałem się do jego rady. Bez gruntownej znajomości języka nie mogłem marzyć o dziennikarce. Zresztą chyba nie czekają na mnie...

Przede mną w kolejce do urzędnika rejestrującego „biežeńców" (tak nas odtąd nazywano, niby to samo co „uciekinier", ale wymowa polityczna była inna) stał znajomy facet z Łodzi. Ku memu zdumieniu podał, że jego ojciec był chałupnikiem.

— Ależ pan wymyślił! — roześmiałem się, gdy przystanęliśmy na uboczu czekając na Stefana. — Pański ojciec chałupnikiem!

— A co, może nie? Miał w Łodzi dwie chałupy na Zgierskiej.

Stefan zdeklarował się jako kelner. To już było ponad moje siły!

— Czy wyście wszyscy powariowali?

— Za dużo mówisz. Dobrze, żeś mnie posłuchał. Będzie jeszcze z ciebie Paganini kierownicy!

Ano zobaczymy. Na razie trzeba się jakoś zagospodarować, obsprawić, przecież z Łodzi prawie niczego nie zabrałem, a tu zima na karku.

Dworman, którego mi teść polecił, powitał mnie chłodno-grzecznie. Tak, tak, los uciekinierów jest przykry, szczerze współczuję, dobrze, że ma pan dach nad głową, proszę przyjąć ten kupon materiału, wyjdzie z tego ładne ubranie...

Szlechtera znalazłem bez trudu. Z plakatu w oknie wystawowym dowiedziałem się, że występuje w kinie „Marysieńka" na placu Smolki. Był kierownikiem i duszą niewielkiego zespołu artystycznego, ich popisy odbywały się przed seansami filmowymi.

— Walizka Lutka jest u moich rodziców, ojciec prowadzi restaurację. Proszę zostać na przedstawieniu...

Emanuel Szlechter, autor znakomitych piosenek, poeta, satyryk, popisywał się na deskach „Marysieńki" żydowską balladą, do której napisał słowa polskie.

Kiedy rabi Eli Meli
wypił wina pierwszy kielich,
wypił wina pierwszy kielich Eli Meli,
to skrzypeczki mu zagrały,
a basetle wtórowały...

Wyjaśniła się sprawa dobrego humoru Stefana. Dogadał się z poznanymi u „George'a" krakusami, postanowili otworzyć udziałową restaurację. Więc dlatego w rubryce „zawód" przewidująco podał kelner!

— Już mamy lokal na Halickiej. I tak nazwiemy naszą knajpę.

— A co ze mną? — zmarkotniałem.

— Do udziału w restauracji potrzebna jest duża gotówka, a ty jesteś gołodupiec. Zobaczymy, jak z tą szoferką nic nie wyjdzie, może znajdzie się jakaś robótka u nas.

Kuzyn po kilku dniach wyprowadził się od Melmanów. Trafiła mu się okazja: za małe pieniądze odkupił dwupokojowe mieszkanie. Ech, ci kelnerzy zawsze mieli łeb na karku!

U Melmanów czułem się bardzo dobrze. Krępowało mnie tylko, że nie chcą brać za komorne, mało tego — podkarmiali mnie regularnie, a gdy kiedyś przyniosłem coś z miasta, pani Sonia zbeształa mnie.

Zaprzyjaźniłem się z Marylką. Zbliżyła nas pamięć o Julku i pianino, na którym wygrywałem jej tęskne tanga wyśpiewując słowa piosenek.

Choć nas rozdziela świat,
w każdą noc złą i chmurną
słyszę tango „Nocturno",
tango sprzed tylu lat...

— Tak, przenoszę się do Drohobycza.

— A... gdzie pan mieszkał?

— Na Małeckiego pod piątym, u pani Rippel.

— Czy ten pokój jest wolny?

— Tak, nikt się jeszcze nie zgłosił.

Zwolniłem się z pracy, pobiegłem pod podany adres i dogadałem się z sympatyczną staruszką. Pani Rippel, wdowa, miała dwie córki. Starsza, zamężna, mieszkała oddzielnie, młodsza, rzeźbiarka, przebywała z matką.

A zatem — bomba! Mam swój własny kąt. Tutaj posłużę się opisem tej mojej nowej przystani życiowej, którą uwieczniłem w tomie wspomnień „Reporter przed konfesjonałem".

Była to olbrzymia, zagracona landara, pełna masywnych popiersi, dzieł młodszej panny Rippel. Z sentymentem wspominam te dzieła sztuki. Okazały się bardzo przydatne w zimowe noce, gdy chłód wdzierał się do nie opalonego pokoju. Okrywając się kocem i paltem układałem rzeźby na posłaniu chroniąc grzeszne ciało przed przypadkowym obnażeniem. U mych stóp spoczywał pełen pokory Ludwig van Beethoven, boków strzegli Mozart i Moniuszko. Łoże szerokie, małżeńskie, rzeźby ciężkie, nie zdarzyło się, żeby któraś sturlała się na podłogę.

Moje kontakty z Melmanami nie osłabły. Wolny po pracy czas (pracowałem w „Halickiej" od dwunastej do ósmej wieczór) spędzałem przeważnie w ich towarzystwie. Do Marylki przyjechał narzeczony z Warszawy, inżynier. Ale rzadko się spotykali. Nadal wygrywałem szlagiery (pianino przeniesiono do jadalni po wprowadzeniu się nowego sublokatora). Był to całkiem sympatyczny komandir z Kijowa, znał trochę polski, sypał anegdotami i doraźnie wspomagał spiżarnię gospodarzy.

Jego wysokość pikolak

Opowiedziała mi pyszną historyjkę. Oficer ze stacjonującej w mieście jednostki dostał przydział na pokój w mieszkaniu jakichś nowobogackich. Stał tam fortepian. Oficer, Kałmuk czy Kazach, z nabożeństwem spoglądał na instrument. Pan domu, w gruncie rzeczy zadowolony, że będzie miał u siebie wojskowego, co dawało nadzieję na mięsne konserwy, kawę czy dobre papierosy, chciał zaimponować przybyszowi i upokorzyć go.

— Eto, towariszcz, znajetie, fortepian...

— For... te... pian...

— Da. O, tutaj bam, bam! — gospodarz uderzył w klawisze po lewej stronie — a tutaj ti, ti! — przejechał palcem po klawiszach z prawej.

— Bam, bam... ti, ti... — wyszeptał skośnooki oficer, pogłaskał klawiaturę, usiadł i zagrał „Etiudę rewolucyjną" Chopina...

W bazie transportowej powitano mnie z radością. Ależ, oczywiście, wprawdzie raczej są nam potrzebni mechanicy, ale i dla kierowcy znajdzie się miejsce, tylko musicie, towarzyszu, zaczekać z dwa tygodnie, bo nasz ZIS jest w remoncie. Prawo jazdy macie?

— Niestety, zostawiłem w Łodzi.

— To nic, zrobimy próbną jazdę. W każdym razie od jutra jesteście naszym pracownikiem, dostaniecie przydziałowe kartki, no i awansem trochę gotówki!

Czekać, to czekać. A tymczasem mój kuzynek w białym kitlu krzątał się już po „Halickiej" krążąc jak meteor między salą jadalną a kuchnią.

— Befsztyk po tatarsku razi! Zarazy po nelsońsku z czarną kaszą i dwa piwa!

Szybko się przekwalifikował. Przysięgłbym, że całe życie nic innego nie robił.

A moja próbna jazda odremontowaną półtoratonówką wypadła nieszczególnie. Nie dość, że wjechałem na ulicę jednokierunkową z przeciwnej strony, to jeszcze ze zdenerwowania zderzyłem się czołowo z kioskiem na rogu ulicy!

— Nie martw się — pocieszył mnie Stefan. — Rozmawiałem z Bochenkami i innymi współudziałowcami. Zatrudnimy cię jako pikolaka. Żarcie bezpłatne, stała pensja, no i coś ci tam zawsze kapnie z napiwków!

Mój nowy zawód miał niewątpliwe walory. Do „Halickiej" przylegał sklep galanteryjno-odzieżowy. Trafiały tam atrakcyjne towary. Tasiemcowe kolejki nie odstraszały mnie: stawiałem na tacy kilka szklanek herbaty i w białym kitlu szorowałem do tego przybytku, aby opuścić go z udanymi zakupami. A gdy zaspokoiłem swoje potrzeby, moi szefowie, panowie kelnerzy-udziałowcy, wydawali mi osobiste zlecenia.

Któregoś dnia pani Sonia zakomunikowała mi nowinę: biuro zakwaterowania przydzieliło pokój w ich mieszkaniu jakiemuś wojskowemu. Chociaż zapewniała, że dla niej i męża jeden pokój wystarczy, zdecydowałem, że muszę znaleźć sobie jakieś locum na mieście.

I tutaj nieocenioną przysługę oddało mi nowo objęte stanowisko. W zastępstwie kelnera, który gdzieś się zawieruszył inkasowałem należność od jednego ze stałych bywalców.

— No to do widzenia! — podał mi rękę. — Chyba nieprędko się zobaczymy. Życzę szybkiego awansu!

— Pan wyjeżdża? — teraz dopiero wzrok mój padł na stojącą obok walizę.

Melmanów odwiedził Wacek Polecki, jeden z pierwszych pracowników „Republiki". Zaczynał razem z moim bratem i Passiermanem w 1923 roku. Ożenił się we Lwowie z młodszą „bieżenką", zaprosił nas na lampkę wina do swego sublokatorskiego pokoju.

Przyjemnie upływał nam czas na pogaduszkach. A mnie po dwóch kieliszkach coś naszło. Siedziałem tuż obok Marylki. Nogą poszukałem pod stołem jej nogi. Rozmawiała z kimś, żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy. Powtórzyłem mój manewr oskrzydlający, krew napłynęła mi do twarzy, spojrzałem na zegarek.

— Pani Marylko, dochodzi ósma, spóźnimy się do „Marysieńki"!

Kąciki jej ust rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

— Słusznie, pora iść!

Na schodach objąłem ją drżąc z podniecenia. Nie broniła się, odwzajemniała pocałunki, a gdy moje pieszczoty stawały się coraz śmielsze, powstrzymała mnie.

— Nie tutaj... Jeszcze nas ktoś nakryje... Chodźmy do ciebie.

No i stało się. Leżąc koło niej uspokojony, odprężony, zapytałem:

— Nie masz wyrzutów sumienia? Co będzie, jeśli twój narzeczony się zorientuje?

— Władek? To fajtłapa. Znamy się już od roku i wiesz, tylko raz mnie pocałował, w dodatku musiałam go sprowokować.

Zapewniła, że będzie mnie odwiedzać.

— Nawet codziennie, jeśli wytrzymasz kondycyjnie!

Dotrzymała słowa. Przychodziła co wieczór po pracy ukoić mą tęsknotę za żoną i rodzinnym domem. Przynosiła odpady masy czekoladowej, co znakomicie wzmacniało tak bardzo potrzebną mi sprawność fizyczną. Schadzki odbywały się w ścisłej konspiracji. Wejście frontowe, prowadzące z korytarza wprost do mego pokoju, pani Rippel przeznaczyła dla mnie. Do niej wchodziło się z drewnianego ganku, od kuchni. Wystarczyło delikatne puk, puk — i już byłem przy drzwiach.

Aż raz... pozwólcie, że znowu sięgnę do moich wspomnień z „Reportera".

W najmniej odpowiednim momencie rozległ się dzwonek z frontu. Marylka zaszyła się pod koc. Na wszelki wypadek przywaliłem ją jeszcze poduchą i poszedłem otworzyć. Starsza pani w czerni przyszła odwiedzić gospodynię po dłuższej rozłące. Wpuściłem ją do mego pokoju — cóż mogłem zrobić — i zaanonsowałem gościa.

Staruszki padły sobie w objęcia i nie ruszając się z miejsca poczęły biadać nad moim losem.

— Taki młody i sam, jak ten kołek w płocie, w obcym mieście...

— To pan z Łodzi? Mój Boże, brat mojego męża nieboszczyka mieszkał tam przed pierwszą wojną. Na Mikołajewskiej, teraz chyba inaczej się nazywa, a na Głównej miał sklep z damską konfekcją...

Zerkałem co chwila na łóżko. Poducha nie poruszała się. No to koniec, zadusiłem dziewczynę na amen!

Gdy staruszki użaliły się już nade mną i opuściły pokój, pospieszyłem na ratunek. Po intensywnej reanimacji Marylka przyszła do siebie.

Któregoś dnia dłużej zostałem w „Halickiej". Stefan powiedział, że przyjdzie jakiś nadziany gość i mogę liczyć na suty napiwek. Gość wyglądał nieprzekonująco, drobny, w ciemnej marynarce i sztuczkowych spodniach. Miał przyciętą w szpic bródkę. Kelnerzy skakali koło niego jak opętani, tytułując go „panie Wacku". Zamawiał wyszukane potrawy i najdroższe trunki. Regulując rachunek wsunął każdemu z obsługujących go po dziesięć dolców. Na mnie nawet nie spojrzał.

— Kto to jest? — dopytywałem się, ale zbyto mnie milczeniem.

Po paru dniach „pan Wacek" znowu się zjawił. Ledwo go poznałem: nosił okulary, po wypielęgnowanej bródce nie było śladu. Do lokalu kilka minut po nim weszli jacyś faceci rozglądając się dokoła. Jeden z braci Bochenków odciągnął mnie na stronę.

— Niech pan przenocuje pana Wacka. Nie zostanie panu dłużny. On czeka za rogiem...

Pan Wacek był nagrany i zaraz zasnął. Zerwał się skoro świt, położył na stole — nie, nie, żadne dolary, kilka banknotów dziesięciorublowych, ukłonił się w progu i ulotnił jak kamfora. Miałem jeszcze sporo czasu, odwróciłem się na drugi bok.

— Jacyś panowie do pana — obudziła mnie panna Rippel.

— Posliedujtie s nami — przybyły pokazał znaczek pod klapą.

Ubrałem się i wyszedłem z gośćmi. Jeden trzymał się mojej lewej, drugi prawej strony. Przed domem stała „Emka" z zapuszczonym silnikiem. Za szybą dojrzałem pana Wacka, siedział z tyłu ze spuszczoną głową, w towarzystwie umundurowanego milicjanta.

— Znacie tego obywatela? — zapytał cywil uchylając drzwiczki.

Już na schodach domyśliłem się czemu zawdzięczam tę poranną wizytę.

— Znam, z widzenia. Przychodził do „Halickiej", gdzie pracuję. Poprosił, żebym go przenocował, bo spóźnił się na pociąg...

Pojechaliśmy do siedziby NKGB. Niewtajemniczeni mylą tę instytucję z NKWD, a to nie to samo. NKWD to Narodnyj Komissariat Wnutriennych Diel, coś jak nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a NKGB — Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Bezopastnosti, odpowiednik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

— Co was łączy z tym obywatelem? — zapytał przy konfrontacji przesłuchujący mnie oficer.

Powiedziałem jak było, o Bochenku nie wspomniałem. Po co rozszerzać krąg podejrzanych?

— Ten człowiek ma sporo na sumieniu — powiedział oficer, gdy pana Wacka wyprowadzono. — Zajmiemy się nim szczegółowo, a wy możecie wrócić do pracy.

Zapytał mnie jeszcze skąd pochodzę, jak się dostałem do Lwowa, jakie były nastroje w Polsce po wkroczeniu Niemców. Powiedziałem, że już nazajutrz po zajęciu miasta na ulice wyjechały tramwaje z wymalowanymi na dachu tabliczkami: „Stalin ist ein grosses Schwein, er will in Polen rein". Pokiwał głową jakby nie dając wiary moim słowom, ale chyba mieli rozeznanie w nastrojach Niemców!

W „Halickiej" powitano mnie jak bohatera. Dopiero teraz zdradzono mi sekret pana Wacka. Przerzucał ludzi za wysoką opłatą do Wilna, skąd można było przedostać się na Zachód. Podobno podczas zasadzki zastrzelił pogranicznika. Dla zmylenia śladów, czując że jest obserwowany, włożył poprzedniego wieczora okulary i zgolił bródkę, ale nic mu to nie pomogło.

Stefan miał chyba wyrzuty sumienia, że nie uprzedził mnie o grożącym niebezpieczeństwie. Ostatnio żył w gorączkowym oczekiwaniu: wysłał jakiegoś młodziana do Łodzi po swą sympatię, córkę owego pończosznika. Po paru dniach dziewczyna cała i zdrowa zjawiła się we Lwowie. Kuzyn szczodrze wynagrodził umyślnego i zaprosił nas na swój ślub z Reginką. Teraz zrozumiałem dlaczego tak się wykosztował na to mieszkanie!

Marylka odwiedzała mnie regularnie. Któregoś wieczora przy pożegnaniu powiedziała:

— Wiesz, Władek mi się oświadczył. Chce się ze mną żenić.

Poczułem drzazgę w sercu, ale nie mogłem jej odradzać, byłem przecież żonaty, a zresztą jaką przyszłość miałaby ze mną?

— Między nami nic się nie zmieni. Będę nadal przychodziła...

Ślub odbył się w niedzielę. W poniedziałek na próżno oczekiwałem jej przybycia. Minął wtorek, środa, nadsłuchiwałem zaszyfrowanego pukania do drzwi... nic, cisza. Poszedłem do Melmanów. Młodożeńcy zamieszkali w pokoju Marylki. Leżała w łóżku rozpromieniona, ślicznie wyglądała w cienkiej, jedwabnej kombinacji. Gdy zostaliśmy sami, chwyciłem ją za rękę.

— Co się stało? Dlaczego nie przyszłaś?

— Słuchaj, on jest taki wspaniały... Taki męski...

Spotkało mnie jeszcze jedno niepowodzenie: „Halicką" upaństwowiono. Dotychczasowych współudziałowców zatrzymano w charakterze kelnerów, natomiast stanowisko pikolaka uznano za przerost burżuazyjny, etat ten uległ likwidacji.

Zostałem na lodzie. Rozpytywałem znajomych czy nie wiedzą o jakiejś pracy. Obiecywali zasięgnąć języka, a na razie dni mijały, gotówka topniała, przybyło mi sporo wolnego czasu i jeszcze więcej kłopotów.

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wziali" z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny. Za tydzień:

Co mnie pogrążyło?